5/2021

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik wrzesień–październik 5 (76) / 2021 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)

POLSKA MASZERUJE NA WSCHÓD
Radosław Sikorski

Piekło ludzi LGBT+ w Poradziecji
Aleksandra Iwanowska

Miasto Słońca. Utopia rodzi autorytaryzm
Artur Klinau

O czym opowiedzą nam kobiety?
Petra Hůlová

Ormianie: piętno przegranej wojny
Aneta Strzemżalska

ISSN 1899-5543
9 771899 554042 >

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Z okazji jubileuszu

20 LAT
Kolegium
Europy
Wschodniej

PRENUMERATA
NOWEJ EUROPY WSCHODNIEJ :

roczna
50zł

dwuletnia
100zł

Nowa Europa Wschodnia

Dostępna na stronie:
www.kew.org.pl/ksiegarnia

eprasa.pl 341d6b84b9

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 341d6b84b9

eprasa.pl 341d6b84b9

Zbyszek i jego Kajś

W ostatnich miesiącach ciężko o dobre informacje – zarówno z naszego kraju, jak i ze świata. Dlatego tym bardziej cieszy wiadomość o przyznaniu Pokojowej Nagrody Nobla Dmitrijowi Muratowowi, redaktorowi naczelnemu niezależnej „Nowoj Gaziety", która reprezentuje dziennikarstwo na najwyższym poziomie. W walce o prawo obywateli Rosji do rzetelnej informacji kilkoro jej dziennikarzy poświęciło życie. Nobel dla Muratowa to docenienie niezależnego dziennikarstwa w całej Poradziecji.

Dodatkowo w chwili zamykania jesiennego numeru „Nowej Europy Wschodniej" dotarła do nas wyczekiwana informacja – Zbigniew Rokita otrzymał Nagrodę Literacką „Nike". Zbyszek był kiedyś naszym kolegą z pracy (budował NEW, stworzył stronę internetową periodyku), dziś jest bliskim współpracownikiem dwumiesięcznika, ale przede wszystkim naszym przyjacielem. Decyzja o przyznaniu najważniejszej nagrody literackiej Rokicie to opowiedzenie się za wrażliwością, wielokulturowością i społecznym dialogiem. Docenienie reportażu na najwyższym poziomie.

Przez lata obserwowaliśmy laureata w pracy. Zbyszek przeprowadza staranne kwerendy, czyta tysiące stron tekstu, przepytuje dziesiątki świadków wydarzeń, na każde zapisane słowo szuka potwierdzenia. Nie pisze dla efektu, a jednak pisze przepięknie, tworzy literaturę – to największy jego dar. Nagrodzone *Kajś* opowiada o Górnym Śląsku, ojczyźnie Rokity, ale to historia uniwersalna. Bohater reportażu poszukuje własnej tożsamości. Zadaje sobie pytanie, kim się czuje, i sprawdza. *Kajś* mówi o próbie pogodzenia różności, zgodzie na Polskę wielu narodów. Postuluje wsłuchanie się w głosy mniejszości narodowych i rozwiązywanie zadawnionych konfliktów. Jakże ważne to przesłanie jest dla nas dziś, kiedy na granicy polsko-białoruskiej w niehumanitarnych warunkach koczują ludzie. Władza Rzeczpospolitej nazywa ich „ludźmi nielegalnymi", ale dla nas, reporterów, pisarzy, ludzi kultury, podpisujących dziś apele – „żaden człowiek nie jest nielegalny", jak mówi głośne hasło z 2003 roku. Nielegalne natomiast okazuje się działanie polskiej władzy, która przez nierespektowanie praw człowieka sprawia, że coraz bliżej nam do Wschodu niż Zachodu. Niestety z tragicznej historii Europy Wschodniej nie wyciągnęliśmy odpowiednich wniosków i kusimy ją, by się powtórzyła na naszym podwórku.

Redakcja

eprasa.pl 341d6b84b9

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Radosławem Sikorskim **Przywrócić praworządność** 7

Publicystyka i analizy

Tadeusz Iwański **Walizeczka bez rączki** 16
Beata Piskorska, Tomasz Stępniewski **Partnerstwo Wschodnie na rozdrożu** 23
Rozmowa z Pawłem Łatuszką **Wszystko jest w rękach Białorusinów** 30
Krzysztof Nieczypor **Platforma Krymska. *Mission impossible*?** 37
Rozmowa z Maciejem Okraszewskim **Polskiego czytelnika to nie interesuje** 43
Kamil Całus **Strach się zużył** 50
Aneta Strzemżalska **Na granicy, tuż za jeziorem** 59
Rozmowa z Aleksandrą Iwanowską **Piekło, które nie zostanie rozliczone** 74
Wojciech Wojtasiewicz **Krucjata przeciw tamie** 82

Reporterzy na Wschodzie

Rozmowa z Pawłem Pieniążkiem **Przestrzeń na opowieść** 97

Kultura

Rozmowa z Arturem Klinauem **Tęsknota za miastem, które mogło istnieć** 105
Anna Łazar **Refleksyjna sztuka Łady Nakonecznej** 111
Rozmowa z Natałką Babiną **Drugiego razu nie będzie** 118

Rozmowa

Rozmowa z Tarasem Nazarukiem **Lwów na ucho** 122

Historia

Rozmowa z Andrzejem Chwalbą **Niechęć do Rosji mamy w DNA** 126

Reportaż

Filip Jarmakowski **Łada Niva, czyli jak zostałem biedaeasyriderem** 138

eprasa.pl 341d6b84b9

Konteksty

Rozmowa z Petrą Hůlovą **Stawką nie są wybory** 148

Recenzje

Zbigniew Rokita **Na skraju historii** 161
O książce Tadeusza Andrzeja Olszańskiego *Ukraińskie stulecie 1914–2014*
Maciej Topolski **Debiut spełniony** 162
O książce Tatiany Ţîbuleac *Lato, gdy mama miała zielone oczy*
Urszula Pieczek **Ratunek przed niedostatkiem** 165
O książce Wasyla Stusa *Wesoły cmentarz. Wiersze wybrane z lat 1959–1971*
Sonia Knapczyk **Wbrew czarnej legendzie** 167
O książce Marka Kornata i Mariusza Wołosa *Józef Beck. Biografia*
Małgorzata Nocuń **Niemcy pokonani** 170
O książce Haralda Jähnera *Czas wilka. Powojenne losy Niemców*
Anna Łazar **Co najmniej sto lat** 172
O książce *Mniejszości narodowe, etniczne i językowe III Rzeczypospolitej. Informator 2020*
Łukasz Grzesiczak **Grupa od A do Z** 175
O książce *Atlas Wyszehradzki* pod redakcją Przemysława Śleszyńskiego i Konrada Czapiewskiego

eprasa.pl 341d6b84b9

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Anna Łazar, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 2000 egz.

eprasa.pl 341d6b84b9

Przywrócić praworządność

Z Radosławem Sikorskim, posłem do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Czy Bruksela i Waszyngton zdecydują się na konfrontację z rządem Prawa i Sprawiedliwości w kontekście sporu o wolność mediów i praworządność w Polsce?

RADOSŁAW SIKORSKI: Do niedawna Polskę zaliczano w poczet krajów Europy Środkowej, a nie Wschodniej. Był czas, gdy wizerunkowo pasowaliśmy nawet do południowej Skandynawii. Jeszcze trochę biedniejsi, lecz o wysokich standardach i z dobrymi perspektywami rozwoju gospodarczego. Niestety obecnie jesteśmy postrzegani jako kraj egzotyczny, w którym łamie się praworządność, zasady parlamentaryzmu, a nawet zmienia się reguły gry gospodarczej w trakcie jej trwania. Przypomnę, że to nie pierwszy taki przypadek.

Na początku rządów Prawa i Sprawiedliwości uchwalono prawo, które dotknęło istniejące inwestycje w zakresie elektrowni wiatrowych. Polska jest obecnie zmuszona płacić olbrzymie, liczone w setkach milionów rekompensaty. Jeśli dokona się wypchnięcie firmy Discovery z TVN, to miejmy świadomość, że pojawią się pozwy o gigantyczne odszkodowania. Wiemy od byłego wicepremiera Jarosława Gowina – jedynego, z którym Amerykanie rozmawiali – że przygotowywana jest lista sankcji. Najpierw takich, które można określić mianem utraconych okazji, na przykład: niezaproszenie przedstawicieli polskich władz na Światowy Szczyt Demokracji organizowany przez prezydenta Joego Bidena, brak kontaktów dyplomatycznych czy opóźnienie lub wstrzymanie sprzedaży sprzętu wojskowego. To niepełne spektrum działań, które mogą przedsięwziąć Stany Zjednoczone. Skorumpowanych polityków węgierskich obłożono sankcjami personalnymi. Ale jak wiemy, bo cieszyliśmy się z sankcji ekstraterytorialnych, nakładanych na firmy związane z inwestycją Nord Stream 2, Stany Zjednoczone mogą uprzykrzyć życie niemal każdej firmie w Europie, w tym firmom państwowym, takim jak TVP, które korzystają z rozliczeń dolarowych i amerykańskiej technologii.

Czy rząd PiS nie zdaje sobie sprawy z tych zagrożeń? A może mimo to ignoruje je, wychodząc z założenia, że przejęcie stacji TVN i innych niezależnych mediów jest

eprasa.pl 341d6b84b9

istotniejsze dla ich interesów niż stosunki z USA?

Trąbka zapowiadająca szarżę na TVN zagrała kilka dni po udanym powrocie Donalda Tuska do polskiej polityki. Dlatego teraz rozmawiamy o TVN, nie o Tusku. Ponadto złamano w sposób skandaliczny procedury parlamentarne. Reasumpcją głosowania przykryto być może groźniejszą dla władzy kwestię szczodrego podniesienia uposażeń politykom. Sprawa TVN ma dla prezesa Jarosława Kaczyńskiego również „plusy dodatnie".

Czy Jarosław Kaczyński i rząd Mateusza Morawieckiego na jakimś etapie obserwowanej awantury nie wycofają się z propozycji zmian na rynku medialnym w Polsce?

Ze słynnej ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej się wycofali. Teraz najpewniej zrobią krok w tył w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Ale Stany Zjednoczone musiałyby zamiast papierowych protestów zdecydować się na coś wiarygodnego.

Czy jednak opozycja i dziennikarze nie przeceniają zagrożenia, jakie niesie ze sobą zmiana przepisów medialnych? Nawet jeśli Amerykanie nie będą mogli posiadać pakietu kontrolnego w TVN, nie będzie to z automatu oznaczało, że stacja trafi w ręce którejś ze spółek skarbu państwa pod zarządem PiS. Pakiet ten będzie mogła wykupić jedna z europejskich korporacji medialnych.

Na przykład firma niemiecka. Postępowanie PiS nie jest mądre. Walczymy już z całym światem, nawet ze Stanami Zjednoczonymi. *De facto* mamy do czynienia ze zmuszeniem Amerykanów do wywłaszczenia z większości udziałów. Czegoś takiego przez ostatnie trzydzieści lat Polska nie praktykowała. Istnieją prawa nabyte. Rozumiem, że czasami można zmienić ustawę. Ale niechże ona dotyczy przyszłych transakcji. Kapitał amerykański nie stanowi dla Polski żadnego zagrożenia. Mówienie o ochronie polskiego rynku medialnego przed kartelami narkotykowymi to kłamstwo. Chodzi o przejęcie kontroli nad kanałami, za których pośrednictwem można dotrzeć do elektoratu, tak jak to zrobili Władimir Putin, Recep Tayyip Erdoğan i Viktor Orbán.

Powiedział Pan, że PiS najpewniej zrobi krok wstecz w kwestii Izby Dyscyplinarnej. Jednak czy nie będzie to tylko ze strony rządzących gra na zwłokę i mydlenie oczu Komisji Europejskiej? Trudno sobie wyobrazić porzucenie przez PiS jednego ze swoich flagowych projektów, czyli zmian w wymiarze sprawiedliwości.

Oczywiście, że PiS chce wziąć pod but cały system sprawiedliwości po to, żeby swojemu środowisku zapewnić bezkarność i móc zastraszać ludzi

eprasa.pl 341d6b84b9

Archiwum prywatne

Do niedawna Polskę zaliczano w poczet krajów Europy Środkowej. Obecnie jesteśmy postrzegani jako kraj egzotyczny, w którym łamie się praworządność, zasady parlamentaryzmu, a nawet zmienia reguły gry gospodarczej w trakcie jej trwania.

niezależnych od władzy. Taką rolę pełnią już służby specjalne i prokuratura. Ostatnią barykadą są niezawisłe sądy. Negocjują z Komisją Europejską, sprawdzając, jak dalece da się ona oszukać. Z jednej strony chcą mieć możliwość represjonowania sędziów, z drugiej – nie stracić środków finansowych w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Pytanie, czy Komisja Europejska da się na to nabrać.

A jak Pan uważa?

Tam pracują inteligentni ludzie. Ale czy będą mieć dość woli politycznej? Nikt nie lubi być okłamywany. PiS-owska szarża jest tak bezczelna, że może się spotkać z sankcjami. Łatwiej jest nie dać nowych funduszy, niż odebrać stare. Mateusz Morawiecki zgodził się na ich powiązanie z przestrzeganiem zasady praworządności.

W jaki sposób objęcie władzy w USA przez Joego Bidena i Partię Demokratyczną wpłynie na bezpieczeństwo Europy Środkowo-Wschodniej, w szczególności mając na uwadze niedawne odstąpienie przez Waszyngton od sankcji nałożonych na firmy budujące gazociąg Nord Stream 2?

Negatywnie, szczególnie w aspekcie energetycznym. Nasz rząd zaniedbał kontakty z demokratami, gdy ci konkurowali z Donaldem Trumpem. Nie stworzył koalicji państw dotkniętych Nord Stream 2, która równoważyłaby wpływy Niemiec w Waszyngtonie. I mamy tego efekt. Mając do wyboru Niemcy lub Polskę i Ukrainę, Joe Biden wybrał Niemcy z oczywistym finansowym kosztem, który Ukraina poniesie, jak również ze stratą dla interesów całej Europy Środkowo-Wschodniej. Jednak największy błąd popełnili Rosjanie. Gdyby sumiennie od dwudziestu lat wypłacali nam rok w rok dywidendę w wysokości 100–200 milionów dolarów za przesył gazu gazociągiem jamalskim, która się nam należy i która się akumuluje w przedsiębiorstwie Europol Gaz, to inaczej byśmy patrzyli na rosyjskie inwestycje.

Kwota 100–200 milionów dolarów nie jest specjalnie wysoka.

Słowacja dostaje około 400 milionów dolarów, ale Drużba jest większym systemem rurociągów. Gdybyśmy otrzymywali wspomniane dywidendy, może o Pieremyczce inaczej byśmy rozmawiali. Możliwe, że inne decyzje zapadłyby odnośnie do drugiej nitki Jamału. Tutaj Rosjanie poskąpili, więc musieli wydać 10 miliardów euro, żeby ten sam gaz przesyłać po dnie Bałtyku.

Gdyby rząd PiS rozmawiał z demokratami o Nord Stream 2, być może te wysiłki i tak by spełzły na niczym. Stawką przy zniesieniu amerykańskich sankcji wobec gazociągu było przeciągnięcie Niemców na swoją stronę w kontekście globalnej rywalizacji z Chinami.

eprasa.pl 341d6b84b9

Ale gdyby udało się decyzję przeciągnąć do jesieni bieżącego roku, a w Niemczech powstałby rząd z udziałem Zielonych, to może problem sam by się rozwiązał. Ugrupowanie to przez wiele lat było krytyczne wobec rosyjskiego gazociągu. Zatem byłaby jakaś nadzieja, że zmienią stanowisko Niemiec.

Co usłyszy prezydent Wołodymyr Zełenski w czasie wizyty w Waszyngtonie od prezydenta Joego Bidena?

Jestem rozczarowany postępowaniem Waszyngtonu. Podejmując tak niekorzystną dla Ukrainy decyzję, mógł ją osłodzić zwiększeniem wsparcia wojskowego w postaci sprzedaży nowych typów uzbrojenia.

Dlaczego Joe Biden tego nie zrobił?

Będąc niedawno w Waszyngtonie, odniosłem wrażenie, że jest to ekipa skoncentrowana raczej na zachodniej części naszego kontynentu.

Nie obawia się Pan, że w najbliższym czasie Rosjanie mogą zdecydować się na podobną eskalację napięcia w stosunkach z Ukrainą, z jaką mieliśmy do czynienia wiosną bieżącego roku, tym bardziej że we wrześniu odbędą się wybory do rosyjskiej Dumy. Możliwe, że w ten sposób Putin zechce zmobilizować Rosjan do pójścia do urn.

W Rosji od wielu lat nie wiadomo, kto wygra, ale wiadomo, kto będzie prezydentem i kto stworzy rząd. Obawiam się takiego scenariusza. Koncentracja wojsk na wiosnę była próbą generalną, kolejną interwencją zbrojną – podobną do tej dokonanej w Gruzji w 2008 roku i na Ukrainie w 2014 roku.

Putin w tej publikacji nie powiedział nic nowego. Było to przypomnienie dobrze znanych tez.

Ale zostały zebrane w całość. Powtórzył wszystkie imperialne tezy jeszcze z czasów carskich, sowieckich i neoimperialnych. Mnóstwo przeinaczeń i kłamstw, dotyczących także spraw, których byłem świadkiem. W lutym 2014 roku nie było puczu zbrojnego w Kijowie. Byłem tam i widziałem. Wiktor Janukowycz stracił władzę. Odsunęła go z urzędu większość parlamentarna, w tym jego własna Partia Regionów. Nikt nie przejął siłą budynków rządowych. A Janukowycz uciekł z Kijowa. Kłamstwa zawsze czemuś służą. Jeśli się tworzy taką neoimperialną narrację, która jest uzasadnieniem dla wasalizacji lub dla rozbiorów Ukrainy i każe się z tym zapoznać swoim żołnierzom, to można domniemywać, że robi się to po to, żeby podtrzymać morale w przypadku ewentualnej operacji wojskowej.

Co mogłoby być bezpośrednim impulsem dla wznowienia gorą-

eprasa.pl 341d6b84b9

cej fazy konfliktu na wschodzie Ukrainy?

Nie wiemy, zapewne będzie to jakaś prowokacja, na którą zdecyduje się Putin. Prawie każda wojna w historii jest rzekomo wojną obronną. Agresorzy aranżują prowokacje. Wehrmacht najechał na Polskę „w obronie własnej po polskim ataku" na radiostację w Gliwicach. Zatem Putin coś wymyśli. To będzie oczywiście inscenizacja. Ale to on zdecyduje kiedy, gdzie i co, a nie my.

Czy w razie nowej interwencji wojskowej Putin zdecyduje się na marsz na Kijów, czy ograniczy się tylko do przejęcia kontroli nad południowo-wschodnią częścią Ukrainy?

Z tych dywagacji historycznych Putina wynikało, że w Rosji jest żywy projekt Noworosji polegający na odcięciu Ukrainy od morza. Chodzi o stworzenie z Ukrainy czegoś na kształt Białorusi, państwa zwasalizowanego, biednego, bez okręgów przemysłowych. Putin ma do dyspozycji sto tysięcy mobilnego wojska, gotowego do działania w każdej chwili. Ukraina, z tego co słyszę, dysponuje 20–30 tysiącami żołnierzy zdolnymi do konfrontacji zbrojnej. Pewnie Rosja na krótką metę wygrałaby taki konflikt. Ale Ukraińcy podczas walk na wschodzie kraju pokazali, że są dość dobrzy w wojnie partyzanckiej. W dłuższej perspektywie mogłaby to być operacja kosztowna. Obecne wydarzenia w Afganistanie czy Iraku pokazują, jak droga może być okupacja kraju wbrew woli jego mieszkańców.

Czy opozycja w Rosji ma jakąkolwiek szansę na sukces? Wydaje się, że na razie ruch Aleksieja Nawalnego został spacyfikowany przez Władimira Putina.

Niestety tak. Putin już osiągnął w Rosji to, co PiS chce zrobić w Polsce, to znaczy przejąć kontrolę nad prokuraturą i sądami. W Rosji można na podstawie zmyślonych zarzutów skazać każdego na karę więzienia.

Czy na Białorusi polityka Zachodu nie zakończyła się porażką, skoro protesty wygasły, represje się nasiliły, a Rosja zwiększyła kontrolę nad Białorusią?

Białoruś nie jest własnością Zachodu. Porażkę poniósł naród białoruski, nie zdołał dokonać demokratycznego wyboru. U władzy utrzymał się satrapa. Zachód robi, co może, żeby pomóc białoruskim demokratom. Nie dlatego, żeby chciał zmieniać reżim, uważa, że fałszowanie wyborów nie powinno mieć miejsca. Jednak są granice tego, co możemy zrobić. Parlament Europejski przyznał Swiatłanie Cichanouskiej Nagrodę Sacharowa. Cichanouska widuje się z większą liczbą przywódców światowych niż Aleksander Łukaszenka. Białorusini są wspierani, szczególnie

eprasa.pl 341d6b84b9

przez Litwę. Łukaszenka prowadzi represje porównywalne ze stanem wojennym w Polsce. Jako osłabiony dyktator jest wygodniejszy dla Putina. Zatem skutek jest odwrotny do zamierzonego: Białoruś porównałbym dziś do PRL. Jest zewnętrzny gwarant autokracji. W książce *Polska może być lepsza* stawiam nieprzyjemną dla Białorusinów tezę: otóż sytuacja w ich kraju zmieni się dopiero, gdy zmiany nastąpią w Rosji.

Partnerstwo Wschodnie, którego był Pan jednym z twórców, spełniło po części swoje oczekiwania. Gruzja, Ukraina i Mołdawia podpisały umowy stowarzyszeniowe z Unią Europejską. Wprowadzono ruch bezwizowy z tymi krajami. Jak Pan widzi przyszłość tej inicjatywy? Czy należałoby opracować Partnerstwo Wschodnie 2.0 i co miałoby się w nim znaleźć – na przykład ewentualne przyszłe członkostwo tych państw we Wspólnocie?

Członkostwo Gruzji, Ukrainy i Mołdawii w Unii Europejskiej nie było oficjalnym celem Partnerstwa Wschodniego, nie było na to zgody zachodniej Europy. Jednak niepisaną ambicją inicjatywy było przygotowanie krajów chętnych do starania się o członkostwo. W ostatnich latach pojawiają się propozycje, aby różnicować trzy kraje aspirujące do Unii od trzech, które takiej ambicji nie mają. Dzisiejsza Białoruś jest w tym procesie zupełnie zdyskwalifikowana. Partnerstwo posiada budżet w wysokości półtora miliarda euro rocznie. Fundusze te przeznaczone są na budowanie bardziej cywilizowanych przejść granicznych, inicjatywy ekologiczne, transgraniczne, wsparcie dialogu społeczeństw, mikropożyczki dla przedsiębiorstw czy przygotowywanie sektora spraw wewnętrznych do ruchu bezwizowego. Dobrze byłoby to kontynuować, ponieważ przed krajami partnerskimi nadal stoją duże wyzwania. Cieszę się, że tej inicjatywy rząd PiS nie zniszczył. Niestety zamknięto tak dla nas korzystny mały ruch graniczny z rosyjskim obwodem kaliningradzkim.

Środowiska prawicowe obawiają się, że Trójmorze, flagowy program PiS-owskiej dyplomacji, zostanie oddany przez USA pod kuratelę Niemcom. W niedawnym porozumieniu amerykańsko-niemieckim w sprawie Nord Stream 2 pojawił się zapis dotyczący wzmocnienia finansowania Trójmorza przez Niemcy. Jak Pan ocenia projekt Trójmorza?

Jeśli ta inicjatywa ma polegać na zachęcaniu Amerykanów do zainwestowania kilkuset milionów dolarów w i tak toczące się już projekty lepszego skomunikowania i powiązania krajów tego regionu między sobą w sensie infrastrukturalnym oraz energetycz-

eprasa.pl 341d6b84b9

nym, to jest to nawet pożyteczne. Ale pamiętajmy, że nie taka była pierwotna idea Trójmorza. Jego twórcy wyobrażali sobie, że pod polskim przywództwem, jak za Jagiellonów, region będzie jednocześnie równoważył Niemcy i odstraszał Rosję. Rządzący przekonali się, że takiej koncepcji Amerykanie sobie nie życzą i chcą, żeby Niemcy w niej partycypowali. Polska zmusza USA do wyboru pomiędzy nią a Niemcami. Amerykanie zawsze wskażą na Niemcy. Nie warto się z Niemcami droczyć o zaszłości historyczne. Należy uzgadniać z nimi politykę wschodnią Unii Europejskiej. Jarosław Kaczyński dostał taką propozycję od Angeli Merkel podczas tajnego spotkania na zamku w Meseberg, ale ją odrzucił.

Czy w tę politykę obecnych polskich władz nie wpisuje się niedawne porozumienie sił prawicowo-nacjonalistycznych w Europie, czyli między innymi partii Wiktora Orbána, Marine Le Pen, Jarosława Kaczyńskiego i Matteo Salviniego? Czego od tego sojuszu oczekuje PiS? Czy może on doprowadzić do przebudowy UE?

To może co najwyżej doprowadzić do przebudowy sposobu finansowania podróży służbowych posła Ryszarda Czarneckiego w Unii Europejskiej. Bo będą mieli osobny budżet. To jest kolejne działanie w myśl porzekadła „na złość mamie odmrożę sobie uszy". Orbán to praktykował, teraz praktykuje Kaczyński. Nie potrafią współpracować z sojusznikami w sytuacji, w której nie sprawują kontroli i są „junior partnerem".

Czy chciałby Pan wrócić na stanowisko szefa polskiej dyplomacji w razie wygranej opozycji w wyborach parlamentarnych? Jakie powinny być priorytety przyszłego kierownictwa MSZ?

MSZ został instytucjonalnie wykastrowany. Odebrano mu kompetencje europejskie i fundusze. Nie jest miejscem prowadzenia polityki zagranicznej, bo tak jak wszystko inne, prowadzi się ją na Nowogrodzkiej. Po pierwsze, MSZ musi zatem odzyskać instytucjonalną i konstytucyjną rolę koordynatora działań wszystkich agend państwa polskiego w relacjach z zagranicą. Po drugie, trzeba przywrócić poprzedni, lepszy model zarządzania polityką europejską, w którym pierwszy zastępca ministra spraw zagranicznych jest jednocześnie głównym doradcą premiera w sprawach europejskich. I po trzecie, trzeba skończyć wojnę na kilka frontów. W interesie Polski jest być krajem praworządnym i demokratycznym i jednocześnie otrzymywać wsparcie dla transformacji energetycznej i modernizacji kraju, a PiS prowadzi do sytuacji, w której możemy stracić i jedno, i drugie. Trzeba przywrócić realizowanie polskiego interesu narodowego, a nie PiS-owskiego, którym jest teraz wyłącznie utrzymanie się przy

eprasa.pl 341d6b84b9

władzy. Należy wygasić spory z Komisją Europejską, Komisją Wenecką, Radą Europy czy ze Stanami Zjednoczonymi. Trzeba przywrócić rolę Polski jako kraju programującego politykę wschodnią całej Unii Europejskiej. Kiedy nie rozmawia się z Rosjanami, Niemcami, Ukraińcami, to jaką można mieć sprawczość? Wszyscy są źli, tylko PiS ma we wszystkim rację?

A Pańska w tym rola? Chciałby Pan wrócić na aleję Szucha?

Jestem zadowolony z mojej obecnej roli, ale w polityce nigdy nie mówi się nigdy.

Radosław Sikorski jest polskim politykiem, dziennikarzem i politologiem. W latach 1986–1989 reporter wojenny w Afganistanie i Angoli. W latach 1998–2001 podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w rządzie Jerzego Buzka. Marszałek Sejmu VII kadencji (2014–2015). W latach 2005–2007 minister obrony narodowej w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, w latach 2007–2014 minister spraw zagranicznych w rządach Donalda Tuska. Wraz z Carlem Bildtem był inicjatorem unijnego programu Partnerstwo Wschodnie zainaugurowanego w 2009 roku. W 2014 roku podczas Euromajdanu poprowadził misję dyplomatyczną Unii Europejskiej w Kijowie. W latach 2010–2016 wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej. Od 2019 roku poseł do Parlamentu Europejskiego IX kadencji.

eprasa.pl 341d6b84b9

Walizeczka bez rączki

Tadeusz Iwański

Przy praktycznie niezmiennej ofercie Unii Europejskiej cele sześciu państw Partnerstwa Wschodniego – jakże zróżnicowanych na starcie – w ciągu kolejnych lat rozjeżdżały się coraz bardziej i to nie tylko *vis-à-vis* Unii Europejskiej, ale także wewnątrz samej inicjatywy.

W grudniu odbędzie się szczyt Partnerstwa Wschodniego – unijnej inicjatywy wymyślonej przez Polskę i Szwecję. Ukrainie, Gruzji, Mołdawii, Białorusi, Armenii i Azerbejdżanowi w 2009 roku zaproponowano udział w nowym formacie, wyodrębniającym sześć państw posowieckich z całej Europejskiej Polityki Sąsiedztwa, którego celem było pogłębienie współpracy regionalnej i zacieśnienie stosunków z Unią Europejską. Konkrety na stole były dwa: podpisanie umów stowarzyszeniowych wraz z pogłębionymi strefami wolnego handlu i liberalizacja wizowa. Pierwszy zakładał gruntowane zreformowanie wszystkich sfer funkcjonowania państwa: od systemu sądowniczego, przez gospodarkę, po walkę z korupcją i sanację administracji (przez przyjęcie prawie całości unijnego dorobku prawnego). Drugi – niejako w formie nagrody i w zależności od stanu implementacji reform – zakładał umożliwienie obywatelom tych krajów podróżowania do Unii Europejskiej bez wiz oraz ułatwienia w handlu z UE. Partnerstwo Wschodnie nie przewidywało jednak dla tych krajów członkostwa we Wspólnocie.

Underdogi...

Działające od ponad dekady Partnerstwo Wschodnie już dawno przestało spełniać oczekiwania państw objętych tą inicjatywą. Sytuacja polityczna w każdym z nich zmieniła się diametralnie, wspomniane wyżej konkrety zostały przez bardziej ambitne państwa politycznie skonsumowane, przez mniej ambitne po prostu zarzucone, zaś perspektywa członkostwa – jak była, tak i pozostała nieosiągalna z powodu braku zgody Brukseli reprezentującej opinie wszystkich państw Unii Europejskiej. Co więcej, pogłębiły się różnice polityczne i rozwojowe pomiędzy samymi członkami Partnerstwa Wschodniego, redefinicji uległa także – z racji agresywnych działań Rosji – sytuacja w regionie, a wraz z nią sposób patrzenia na Unię Europejską i wiązane z nią nadzieje.

eprasa.pl 341d6b84b9

Dobrych pomysłów na przyszłość Partnerstwa, które by satysfakcjonowały zarówno Brukselę, jak i jej ambitnych partnerów, nie widać. *De facto* odrzucając ich przyszłe członkostwo, Unia proponuje działania, które choć są sektorowo ważne, to cechują się raczej niskim potencjałem mobilizacji społeczeństw w krajach partnerskich, a więc są mało cenione przez rządzących. Partnerstwo stało się, jak lubią mówić na wschodzie, „walizką bez rączki": i nieść ciężko, i porzucić szkoda. Przed grudniowym szczytem nie widać kolejnej, po umowach stowarzyszeniowych i liberalizacji wizowej, *big idea*: wystarczająco ambitnego i politycznie sprzedawalnego pomysłu na Wschodzie, który jednocześnie nie budziłby sprzeciwu na Zachodzie.

Ukraińskie elity i społeczeństwo doceniają osiągnięcia wynikające ze współpracy z Unią. Jednocześnie coraz częściej artykułowane są oczekiwania nadania większej dynamiki współpracy z Brukselą.

W przypadku Armenii i Azerbejdżanu uczestnictwo w inicjatywie nigdy nie wynikało ze szczerego wyboru geopolitycznego i głębszej chęci „powrotu do Europy" uosabianej przez Unię. Było raczej koniunkturalną decyzją ówczesnych reżimów politycznych, służącą grze „w poszerzenie pola manewru w polityce zagranicznej" wobec wielkich sąsiadów: Rosji i Turcji, a przy okazji także zniesieniu przynajmniej części barier handlowych. Instytucjonalne zbliżenie z Unią w przypadku Baku nie doszło w zasadzie do skutku, zaś w przypadku Erywania jedynie częściowo i raczej pozornie – podpisana w 2017 roku umowa CEPA (Comprehensive and Enhanced Partnership Agreement) nie przewiduje strefy wolnego handlu, a tym samym nie stoi w sprzeczności z członkostwem Armenii w kontrolowanej przez Moskwę Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej.

Zdecydowany regres w relacjach z Unią, a także innymi państwami Partnerstwa, widoczny jest w przypadku Białorusi. Doszło do niego po ubiegłorocznych wyborach prezydenckich. W reakcji na brutalne działania reżimu wobec demonstrujących przeciwko fałszerstwom wyborczym białoruskich obywateli Wspólnota stopniowo wprowadzała sankcje personalne i ekonomiczne (obecnie 166 przedstawicieli białoruskich władz i 15 przedsiębiorstw), a także – jeszcze bardziej bolesne – sektorowe ograniczenia handlowe, między innymi dotyczące eksportu głównych białoruskich towarów, takich jak produkty naftowe i część nawozów potasowych. W reakcji na ostatni czerwcowy pakiet sankcji Mińsk zawiesił udział w programie i *de facto* wyrzucił z białoruskiej stolicy szefa delegatury Komisji Europejskiej. Demonstracyjne działania Mińska pokazują, że nadrzędnym celem Aleksandra Łukaszenki jest zachowanie władzy niezależnie od kosztów politycznych i ekonomicznych. Choć białoruska dyplomacja podkreśla gotowość do dialogu oraz współpracy „na rów-

eprasa.pl 341d6b84b9

nych dla obu stron warunkach", w obecnej sytuacji jest to raczej retoryczną próbą obarczenia Unii odpowiedzialnością za zerwanie tego dialogu, w związku z tym tego typu oświadczenia mają jedynie propagandowe znaczenie. Zresztą Mińsk nigdy nie pałał chęcią głębszego zaangażowania w Partnerstwo, podobnie jak Baku i Erywań, traktując tę inicjatywę instrumentalnie. Dążył przede wszystkim do zysków ekonomicznych: ściągnięcia unijnych inwestycji, realizacji projektów infrastrukturalnych i zmniejszenia barier handlowych, lecz bez reform uznawanych przez Łukaszenkę za ryzyko osłabienia kontroli nad państwem. W relacjach z Rosją momenty pozornego ocieplenia z Unią były precyzyjnie wyreżyserowane, mając na celu wymuszenie kolejnych ustępstw gospodarczych, subsydiów czy kredytów. Nie zawsze zresztą polityka ta była bezskuteczna, lecz nigdy nie wynikała ona z realnej chęci zbliżenia ze Wspólnotą.

...i pacemakerzy

Inaczej sprawa się miała z pozostałą trójką. Gruzja, Mołdawia i Ukraina, pomimo różnych wstrząsów wewnętrznych, stały się liderami Partnerstwa. Spełniły warunki umożliwiające podpisanie umowy stowarzyszeniowej (*Associated Agreements*) wraz z umową o pogłębionej i kompleksowej strefie wolnego handlu (*Deep and Comprehensive Free Trade Area*, DCFTA), a także faktem stało się zniesienie wiz dla obywateli tych krajów podróżujących do Unii. W każdym z tych państw współpraca w ramach Partnerstwa widziana jest trochę inaczej, towarzyszą jej też inne emocje, co można zaobserwować na przykładzie Ukrainy i Mołdawii.

Objęcie w maju 2019 roku urzędu prezydenta przez Wołodymyra Zełenskiego oraz zwycięstwo jego partii Sługa Narodu w wyborach parlamentarnych w lipcu tego samego roku przyniosło kontynuację proeuropejskiego kursu w polityce zagranicznej Ukrainy. Integracja z Unią, podobnie zresztą jak z NATO, została wpisana do konstytucji jeszcze przez poprzedniego prezydenta Petra Poroszenkę. Od 2014 roku Kijów przyjął kurs zdecydowanie proeuroatlantycki. Było to reakcją na rosyjską agresję na Krymie i w Donbasie uniemożliwiającą powrót do – jakże lubianej – polityki wielotorowości, czyli balansowania między Wschodem i Zachodem czasów Leonida Kuczmy i Wiktora Janukowycza. Kluczowe znaczenie miał radykalny wzrost poparcia społecznego dla członkostwa Ukrainy w NATO i Unii Europejskiej, pójście na przekór tym nastrojom było, i jest do dziś, politycznym samobójstwem.

Ukraińskie elity i społeczeństwo doceniają dotychczasowe osiągnięcia wynikające ze współpracy z Unią. Jednocześnie coraz częściej i w coraz ostrzejszej formie artykułowane są oczekiwania nadania większej dynamiki współpracy z Brukselą. Kijów postuluje między innymi rewizję umowy stowarzyszeniowej mającą na celu

eprasa.pl 341d6b84b9

dalszą liberalizację wymiany handlowej. Z tego powodu rozpoczęto w lutym bieżącego roku proces negocjacji na temat objęcia Ukrainy porozumieniem w sprawie zgodności i dopuszczalności produktów przemysłowych (ACAA); Kijów wyraża także oczekiwanie uzyskania jasnej perspektywy członkostwa we Wspólnocie, na którą według prezydenta Zełenskiego Ukraina „dawno zasłużyła", a także domaga się większego zaangażowania Unii w kwestie bezpieczeństwa, przede wszystkim zaś aktywniejszych działań na rzecz powstrzymywania rosyjskiej agresji na Ukrainie. Jednocześnie warto pamiętać, że Kijów nigdy za bardzo nie cenił Partnerstwa Wschodniego. Już samo włączenie Ukrainy do inicjatywy razem ze znacznie mniejszymi, mniej ambitnymi i dalej od Unii położonymi krajami było nad Dnieprem interpretowane prawie jak potwarz. Od powołania inicjatywy dla władz ukraińskich, prócz prezydenta Janukowycza, tak naprawdę liczyła się tylko perspektywa członkostwa, a Partnerstwo jej nie dawało. Tak jest i dziś.

Sformalizowaniu podziału Partnerstwa na dwie prędkości i uznaniu większych aspiracji niechętna jest Komisja Europejska z powodu oporu przede wszystkim zachodnich jej członków.

W przypadku Mołdawii wszystkie największe ugrupowania polityczne zainteresowane są rozwijaniem współpracy z Brukselą w ramach Partnerstwa Wschodniego. Dotyczy to nie tylko sił programowo proeuropejskich, ale także prorosyjskiej Partii Socjalistycznej, kierowanej przez byłego prezydenta Igora Dodona. Choć liderzy tej partii wzywali w przeszłości do wypowiedzenia lub rewizji podpisanej w 2014 roku przez Mołdawię umowy stowarzyszeniowej z Unią, to obecnie powstrzymują się od podobnych oświadczeń. Jednocześnie rządzący przez ostatnie lata socjaliści nie byli zainteresowani implementacją strukturalnych reform, szczególnie takich, które mogłyby wpłynąć negatywnie na pozycję elit politycznych. We współpracy z Unią dostrzegają przede wszystkim wymiar finansowy: inwestycyjny i handlowy. Wdrażanie zmian w zakresie walki z korupcją czy reformy systemu sądowniczego były więc maksymalnie spowalniane. O sukcesie reform w znacznym stopniu zadecyduje praktyka rządzenia Partii Działania i Solidarności (PAS), ugrupowania powiązanego z prozachodnią prezydent Maią Sandu od grudniu 2020 roku, które zdecydowanie wygrało lipcowe wybory parlamentarne i samodzielnie stworzyło rząd.

Stowarzyszone Trio

Wyrazem determinacji tych trzech krajów do przyspieszenia integracji europejskiej było podpisanie w Kijowie przez szefów MSZ Gruzji, Mołdawii i Ukrainy

eprasa.pl 341d6b84b9

w maju bieżącego roku memorandum w sprawie pogłębienia współpracy na rzecz uzyskania członkostwa w Unii Europejskiej. Cel ten został potwierdzony podczas lipcowego szczytu prezydentów tych państw w Batumi. W deklaracji końcowej napisano wprost: „Członkostwo w Unii Europejskiej to cel, który łączy trzy nasze kraje. Nie ma alternatywy dla integracji europejskiej naszych państw i żadna trzecia strona nie może wpłynąć na nasz suwerenny wybór (…). Wsparci wolą naszych narodów, by stać się częścią europejskiej rodziny, deklarujemy zdecydowanie we współpracy na rzecz uznania europejskiej perspektywy Gruzji, Mołdawii i Ukrainy, która otworzy drogę do przyszłego członkostwa naszych trzech państw w Unii Europejskiej".

Oficjalnie nowy format pod nazwą Stowarzyszone Trio (Associated Trio, A3) ma stać się platformą konsultacji działań w kontaktach z unijnymi instytucjami, a także koordynacji stanowisk w ramach Partnerstwa Wschodniego, faktycznie zaś ma zwiększyć presję na kraje członkowskie przed zaplanowanym na grudzień bieżącego roku szczytem, na którym mają zostać przyjęte długoterminowe cele programu. Jest on wyrazem frustracji spowodowanej brakiem ambitnych celów. Prezydent Wołodymyr Zełenski powiedział w Batumi, że choć grudniowy szczyt będzie ważny, to „brak po stronie Unii Europejskiej strategicznej wizji celów Partnerstwa Wschodniego czyni ten format nie tak istotnym, na pół ważnym". Trójka ta domaga się od Unii Europejskiej lepszej i bardziej zaawansowanej oferty niż pozostali członkowie PW.

W przypadku Armenii i Azerbejdżanu uczestnictwo w Partnerstwie nigdy nie wynikało ze szczerego wyboru geopolitycznego. Było raczej koniunkturalną decyzją ówczesnych reżimów politycznych.

Choć A3 powstało w ramach Partnerstwa i Unia pochwaliła zwiększoną koordynację między partnerami, *de facto* podważa to funkcjonalność tej inicjatywy w dotychczasowym formacie i przyspiesza jej rozpad na dwie grupy państw: ambitnych, dla których udział w niej jest jedynie przystankiem na drodze do członkostwa we Wspólnocie, i nieambitnych, dla których relacje z Unią mają znaczenie drugorzędne. Dodatkowo żadna z tych grup nie jest zadowolona ze stanu współpracy: pomijając Białoruś, Armenia i Azerbejdżan chciałyby więcej środków finansowych na inwestycje i pomoc techniczną, z kolei Stowarzyszone Trio – choć nie wzgardziłoby i tym, ma przede wszystkim dalekosiężne cele polityczne.

Sformalizowaniu podziału Partnerstwa na dwie prędkości i uznaniu większych aspiracji niechętna jest Komisja Europejska z powodu oporu przede wszystkim zachodnich jej członków. Nie ma tam bowiem zgody na rozszerzenie Unii Europejskiej na wschód, a nacisk kładzie się na implementację umów stowarzyszeniowych, walkę z korupcją i innych kwestii, które „kuleją" po stronie partnerów. Poza tym uzna-

eprasa.pl 341d6b84b9

je się, jakkolwiek nie byłoby to myślenie życzeniowe, że utrzymanie dotychczasowego formatu Partnerstwa przyspieszy reformy u mniej ambitnych partnerów, gdy zobaczą, z jakich benefitów korzystają ci bardziej zaawansowani. Sam zaś podział Partnerstwa Wschodniego – jako logiczna konsekwencja upodmiotowienia A3 – uznawany jest za krok niebezpieczny, bo zwiększający presję na perspektywę członkostwa. W tym duchu należy interpretować brak akceptacji dla – nierzadko słusznych – argumentów, że poziom zaawansowania reform, rządów prawa czy wolności słowa w krajach A3 jest porównywalny, a niekiedy nawet wyższy, niż w sześciu krajach „Bałkanów Zachodnich". Te, choćby jedynie formalnie, ale posiadają perspektywę członkostwa we Wspólnocie.

W relacjach z Rosją momenty pozornego ocieplenia z Unią były precyzyjnie wyreżyserowane: ich celem było wymuszenie kolejnych ustępstw gospodarczych, subsydiów czy kredytów.

Unia gotowa jest dać A3 wiele, lecz nie członkostwo, wpływ na proces podejmowania decyzji w Unii i dostęp do unijnych funduszy. Stąd mowa o wzmacnianiu integracji sektorowej – w energetyce, transporcie (umowa o otwartym niebie), komunikacji (zniesienie opłat roamingowych), cyfryzacji (integracja z jednolitym rynkiem cyfrowym Wspólnoty) czy rozbudowie infrastruktury przesyłowej (*connectivity*), z których korzyści czerpać będą także członkowie Unii Europejskiej. Słusznie argumentuje się także na rzecz pogłębienia współpracy w walce z zagrożeniami hybrydowymi, dezinformacją i atakami cybernetycznymi, których źródło pochodzi z Kremla. Jednak niechęć do drażnienia Rosji, miraż wielkich interesów, które można tam zrealizować i wątpliwe kalkulacje geopolityczne w dalszym ciągu przeważają nad trzeźwą oceną sytuacji.

Perspektywy

Obecnie unijna oferta dla Partnerstwa Wschodniego bazuje na szeroko zakrojonych „20 celach na 2020 rok" oraz pięciu (tyleż generalnych, co elastycznych) celach zawartych w ubiegłorocznym komunikacie Komisji Europejskiej *Polityka Partnerstwa Wschodniego po 2020 r.: wzmacnianie odporności – Partnerstwo Wschodnie, które służy wszystkim*. W planie Brukseli jest zatwierdzenie na grudniowym szczycie Partnerstwa Wschodniego nowych długoterminowych celów, opartych na wspólnym komunikacie, konkluzjach Rady oraz uwagach państw członkowskich i partnerów wschodnich, a także uzgodnienie nowego zestawu założeń na okres po roku 2020. To ważne, bo brak skonkretyzowania dotychczasowej oferty oraz uzupełnienia jej o nośne politycznie elementy może doprowadzić do wyhamowania tempa imple-

eprasa.pl 341d6b84b9

mentacji zapisów umowy stowarzyszeniowej przez Ukrainę, Gruzję i Mołdawię. Sprzyjać będzie także faktycznej dekompozycji Partnerstwa, kształtowaniu się coraz bardziej asertywnej postawy wobec Brukseli państw ambitnych, a także wzmocnieniu przez nie stosunków bilateralnych z poszczególnymi państwami unijnymi, przede wszystkim z Niemcami i Francją, jako bardziej efektywnych niż relacje z instytucjami Unii. Potrzebne jest zatem rozwiązanie, które wyjdzie naprzeciw oczekiwaniom Kijowa, Tbilisi i Kiszyniowa, a jednocześnie będzie uwzględniać obecne uwarunkowania wewnątrz Unii. Jest to zadanie trudne i wymaga odważnych decyzji. Jednak na dłuższą metę stawką jest prodemokratyczny kurs polityczny i stabilizacja w kluczowych państwach Europy Wschodniej i Kaukazu Południowego.

Tadeusz Iwański jest kierownikiem Zespołu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Tekst ukończony w sierpniu 2021 roku.

eprasa.pl 341d6b84b9

Partnerstwo Wschodnie na rozdrożu

Beata Piskorska, Tomasz Stępniewski

Konflikt zbrojny na Ukrainie spowodował, że zmianie uległa nie tylko sytuacja geopolityczna Europy Wschodniej, ale również warunki, w jakich realizuje się polityka wschodnia Unii Europejskiej. Partnerstwo Wschodnie często postrzegane jest jako niezbyt skuteczne. Pojawiają się również opinie o upadku tego projektu. Czy na pewno nie spełnił on oczekiwań? Państwa wschodniego sąsiedztwa pogrążają się w kolejnych kryzysach, a zmiany systemowe są w obecnej sytuacji niemożliwe do zrealizowania i mają wpływ na kształt relacji z Unią Europejską. Czy działania Rosji uniemożliwią osiągnięcie celów Partnerstwa?

W 2009 roku Unia Europejska powołała do życia projekt Partnerstwa Wschodniego (PW) skierowany do sześciu europejskich państw dawnego Związku Radzieckiego (Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Gruzja, Mołdawia i Ukraina). Celem inicjatywy było wzmocnienie relacji politycznych między Wspólnotą a wymienionymi krajami oraz zachęcenie ich do integracji gospodarczej przez promowanie reform. Wiele udało się osiągnąć od wprowadzenia tego projektu, ale też wiele się zmieniło. Z jednej strony Gruzja, Mołdawia i Ukraina zawarły umowy stowarzyszeniowe z Unią Europejską, a obywatele tych państw uzyskali prawo wjazdu na terytorium unijne bez wiz. Państwa mają ambicje i szanse dalszej integracji ze strukturami Wspólnoty w postaci tzw. czterech unii – cyfrowej, energetycznej, Schengen i celnej. Armenia też zawarła rozszerzoną umowę o partnerstwie z Unią Europejską. Z drugiej strony mamy do czynienia z wojną w Donbasie od 2014 roku, aneksją Krymu przez Rosję, konfliktem zbrojnym Armenii z Azerbejdżanem oraz wycofaniem się Białorusi z Partnerstwa Wschodniego.

Projekt ten przechodzi obecnie najtrudniejszy jak dotąd okres spowodowany licznymi kryzysami politycznymi i humanitarnymi, a nawet wojną w ramach i pomiędzy państwami PW. Jednak wraz z nowymi ambicjami stworzenia silniejszej Unii Europejskiej niezbędne okazuje się nowe podejście do polityki wschodniej, jeśli Wspólnota zgodnie z założeniami ma działać bardziej geopolitycznie i zwiększać swoje wpływy na wschodzie. Kryzys wywołany pandemią COVID-19 zdominował

eprasa.pl 341d6b84b9

obecne priorytety europejskie, ale nie spowodował ustąpienia innych mocarstw w asertywnym dążeniu do celów geopolitycznych, w tym o przywództwo w postnowoczesnym świecie. Pandemia ujawniła wiele słabości strukturalnych, administracyjnych i bezpieczeństwa, które od dawna widoczne są zarówno w samej Unii, a tym bardziej w państwach Europy Wschodniej.

Chociaż nowy komunikat Komisji Europejskiej w sprawie przyszłości Partnerstwa Wschodniego został wydany w marcu 2020 roku i jest w pełni zgodny z wytycznymi politycznymi Komisji Europejskiej na lata 2019–2024, to nadal trwa dyskusja na temat tego, jak Partnerstwo Wschodnie będzie wyglądać po 2020 roku.

Partnerstwo Wschodnie a Unia Europejska

Od momentu ustanowienia Partnerstwa misja Unii Europejskiej nie uległa zmianie: „wzmocnić stowarzyszenie polityczne i integrację gospodarczą sześciu państw partnerskich z Europy Wschodniej i Kaukazu Południowego". W ten sposób Unia Europejska promuje swoje wartości i standardy w tych państwach przez swoją normatywną siłę i przyczynia się do ustanowienia wspólnego zobowiązania do ochrony stabilności, bezpieczeństwa i dobrobytu na całym kontynencie europejskim. Oprócz kluczowych umów dwustronnych (AA i DCFTA) Partnerstwo zapewniło dostęp do wielu programów i projektów wspieranych przez Wspólnotę, takich jak EU4Climate, EU4Business, EU4Digital, EU4Youth, E5P i EU Water Initiative plus. Poza tym Partnerstwo zapewnia platformy do zaangażowania Unii i państw sąsiednich, co z kolei sprzyja tworzeniu nowych formatów dwustronnego i wielostronnego dialogu o współpracy. Jedną z takich regularnie prowadzonych platform są szczyty Partnerstwa Wschodniego.

Jako element nowego podejścia Europy do wschodnich państw sąsiedzkich na kolejną dekadę, w 2017 roku po szczycie Partnerstwa Wschodniego w Brukseli został wydany dokument ramowy definiujący projekt. Obejmował dwadzieścia konkretnych celów i zadań do wykonania przez państwa Partnerstwa zdefiniowane w pięciu wymiarach: gospodarka, zarządzanie, łączność i społeczeństwo wraz z celami dotyczącymi przekrojowych zagadnień równości płci, społeczeństwa obywatelskiego, mediów i komunikacji strategicznej. Według oceny postępów wyznaczonych priorytetów, ta polityka przyniosła pewne wymierne rezultaty dla obywateli państw Partnerstwa. Osiągnięto umiarkowany postęp w zakresie celów związanych z dostępem do rynku, gospodarką i efektywnością energetyczną oraz bezpieczeństwem dostaw energii. Jeśli chodzi o rezultaty związane ze sprawowaniem rządów (rządy prawa, walka z korupcją i przestępczością zorganizowaną, rolą niezależnych mediów), mimo pewnych osiągnięć wciąż pozostaje wiele do zrobienia. Sześć państw boryka się

eprasa.pl 341d6b84b9

z problemami związanymi z wdrażaniem zasad dobrego zarządzania. Nowe ramy Partnerstwa powinny zająć się tą kwestią ze szczególną uwagą.

W ostatnich latach kilka zjawisk zmusiło Unię Europejską do głębszego przyjrzenia się swojej polityce zagranicznej. Jednym z takich trendów jest coraz większa świadomość, że potrzebuje ona większej zdolności do niezależnego działania w niektórych sprawach zewnętrznych. Należy jednak zauważyć, że nie chodzi tutaj o Unię jako silnego gracza zdolnego do konfrontacji geopolitycznej, ale o siłę jego aktywnego kształtowania strategicznego bezpieczeństwa na świecie (w szczególności w swoim sąsiedztwie). W związku z tym dążenie do budowy bardziej geopolitycznej Europy stało się wyraźnym celem Komisji Europejskiej pod przewodnictwem Ursuli von der Leyen. Ten cel podziela większość państw członkowskich, których wpływ zacznie słabnąć, jeśli Unia nie będzie działać z większą ambicją, siłą i spójnością.

Z perspektywy państw wschodniego sąsiedztwa

Obecna sytuacja polityczna w państwach partnerskich nie ułatwia im zbliżenia z Unią Europejską – domniemane fałszerstwa wyborcze w ostatnich wyborach parlamentarnych w Gruzji spowodowały kryzys narodowy. Ukraina z kolei doświadczyła wycofania reform demokratycznych i kryzysu konstytucyjnego. Sfałszowane wybory prezydenckie na Białorusi doprowadziły do masowych protestów i kontestacji rządów prezydenta Aleksandra Łukaszenki przez społeczeństwo obywatelskie, a w konsekwencji wycofania się Białorusi z Partnerstwa. W wymiarze militarnym, poza trwającym od 2014 roku konfliktem rosyjsko-ukraińskim, w 2020 roku doszło do eskalacji sporu między Armenią a Azerbejdżanem o Górski Karabach, który przerodził się w pełnowymiarową wojnę. Mimo że Unia jest najważniejszym partnerem handlowym wszystkich państw Partnerstwa Wschodniego, to jej wpływ w obliczu wymienionych wydarzeń pozostaje ograniczony.

Mimo że Unia jest najważniejszym partnerem handlowym wszystkich państw Partnerstwa Wschodniego, to jej wpływ w obliczu wojny, protestów czy aneksji pozostaje ograniczony.

Wszystkie państwa Partnerstwa stoją też przed pilnymi wyzwaniami w zakresie bezpieczeństwa, które komplikują kształtowanie polityki Unii w postaci budowania ich odporności (*resilience*) na ingerencję z zewnątrz, a tym samym wzmocnienie europejskiej suwerenności strategicznej w odniesieniu do odstraszania i obrony oraz ochrony przed zagrożeniami hybrydowymi we wschodnim sąsiedztwie. Ponieważ Unia udziela w tym zakresie jedynie marginalnej pomocy, państwa partnerskie często postrzegają interesy europejskie jako drugorzędne.

eprasa.pl 341d6b84b9

Po 2020 roku

Chociaż Unia Europejska obecnie boryka się z wieloma wyzwaniami wewnętrznymi i zewnętrznymi, musi zwrócić uwagę na przemiany i zrewidować swoje podejście do projektu, aby „przenieść Partnerstwo Wschodnie na wyższy poziom", jak zwróciła się Ursula von der Leyen do komisarza ds. sąsiedztwa i rozszerzenia Olivéra Várhelyiego w liście misyjnym. W odpowiedzi 18 marca 2020 roku Komisja Europejska wydała nowy dokument ramowy dla swojej polityki Partnerstwa Wschodniego *Wzmacnianie odporności – Partnerstwo Wschodnie, które przynosi korzyści wszystkim*, w którym nakreślono długoterminowe cele polityczne przyszłej współpracy. Omówiono, jak stawić czoła wspólnym wyzwaniom i jak Unia będzie współpracować z państwami partnerskimi w różnych obszarach polityki w przyszłości, aby wzmocnić odporność, wspierać zrównoważony rozwój czy ochronę klimatu. Chodzi o wzmocnienie odporności w obszarach demokracji, społeczeństwa, gospodarki, energetyki, bezpieczeństwa cybernetycznego, mediów, środowiska, zdrowia i bezpieczeństwa. W porównaniu z poprzednią agendą nowy program koncentruje się bardziej na obszarach zielonej i cyfrowej transformacji. Może się to wiązać z dążeniem państw Partnerstwa do integracji z rynkami unijnymi, takimi jak rynki cyfrowe czy energetyczne.

Ważne jest, żeby państwa Grupy Wyszehradzkiej na forum unijnym przypominały o sytuacji państw Partnerstwa Wschodniego, wstawiały się za nimi, żeby nie pozwalały zapomnieć o toczącej się w Donbasie wojnie Rosji z Ukrainą. Kryzys na Ukrainie jest wyzwaniem nie tylko dla bezpieczeństwa tego kraju, ale też porządku europejskiego i światowego.

2 lipca 2021 roku Komisja Europejska i Wysoki Przedstawiciel Unii Europejskiej do Spraw Zagranicznych i Polityki Bezpieczeństwa nakreślili propozycję, w jaki sposób rozwijać priorytety współpracy z naszymi wschodnimi partnerami w nadchodzących latach. Program ten opiera się na pięciu długoterminowych celach, których zasadniczym elementem jest odporność, zgodnie z definicją dotyczącą przyszłości Partnerstwa Wschodniego w marcu 2020 roku. Jego podstawą będzie plan gospodarczy i inwestycyjny o wartości 2,3 miliarda euro obejmujący dotacje, łączenie i gwarancje, z potencjałem do uruchomienia do 17 miliardów euro na inwestycje publiczne i prywatne. W komunikacie podkreślono znów wezwanie do „odporności" w ramach pięciu strategicznych pozycji. Kryzys COVID-19 w dramatyczny sposób podkreśla potrzebę szóstego celu politycznego – odporności zdrowia publicznego, w tym odpowiedniej współpracy systemowej w sytuacjach kryzysowych. Regionalny plan gospodarczy i inwestycyjny

eprasa.pl 341d6b84b9

ma również wspierać ożywienie społeczno-gospodarcze po pandemii koronawirusa oraz długoterminową odporność z uwzględnieniem programu „lepszej odbudowy". W ramach kompleksowej agendy zdefiniowano dziesięć najważniejszych celów na 2025 rok, za priorytet na przyszłość uznano wpływ na transformację dla obywateli i biznesu razem z inicjatywami flagowymi dla każdego z państw.

W najbliższych latach Unia Europejska deklaruje zaangażowanie w realizację swoich wcześniejszych zobowiązań, w tym pomocy finansowej i eksperckiej dla krajów Partnerstwa Wschodniego. Wszystkie projekty Unii zostaną przedłużone. Warto jednak uruchomić takie programy jak EU4Par i EUACI, które już istnieją na Ukrainie, we wszystkich krajach Partnerstwa. Zwiększy to wsparcie UE w tworzeniu silnych instytucji i zwalczaniu korupcji w regionie.

Choć opublikowany w marcu wspólny komunikat w sprawie Partnerstwa Wschodniego oferuje szeroki wachlarz kierunków polityki, to stosunkowo mało miejsca poświęca na ich operacjonalizację. Projekt ma być przypuszczalnie możliwy do zaakceptowania przez wszystkie sześć państw Partnerstwa Wschodniego. Brak odniesienia do wspólnego wniosku trzech państw posiadających układy o stowarzyszeniu – Gruzji, Mołdawii i Ukrainy – o otwarcie „kwadrilogu" z Unią w celu zajęcia się sprawami, które ich dotyczą, a które nie są istotne ani wiarygodne w stosunku do innych państw Partnerstwa jest jednak rażącym przeoczeniem, które wymaga korekty. Należy również uzgodnić wspólnie z partnerami politykę Partnerstwa po 2020 roku i uwzględnić wiele kwestii transnarodowych wartych konsultacji czterostronnych, na przykład, w jaki sposób rewizja głównych polityk europejskich (między innymi w zakresie energii, klimatu i konkurencji) może wpłynąć na państwa stowarzyszone.

Stąd w nowej drodze dla Partnerstwa Wschodniego, po dekadzie doświadczeń z programem, należy wyartykułować kolejne słabości i zaniedbania po stronie Unii. Po pierwsze, komunikat nie precyzuje ram czasowych, które obejmuje, określając jedynie, że odnosi się do okresu „po 2020 roku". Nie jest więc jasne, jaki będzie przewidywany horyzont czasowy. Po drugie, w dokumencie nie określono żadnych celów strategicznych, które wskazywałyby, dokąd ta szeroka agenda powinna prowadzić, zarówno dla państw stowarzyszonych, jak i Partnerstwa Wschodniego jako całości. Zabrakło kluczowej odpowiedzi na pytanie „co dalej?". Po trzecie, w sposób marginalny odniesiono się do pojęcia demokracji, symbolicznie wyrażając poparcie dla dobrych praktyk demokratycznych, często preferując dwuznaczny termin „zarządzanie". Po czwarte, zabrakło wyraźnego odniesienia do nierozwiązanych konfliktów separatystycznych, poza formalnymi słowami o zaangażowaniu w pokojowe rozwiązanie konfliktu. Po piąte, mimo utrzymania zasady „więcej za więcej", nie zdefiniowano wytycznych operacyjnych dotyczących tego, jakie „więcej" może wnieść Unii w odniesieniu do tego, jakich „więcej" reform politycznych oczekuje od państw

eprasa.pl 341d6b84b9

Partnerstwa. Po szóste, kampanie dezinformacyjne to współczesna rzeczywistość państw projektu. Wymaga to dodania aspektu bezpieczeństwa w tym programie. Potrzebna jest również większa współpraca w zakresie bezpieczeństwa cyfrowego. Wreszcie, choć wspólny komunikat czerpie z wielu tematów, które znalazły się w „ustrukturyzowanych konsultacjach" z państwami Partnerstwa przeprowadzonych w 2019 roku, istnieje wrażenie, że wspólne wnioski trzech państw stowarzyszonych zostały zignorowane. Państwa te lobbowały za tak zwaną strategią Trio (A3, Stowarzyszone Trio), która pozwoliłaby im uzyskać nowe instrumenty wdrażania reform oraz dialogu z Unią w sprawach, które ich bezpośrednio dotyczą, a które nie są istotne ani wiarygodne w odniesieniu do innych państw Partnerstwa Wschodniego.

Chociaż nowy program ma wejść w życie, nie wystarczy, aby przyszła polityka Partnerstwa Wschodniego była dobrze prosperująca i odporna. Należy wziąć pod uwagę szereg uwarunkowań i wyzwań zarówno na poziomie Unii Europejskiej, państw partnerskich, jak i na poziomie regionalnym. Do nowego szczytu Partnerstwa Wschodniego planowanego na grudzień 2021 roku Unia musi wypracować odnowione i sfinalizowane podejście do realizacji polityki Partnerstwa. Należy wskazać na nowe obszary, w których program będzie stwarzał możliwość zacieśniania współpracy z Unią. Tym samym można podkreślić, że głosy ekspertów i polityków z państw Partnerstwa o tym, że projekt ten upadł, są niesłuszne i niezgodne ze stanem faktycznym. Nie można jednak zapominać, że w Unii mamy do czynienia z sytuacją, w której myślenie o państwach programu schodzi na dalszy plan. Dlatego też ważne jest, żeby państwa Grupy Wyszehradzkiej na forum Unii przypominały o sytuacji państw Partnerstwa, wstawiały się za nimi, żeby nie pozwalały zapomnieć o toczącej się w Donbasie wojnie Rosji z Ukrainą. Kryzys na Ukrainie jest wyzwaniem nie tylko dla bezpieczeństwa tego kraju, ale też porządku europejskiego i światowego. Jak stwierdził Paul Ivan, ważne jest, by podkreślić, że to Unia Europejska, że to Rosja dokonała aneksji Krymu, to Rosja prowadzi wojnę z Ukrainą i to Rosja złamała zasady prawa międzynarodowego. Sankcje nałożone przez Unię Europejską na Rosję są właściwą reakcją na politykę faktów dokonanych prowadzoną przez Kreml. Co ważne, obywatele państw partnerskich mają nadzieję na odnowioną, kompleksową, zróżnicowaną i inkluzywną politykę ramową, która postawi kropkę nad „i" w kwestii Partnerstwa Wschodniego po 2020 roku.

***

Podejście Unii Europejskiej do państw Partnerstwa Wschodniego musi ulec zmianie, ponieważ sytuacja geopolityczna we wschodnim sąsiedztwie także się zmieniła. Konflikt zbrojny na Ukrainie oraz coraz bardziej asertywna postawa Rosji wobec

eprasa.pl 341d6b84b9

wschodnich sąsiadów powodują, że Unia powinna reagować. Poza tym nowy prezydent USA Joe Biden również nie wykazuje zbytniej wrażliwości w kwestii spraw Europy Wschodniej (*vide* zgoda na ukończenie Nord Stream 2), co też rodzi nowe warunki dla rozwiązywania spraw wschodnich. Ponadto nie wszystkie państwa Partnerstwa Wschodniego są skłonne do zacieśniania współdziałania. Białoruś nawet wycofała się z tego projektu. W związku z tym pojawia się pytanie: w jaki sposób Unia może skutecznie współpracować z państwami Partnerstwa, skoro część z nich nie wyraża takiego zainteresowania? W jaki sposób polityka Unii może być skuteczna, skoro brakuje współpracy i zrozumienia? Należy również pamiętać, że jednym z ważnych elementów utrudniających współpracę Wspólnoty z państwami Partnerstwa Wschodniego jest korupcja, która trawi systemy polityczne państw programu oraz uniemożliwia zmianę ich sytuacji.

Dr hab. Beata Piskorska jest profesorką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji; przewodniczącą Rady Instytutu Europy Środkowej w Lublinie oraz ekspertką Team Europe przy Przedstawicielstwie Komisji Europejskiej w Polsce.

Dr hab. Tomasz Stępniewski jest profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierownikiem Katedry Teorii Polityki i Studiów Wschodnich w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji KUL; zastępcą dyrektora ds. badawczo-analitycznych Instytutu Europy Środkowej w Lublinie oraz ekspertem Team Europe przy Przedstawicielstwie Komisji Europejskiej w Polsce.

eprasa.pl 341d6b84b9

Wszystko jest w rękach Białorusinów

Z Pawłem Łatuszką, przewodniczącym Narodowego Zarządu Antykryzysowego, rozmawia Piotr Pogorzelski

PIOTR POGORZELSKI: W ubiegłym roku byłem dwukrotnie na Białorusi. W Grodnie przed wyborami i w Mińsku po nich. Widziałem ogromny entuzjazm Białorusinów i chęć zmian. Co z tego zostało rok po wyborach?

PAWEŁ ŁATUSZKA: Jestem przekonany, że mimo wyjątkowo brutalnych prześladowań stosunek Białorusinów do Aleksandra Łukaszenki i autorytarnego systemu władzy się nie zmienił. Białorusini jako naród uformowali się dawno, obecnie mamy do czynienia z odrodzeniem. Jesteśmy narodem, mamy więc prawo żyć we własnym państwie i decydować o jego dalszym rozwoju.

Reżim wykorzystał jednak ten rok, by znacznie rozbudować system represji. Zaostrzono prawo, które pozwala na karanie za każde słowo krytyki wygłoszone pod adresem władz. Od prawie czterdziestu lat w Europie nie niszczono wolności myśli na tak dużą skalę. W ostatnich dniach na przykład skazano na piętnastodniowy areszt osoby, które umieściły białe kartki papieru w oknach. Ten gest uznany został przez władze za formę protestu. Białoruskie społeczeństwo pozostaje przyciśnięte do ziemi. Porównałbym je do sprężyny, która w pewnym momencie może się odbić i bardzo mocno uderzyć w dyktatora i jego system.

Tylko że ludzie, którzy byli aktywni, zostali zmuszeni do wyjazdu. Nie mówię tylko o liderach, takich jak Pan czy Swiatłana Cichanouska, ale też o tak zwanych zwykłych obywatelach, którzy sprzeciwiali się reżimowi.

Nie pozostanie puste miejsce. Społeczeństwo, które poszło drogą demokratyczną, jest w stanie kreować nowych liderów. Nowe pokolenie Białorusinów nie wyobraża sobie dyktatury, Korei Północnej w centrum Europy.

Wszystko jest w rękach Białorusinów. Nie można liczyć, że ktoś za nas zrobi rewolucję: Biden, Borrell czy Putin. Pozostaje jedynie mieć nadzieję na wsparcie naszych działań ze strony państw demokratycznych.

Ale niestety Europa nie zdaje testu na działanie demokratycznych instrumentów międzynarodowego wpływu na reżimowe państwa. Chodzi mi o mechanizm jurysdykcji uniwersalnej. W ciągu roku ani jeden policjant, prokurator czy urzędnik, który dopuścił się przestęp-

eprasa.pl 341d6b84b9

stwa związanego z zabójstwem, masowymi represjami, torturami, przemocą, nie został ukarany. To znaczy, że w prawie międzynarodowym istnieją jedynie symboliczne instrumenty wpływu. I nie są wykorzystywane.

Na przykład konwencja ONZ o przeciwdziałaniu torturom. Praktycznie wszystkie państwa do niej dołączyły, w tym Polska, Litwa, Niemcy i Czechy. To właśnie w tych krajach obywatele Białorusi złożyli pozwy dotyczące stosowania wobec nich tortur. Po roku żadna sprawa nie doczekała się rozwiązania.

Nie od razu po pobiciu składali pozwy: musieli wyjechać z Białorusi, zaaklimatyzować się w nowym miejscu...

Tak, ale mam wrażenie, że w tych krajach nie ma woli politycznej, żeby uruchomić te mechanizmy.

Ale są unijne sankcje i to aż cztery pakiety.

Te pakiety nie są wystarczające. Apelowaliśmy do Unii Europejskiej oraz Stanów Zjednoczonych, by przyjęły sankcje już w ubiegłym roku. Przecież ich efektywność zmniejszała się każdego dnia po wyborach. Jeśli zostałyby wprowadzone we wrześniu lub październiku ubiegłego roku, Łukaszenki w tej chwili nie byłoby u władzy. Powolne mechanizmy uruchamiania sankcji dały reżimowi możliwość adaptacji. Znalezienia luk, które pozwalają wyjść z tej sytuacji. Jednocześnie zwiększono represje wobec Białorusinów. Nawet przyjęte niedawno sankcje sektorowe są rozciągnięte w czasie, dotyczą kontraktów podpisywanych od 25 czerwca 2021 roku. Wiele firm, w tym europejskich, zawiera więc umowy ze wsteczną datą. To daje reżimowi czas i pozwala na szukanie alternatywnych dróg – wykorzystywania państw trzecich, zmieniania nazw firm.

Sankcje wprowadzane tak wolno sprawiają, że Białorusini będą cierpieć latami. Widzimy też, że zmiana administracji w Białym Domu sprawiła, że Amerykanie nie reagowali szybko na wydarzenia na Białorusi. Ostatnio wznowili sankcje wobec przemysłu naftowego.

To prawda, ale w porównaniu z sankcjami nakładanymi na Rosję po aneksji Krymu i agresji w Zagłębiu Donieckim, w przypadku Białorusi wprowadzono je szybciej. Po zmuszeniu do lądowania samolotu linii Ryanair reakcja, jak na standardy unijne, była dość szybka.

Tu jest właśnie pies pogrzebany. Dla europejskich struktur i polityków powodem wprowadzenia sankcji były nie tyle masowe represje wobec Białorusinów, ile sytuacja z „awaryjnym" lądowaniem samolotu. Zagrożenie dotyczyło bowiem obywateli Unii Europejskiej, samolot należał do państwa Wspólnoty, realizował rejs z jednego unijnego kraju do drugiego. To znaczy, że wartość praw obywateli Białorusi i Unii Europejskiej się różni. Czy to odpowiada pojęciu powszechnych praw człowieka? Chyba nie. My, Białorusini jesteśmy Europejczykami, ale nie należymy

eprasa.pl 341d6b84b9

do Unii Europejskiej, dlatego apelujemy do Wspólnoty, by prawa Europejczyków były w równym stopniu chronione.

Nie oczekiwali Państwo bardziej aktywnych działań Putina wobec Łukaszenki?

Mówiliśmy o tym europejskim politykom w ubiegłym roku. Wszystkie scenariusze, które przedstawialiśmy w Warszawie, Wilnie, Berlinie i innych stolicach, zostały zrealizowane. Putin nie akceptuje przecież rewolucyjnego, ludowego sposobu zmiany władzy w jakimkolwiek państwie, tym bardziej położonym tuż przy granicy z Rosją i w jego rozumieniu znajdującym się w strefie wpływów Moskwy. Nie mógł więc zaakceptować tego, że białoruskie społeczeństwo chce doprowadzić do odejścia Łukaszenki.

We wrześniu 2020 roku Putin wyraźnie powiedział Łukaszence, że powinien odejść ze stanowiska prezydenta. Miało się to stać równolegle z reformą konstytucyjną, osłabieniem pełnomocnictw prezydenta i zwiększeniem pełnomocnictw parlamentu. Łukaszenka może przyjąć Rosję za wzór. W Dumie, przy wszystkich „słusznych" uwagach, jest wiele partii, a na Białorusi jest to niemożliwe.

Po reformie konstytucyjnej miały odbyć się przedterminowe wybory. Putin zresztą wciąż do nich zachęca. Robi to przez ograniczenie wsparcia finansowego dla reżimu. Dlatego białoruski system finansowy jest w głębokim kryzysie, grozi mu bankructwo. Putin jednak trzyma państwo w stanie zawieszenia, by bankructwo nie stało się faktem. On nie chce takiego rozwiązania, oznacza ono bowiem rewolucję, ludzi, którzy wychodzą na ulice, by zdecydować o losach kraju.

Jestem pewien, że Kremlowi zależy, by Łukaszenka był słaby. Takiego przywódcę można wykorzystywać jak marionetkę. Rządzący w Mińsku satrapa nie ma oparcia w świecie demokratycznym. Wcześniej Łukaszenka grał w pseudowielowektorowość. Jeśli nie podobały mu się stosunki z Rosją, zbliżał się do Europy. Kiedy pojawiała się potrzeba, biegł po pomoc do Rosji.

Nie zapominajmy, że tuż przed wyborami Łukaszenka publicznie, ale także na zamkniętych spotkaniach, w których brałem udział, mówił, że największe zagrożenie upatruje w Rosji. Poinformował nas, że pięciu generałów rosyjskiego wywiadu zewnętrznego stacjonuje w Mińsku, przybyli na zaproszenie ambasadora Rosji. I to właśnie Moskwa, jego zdaniem, planowała przewrót w czasie wyborów. Wygłaszał opinię, że to ona wspiera konkurentów Łukaszenki i chce usunąć prezydenta ze stanowiska. Rosja była więc głównym zagrożeniem i wrogiem. Dziś Putin nagle staje się „najlepszym przyjacielem" Łukaszenki, a główni wrogowie to Unia Europejska i Stany Zjednoczone. Satrapa stoi na jednej skręconej nodze.

Jeśli jest tak, jak Pan mówi, to Łukaszenka i tak się dobrze trzyma w tej sytuacji. Nie spełnia obietnic danych Rosji, nie zamierza przeprowadzić szerokiej reformy konstytucyjnej, na-

eprasa.pl 341d6b84b9

wet nie rejestruje prorosyjskiej partii Sojuz. Pokazuje, że wcale nie zgadza się na wszystko.

Rosja nie chce wywołać nowej fali masowych protestów. Łukaszenka doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wie, że jest potrzebny Kremlowi. Satrapa działa na chłopski rozum. Wykorzystuje moment.

Czy Państwu jako opozycji udało się nawiązać kontakty z przedstawicielami rosyjskich władz?

W ubiegłym roku mieliśmy takie kontakty, obecnie są one zawieszone. Co prawda, Siergiej Ławrow zaprzeczał, by jakiekolwiek rozmowy miały miejsce, ale przecież minister spraw zagranicznych nie o wszystkim musi wiedzieć.

Moskwa widzi jeden cel: Białoruś ma pozostać jej sferą wpływów. W przyszłości ma zostać przyłączona do Rosji. Sposób i metody realizacji tego celu są różne: przez przejęcie przedsiębiorstw państwowych, kontrolę nad wojskiem, systemem finansowym, wprowadzenie wspólnej waluty, systemów podatkowych i celnych. Słaba Białoruś stwarza Putinowi możliwości. Dziś, co prawda, nie jest gotów do wchłonięcia naszego kraju, wywoła to bowiem stanowczą reakcję świata demokratycznego i uderzy w rosyjską gospodarkę. Cel ten będzie więc realizowany stopniowo: Białoruś straci suwerenność, ale będzie posiadać zewnętrzne atrybuty niezależności. Wyrysowane na mapie granice, flagę i reprezentację w organizacjach międzynarodowych. Tylko znaczenie tych atrybutów zmaleje.

Przed ubiegłorocznymi wyborami na Zachodzie mówiono, że Łukaszenka jest gwarantem niepodległości Białorusi.

To fałszywa teza. Unia Europejska i Stany Zjednoczone powinny wreszcie to zrozumieć. Łukaszenka nie jest gwarantem niepodległości Białorusi – na tym założeniu powinny być zbudowane działania wymierzone w jego system. Tylko demokratyczna Białoruś, gdzie przestrzegane są prawa człowieka, może być niepodległa. Pozostawienie Łukaszenki u władzy doprowadzi do tego, że za rok, dwa albo trzy Rosja pochłonie Białoruś.

Niestety w Europie nadal są ludzie przekonani, że satrapa strzeże niepodległości naszego kraju. Niektórzy zachodni dyplomaci nawet teraz posługują się tą retoryką. To ogromny błąd.

Dlaczego Łukaszenka nie postąpił tak, jak Nursułtan Nazarbajew, który zdecydował się odejść w cień?

Łukaszenka widzi się tylko na jednym stanowisku, na fotelu prezydenta. Odejście oznacza dla niego śmierć, nie tylko polityczną, być może także fizyczną. Polityka to dla niego narkotyk. Wielokrotnie zresztą mówił, że jego odejście będzie oznaczać upadek Białorusi.

W imię władzy jest więc gotów zniszczyć gospodarkę, sferę socjalną, wszelką wolność myśli i nie zawaha się użyć w tym celu wszelkich możliwych sposobów, żeby tylko potwierdzić swoją nieusuwalność. A jeśli do „detronizacji" doj-

eprasa.pl 341d6b84b9

dzie, to kraj upadnie. Potwierdza to dekret, w którym napisał, że w przypadku zabójstwa lub nienaturalnej śmierci prezydenta krajem będzie rządzić Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony. Narusza więc konstytucję i mówi urzędnikom, jak mają działać po jego śmierci.

Kiedyś elita polityczna mówiła o nim: „szef", „prezydent", „pierwszy". Teraz mówią „wariat" i „psychopata". Nawet najbliższe otoczenie rozumie, że postradał zmysły.

Łukaszenka dużo mówi, ale za tymi słowami idą działania. Zapowiadał, że ukarze każdego, kto wystąpi przeciwko niemu. Według naszych informacji, 50 tysięcy uczestników masowych wieców rozpoznano dzięki komputerowemu systemowi identyfikacji twarzy. Kolejne osoby są zagrożone. Zapowiadał, że będzie się mścić na liderach opozycji poza granicami kraju i mamy przykład Romana Protasiewicza, którego zatrzymano w maju. Były dziennikarz poszedł na współpracę z reżimem, bo został złamany. W systemie tak silnie autorytarnym to nie zaskakuje.

Kiedy byłem w Mińsku, nagrywałem codziennie krótkie wideo, gdzie mówiłem, że nie biorę narkotyków, nie piję, jestem w pełni świadomy. A jeśli jutro zobaczycie mnie w państwowej telewizji i będę chwalić Łukaszenkę, to wiedzcie, że byłem torturowany.

Skoro otoczenie Łukaszenki określa go inwektywami, to dlaczego nie pojawia się w nim zarzewie buntu?

Mamy kontakty z urzędnikami średniego i wysokiego szczebla. Łukaszenka wie, że nikt z urzędników nie odda za niego życia. Jeszcze trzy lata temu satrapa skarżył się, że aparat urzędniczy jest zdemotywowany, a to prowadzi do utraty instrumentów do kierowania krajem. Państwo w ostatnich latach się stacza: PKB spada, gospodarka się nie rozwija, nie ma inwestycji. Teraz te procesy przyspieszyły. Niektórzy oczywiście go popierają: funkcjonariusze resortów siłowych czy fanatycy.

Jednak 80 procent elity politycznej i urzędniczej stanowią ludzie, którzy nie są mu oddani. To zakładnicy swojego strachu. Rozumieją, że jeśli się mu sprzeciwią, zostaną zatrzymani. Wobec mnie wszczęto cztery sprawy karne. A przypomnę, że jestem byłym ministrem, siedem razy służyłem na placówkach dyplomatycznych, a ostatnia sprawa, o którą zostałem oskarżony, dotyczy terroryzmu. Grozi mi kara śmierci. Czy ktoś chce dla siebie takiego losu? Myślę, że niewielu.

Ale jest jeszcze biznes, który traci w wyniku polityki Łukaszenki.

Białorusini mają taką filozofię: „żeby tylko nie było gorzej". Łukaszenka pokazał, że jest w stanie dotrzeć do każdego. Dziś chce walczyć z indywidualnymi przedsiębiorcami, zwiększyć podatki, funkcjonariusze struktur siłowych pukają do niemal każdej firmy i szukają powodów, żeby ukarać pracujących w nich ludzi. Trzeba przecież czymś za-

eprasa.pl 341d6b84b9

pchać budżet. To jest państwowy rekiet, haracz.

Wielu biznesmenów stara się o rosyjskie obywatelstwo i w Rosji rejestruje biznes. Dla nich to główny rynek zbytu. Wielu wyjeżdża do Polski, na Litwę, Ukrainę, do Niemiec. Ale jeśli ma się tysiąc pracowników, to nie uda się biznesu przenieść za granicę. To odpowiedzialność za los pracowników.

Czy dyrektorom ogromnych państwowych przedsiębiorstw, takich jak fabryka aut MAZ czy fabryka soli potasowych i nawozów Biełaruskalij, nie przychodzi na myśl, że ich firmy tracą w wyniku sankcji, które są odpowiedzią na działania Łukaszenki?

Oczywiście, że pojawiają się takie myśli, ale jaki jest wybór? Więzienie? Każdy chce przeżyć. Dlatego teraz brakuje wykwalifikowanych kadr w państwowych przedsiębiorstwach i instytucjach. Rozmawiamy z kierownictwem firm, dajemy im do zrozumienia, że jeśli nie popełnili przestępstw, będą mogli pracować dla „nowej" Białorusi. Prowadzimy dialog z 1700 kierownikami. Ważne, by Unia Europejska wysłała sygnał, że jest gotowa pracować z częścią urzędników posiadających kwalifikacje. Rozumiejących gospodarkę rynkową i demokrację.

Mówimy jednak o sankcjach. Nie ma sensu umieszczać na listach wyższych rangą funkcjonariuszy MSW czy KGB, którzy i tak nie jeżdżą na Zachód. Trzeba karać urzędników niższego szczebla. Na przykład, jeśli zamknięto w ciągu dwóch dni pięćdziesiąt organizacji pozarządowych, to odpowiednie dokumenty przygotował Departament Organizacji Społecznych Ministerstwa Sprawiedliwości. Pracuje w nim pięciu, może siedmiu specjalistów. To oni powinni się znaleźć na listach sankcyjnych. Muszą odczuć, że doprowadzili do likwidacji organizacji pozarządowych.

Przecież zwykły urzędnik może się tak samo bać jak czerwony dyrektor!

Jeśli urzędnik zobaczy, że w sąsiednim departamencie ktoś znalazł się na liście sankcyjnej, to się mocno zastanowi nad krokami, które podejmuje w pracy. W Ministerstwie Sprawiedliwości jest departament, który pozbawia licencji adwokatów broniących więźniów politycznych. Ludzie zaczną się zwalniać. Łukaszenka będzie tracić instrumenty nacisku. To proces rozciągnięty na lata. Mówię o strategii. Z kolei taktyka może nam pozwolić stworzyć sytuacje, które ten proces uruchomią.

Jakie to mogą być sytuacje?

Najważniejsze byłoby uznanie przez Zachód Łukaszenki za międzynarodowego terrorystę. Wystarczy dla tego uzasadnień: porwanie samolotu, na którego pokładzie leciał Roman Protasiewicz, represje wobec Białorusinów, przejęcie władzy w kraju siłą, *de facto* stworzenie grupy przestępczej.

A co może znów pobudzić społeczeństwo do działania?

eprasa.pl 341d6b84b9

To trudne pytanie, chciałbym znać na nie odpowiedź. Ważne jest zbieranie sił i tworzenie struktur, żebyśmy byli gotowi szybko reagować, kiedy ludzie pojawią się na ulicach. Żeby nie było powtórki z ubiegłego roku. Jako oponent Łukaszenki szedłem w demonstracji, byłem przekonany, że na czele kolumny są ludzie, którzy wiedzą, dokąd nas prowadzą. A oni nie wiedzieli.

Obecna sytuacja to wynik tego, jak Łukaszenka działał przez lata. Czy Pan, będąc w środku tego aparatu, nie widział, dokąd to zmierza?

Podczas każdych wyborów wierzyliśmy, że to się skończy. Jako dyplomaci żyliśmy w iluzji. Nie było wśród nas osób oddanych Łukaszence. Wszyscy, pijąc wino, a nawet i bez niego, mówili, że go nienawidzą i że prowadzi nasz kraj ku katastrofie.

Ale nadal pracowaliście!

Tak, to system oparty na strachu. W polskim MSZ mówiłem prezydentom Aleksandrowi Kwaśniewskiemu i Lechowi Kaczyńskiemu, że jeśli zaczną rozmawiać z Łukaszenką, to może uda im się go przekonać. Myślałem, że jak Łukaszenka pojedzie do Europy, zobaczy, jak się w niej żyje, to zacznie się zmieniać. W tę legendę wierzyliśmy w MSZ.

Kolejna legenda pojawiła się siedem lat temu, gdy zaczął się kryzys na Ukrainie. Uwierzyliśmy, że tylko Łukaszenka może się przeciwstawić Rosji, balansować, utrzymać naszą niepodległość, że może nie jest to najlepszy wariant, ale działa. To dwie iluzje, które sobie wymyśliliśmy. To była pomyłka. Łukaszenka oprócz władzy niczego nie potrzebuje i nie pójdzie na ustępstwa, jeśli tylko będą mogły zagrozić jego rządom.

Paweł Łatuszka stoi na czele Narodowego Zarządu Antykryzysowego, opozycyjnej organizacji działającej od października 2020 roku w Warszawie. Musiał uciekać z Białorusi, ponieważ groziło mu prześladowanie przez reżim. Jako dyrektor Narodowego Teatru Akademickiego im. Janki Kupały potępił przemoc wobec pokojowych demonstrantów w sierpniu zeszłego roku i został usunięty ze stanowiska. Wraz z nim odszedł niemal cały zespół. Wcześniej sprawował urząd ambasadora Białorusi w Polsce, Francji i Hiszpanii, był także ministrem kultury.

eprasa.pl 341d6b84b9

Platforma Krymska
Mission impossible?

Krzysztof Nieczypor

Kreml nie zamierza dopuszczać do rozmów na temat powrotu anektowanego Krymu do Ukrainy, zaś zachodni partnerzy z życzliwością podszytą sceptycyzmem odnoszą się do wysiłków Kijowa. Nie zraża to jednak Wołodymyra Zełenskiego, który na 23 sierpnia 2021 roku zaplanował szczyt Platformy Krymskiej – międzynarodowej inicjatywy, która stanowi wyraz największej determinacji prezydenta w dążeniu do odzyskania utraconego półwyspu. Co z tego wyniknie?

Jeszcze przed szczytem tak zwanego formatu normandzkiego [grupy składającej się z przedstawicieli Ukrainy, Francji, Niemiec i Rosji powołanej w celu rozstrzygnięcia wojny w Donbasie i przynależności Krymu – przyp. red.] w Paryżu w grudniu 2019 roku wielu ekspertów i komentatorów międzynarodowych oceniało, że sam fakt jego przeprowadzenia można uznać za sukces Kijowa. Pierwsze od trzech lat spotkanie przywódców Ukrainy, Rosji, Francji i Niemiec było rezultatem aktywności międzynarodowej Wołodymyra Zełenskiego, który zaledwie w kilka miesięcy po objęciu fotela prezydenta zdołał odblokować proces pokojowy w sprawie zakończenia konfliktu na wschodzie kraju. On sam nie zamierzał jednak na tym poprzestać i tuż przed spotkaniem zapowiadał, że rozmowy nie będą ograniczać się do sytuacji w Donbasie. „Zapytam na szczycie, czy możemy rozmawiać o Krymie w tym kręgu. Jeśli nie, to będę chciał, żebyśmy ustalili jeszcze jakiś format" – powiedział na kilka dni przed wylotem do francuskiej stolicy w wywiadzie Piotra Andrusieczki dla „Gazety Wyborczej".

Krym niewart Paryża

Rzeczywistość okazała się trudniejsza, niż zakładał świeżo upieczony polityk. Jak tłumaczył potem dziennikarzom, sprawy półwyspu po prostu nie zdążono poruszyć, bo kwestie Donbasu zajęły zbyt wiele czasu. Faktycznie Władimir Putin w ogóle odmówił rozmowy na temat Krymu, zaś zachodni partnerzy grzecznie poinformowali ukraińskiego przywódcę, że format normandzki nie obejmuje tej kwestii. „Jest jesz-

eprasa.pl 341d6b84b9

cze wiele spraw, których dzisiaj niestety nie udało nam się poruszyć. Bezwzględnie należy to zrobić w przyszłości" – ratował swoją reputację Zełenski na konferencji po szczycie (do odsłuchania na stronie Radia Swoboda), zwracając wzrok w stronę Emmanuela Macrona i Angeli Merkel, którzy z typowym dla zachodnich polityków życzliwym acz do niczego niezobowiązującym gestem uśmiechnęli się, skinąwszy z aprobatą głowami.

Trzeba jednak przyznać, że Zełenski nie zasypiał gruszek w popiele i nie pozwolił zbyt długo czekać na przedstawienie stosownej propozycji. Kilka miesięcy później, we wrześniu 2020 roku podczas 75. Sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, oficjalnie przedstawił ideę Platformy Krymskiej, której celem miało być stworzenie międzynarodowego formatu negocjacyjnego na rzecz deokupacji półwyspu. Do udziału w spotkaniu zaproszeni zostali szefowie państw, z którymi Ukraina utrzymuje bliskie relacje dyplomatyczne, oraz przedstawiciele organizacji międzynarodowych – Unii Europejskiej, Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, ONZ, Rady Europy i NATO. Szczyt inicjatywy, początkowo zaplanowany na koniec lutego, został przesunięty z powodu pandemii koronawirusa na 23 sierpnia 2021 roku.

Huczna inauguracja

Zgodnie z zapowiedziami ukraińskich władz podczas szczytu ma zostać podpisana deklaracja pod nazwą Karta Krymska, w której zostanie sformułowane wezwanie do deokupacji półwyspu przez Rosję. W dokumencie zostanie zaakcentowana postępująca militaryzacja oraz pogarszająca się sytuacja ekologiczna na Krymie. Wskazane zostaną także przykłady łamania praw człowieka i swobód obywatelskich Tatarów krymskich przez władze rosyjskie. Po szczycie Platformy inicjatywa ma być kontynuowana w formie cyklicznych spotkań realizowanych na czterech poziomach: przywódców państw, szefów dyplomacji, grup międzyparlamentarnych oraz ekspertów. Kijów zaproponował także poszczególnym państwom objęcie koordynacji nad pracami grup roboczych, które specjalizują się w różnych zagadnieniach związanych z aneksją półwyspu, w tym między innymi polityką sankcyjną wobec Rosji.

To jednak nie wszystko. Pozostałe cele Platformy zostały określone w przyjętej w marcu 2021 roku „Strategii deokupacji i reintegracji tymczasowo okupowanych terytoriów Republiki Autonomicznej Krymu i miasta Sewastopol". Zgodnie z dokumentem zadaniem Platformy jest synchronizacja i konsolidacja międzynarodowych działań na rzecz nieuznania nielegalnej aneksji Krymu. W tym celu mają być użyte instrumenty polityczno-dyplomatyczne służące niedopuszczeniu do osłabienia nałożonych na Federację Rosyjską sankcji międzynarodowych. W ramach tych działań

eprasa.pl 341d6b84b9

przewiduje się także pociągnięcie Rosji do odpowiedzialności przed sądami międzynarodowymi, przede wszystkim z powodu łamania praw człowieka na Krymie oraz nielegalną blokadą ekonomiczną ukraińskich portów w związku z ograniczeniem transportu morskiego za sprawą budowy mostu krymskiego.

Sam szczyt Platformy w Kijowie ma mieć stosowną oprawę medialną, godną organizatora, który do czasu objęcia prezydentury był przecież wziętym producentem imprez i wydarzeń medialnych. Spotkanie zostanie więc otwarte występem Dżamały – popularnej ukraińskiej piosenkarki tatarskiego pochodzenia, zwyciężczyni 61. Konkursu Piosenki Eurowizji. Wcześniej tego dnia odbędzie się pionierski w historii świata szczyt pierwszych dam i dżentelmenów organizowany przez małżonkę prezydenta Ołenę Zełenską dla partnerek i partnerów głów państw biorących udział w szczycie Platformy. Dzień później z okazji 30. rocznicy niepodległości odbędzie się największa w historii Ukrainy parada wojskowa oraz koncert gwiazd ukraińskiej muzyki na stadionie olimpijskim w Kijowie. Jednego można być pewnym – władze w Kijowie dołożą wszelkich starań, by w końcówce sezonu letniego o Ukrainie i na Ukrainie było głośno.

Przygotowana przez ukraińskie władze imponująca agenda Platformy, tak polityczna, jak i rozrywkowa, ma pomóc w przypomnieniu światu o bezprawnej aneksji Krymu i sprawić, by sprawa półwyspu ponownie wróciła na międzynarodową agendę.

Kremlowski cień nad Platformą

W ponurym nastroju rozwój inicjatywy obserwuje natomiast gospodarz Kremla. I nie dlatego, że nie został zaproszony na inaugurację Platformy. Wiceminister spraw zagranicznych Ukrainy Emine Dżaparowa nie wykluczyła bowiem, że Kijów zdecyduje się na taki gest. Mimo to Władimir Putin nie zamierza wybierać się na szczyt w wydaniu zaplanowanym przez ukraińskie władze. Rzeczniczka rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Maria Zacharowa poinformowała, że rosyjski przywódca weźmie udział w spotkaniu, o ile będzie ono poświęcone wyłącznie kwestiom dotyczącym wznowienia przez Ukrainę dostarczania wody na półwysep i odblokowania połączeń transportowych. Nawet jednak po hipotetycznym spełnieniu tych warunków Zełenski nie miałby możliwości wręczyć stosownego zaproszenia czy nawet powiadomić rosyjskiego przywódcy o takim zamiarze. Ten bowiem od dłuższego czasu odmawia kontaktowania się z ukraińskim partnerem. W ten sposób prezydent Rosji ponownie gra w swoją ulubioną grę polegającą na szantażowa-

eprasa.pl 341d6b84b9

niu Ukrainy zerwaniem negocjacji i dalszą eskalacją konfliktu w Donbasie, dopóki Kijów nie zgodzi się na ustępstwa polityczne wobec Moskwy.

Kreml nie ukrywa jednocześnie irytacji z powodu aktywności Ukraińców w sprawie Krymu. „Żadne platformy powołane w celu omówienia fantomowych bólów Kijowa z innymi państwami nie przekonają mieszkańców Krymu, aby zmienili swoją decyzję wyrażoną w 2014 roku" – stwierdziła Zacharowa. Jednocześnie pogroziła ona krajom mającym zamiar wziąć udział w inicjatywie: „Uczestnictwo jakichkolwiek państw w tym wydarzeniu będziemy uważać jako nieprzyjazny wobec Rosji krok, jako bezpośrednie naruszenie jej integralności terytorialnej". Za tymi oświadczeniami stoi ostrzeżenie wysunięte pod adresem państw, które zdecydują się na udział w przedsięwzięciu, że ich decyzja nie pozostanie bez adekwatnej odpowiedzi ze strony Moskwy.

Poza groźbami werbalnymi Kreml aktywnie zniechęca zaproszone państwa do przyjazdu do Kijowa. Przykładem tych działań jest presja wywierana na Turcję, którą Rosja stara się na wszelkie sposoby przekonać o negatywnych skutkach jej współpracy z Ukrainą – zarówno w zakresie politycznego, jak i (tym bardziej) militarnego wsparcia dla Kijowa. Pojawiły się zatem próby przekonywania Ankary argumentami słownymi, na przykład przez podjęte przez Siergieja Ławrowa rozmowy z tureckimi władzami na „wszystkich szczeblach", jak również środkami ekonomicznymi – między innymi wstrzymaniem w kwietniu 2021 roku lotów z Rosji do Turcji, które blokują możliwość wyjazdu Rosjan do Turcji, gdzie stanowią oni wysoki odsetek turystów. W konsekwencji, pomimo że podczas spotkania z Zełenskim Recep Tayyip Erdoğan miał zadeklarować udział w szczycie Platformy, to wciąż informacja ta nie została potwierdzona, zaś Ankara jak dotąd zwleka z oficjalnym potwierdzeniem swojego uczestnictwa w wydarzeniu.

Zgodnie z zapowiedziami ukraińskich władz podczas szczytu ma zostać podpisana deklaracja pod nazwą Karta Krymska, w której zostanie sformułowane wezwanie do deokupacji półwyspu przez Rosję. W dokumencie zaakcentowana zostanie postępująca militaryzacja oraz pogarszająca się sytuacja ekologiczna na Krymie.

Jednocześnie Kreml stara się pokrzyżować zamiary organizatorów szczytu, wprowadzając własną narrację odnośnie do statusu Krymu i sytuacji na półwyspie. Z jednej strony Rosja traktuje temat przynależności Krymu za zamknięty, uznając przeprowadzone w marcu 2014 roku referendum w sprawie przyłączenia do Federacji Rosyjskiej za dowód jednoznacznego wyboru mieszkańców półwyspu. Z drugiej zaś oskarża ukraińskich decydentów o celowe doprowadzanie do katastrofy huma-

eprasa.pl 341d6b84b9

nitarnej z powodu blokady Kanału Północnokrymskiego dostarczającego do 2014 roku wodę z Dniepru na Krym. Ta ostatnia kwestia jest o tyle ciekawa, że na potrzeby polityki wewnętrznej rosyjskie władze deprecjonują znaczenie deficytu wody na Krymie, ale na arenie międzynarodowej nagłaśniają problem, starając się wymusić na Ukrainie wznowienie dostaw [więcej na ten temat w „Biuletynie PISM" nr 247 (2179) – przyp. red.]. Ze skargą w tej sprawie do wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka zwróciła się w zeszłym roku Natalia Pokłonska, wiceprzewodnicząca komisji spraw zagranicznych rosyjskiej Dumy. Oskarżenie to znalazło się również w pozwie Federacji Rosyjskiej przeciw Ukrainie złożonym w lipcu do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Działania te mają zniechęcić do udziału w Platformie przynajmniej część państw, przekonując je o niejednoznaczności sytuacji wokół Krymu, a jeśli to nie przyniesie oczekiwanego efektu, to ostrzec o wysokich kosztach politycznych przyjęcia zaproszenia na szczyt.

Test wiarygodności

Przygotowana przez ukraińskie władze imponująca agenda Platformy, tak polityczna, jak i rozrywkowa, ma pomóc w przypomnieniu światu o bezprawnej aneksji Krymu i sprawić, by sprawa półwyspu ponownie wróciła na forum debaty międzynarodowej. To jednak nie wyczerpuje celów tego przedsięwzięcia, które służy także jako narzędzie w bieżącej walce politycznej na krajowym podwórku. Przedstawiciele biura prezydenta oraz proprezydenckiej partii Sługa Narodu nie ustają w oskarżaniu Petra Poroszenki o bezczynność i brak woli politycznej w sprawie Krymu. Chcą skutecznie zdeprecjonować kreowany przez poprzedniego prezydenta wizerunek obrońcy ukraińskiej niepodległości aktywnie i skutecznie zabiegającego o poparcie dla Ukrainy na arenie międzynarodowej. Starania ekipy skupionej wokół Wołodymyra Zełenskiego mogą być spowodowane tym, że Poroszenko wciąż pozostaje największym konkurentem byłego aktora w walce o reelekcję, do czego, jak głoszą plotki na ulicach Kijowa, skłania się obecny lokator budynku na ulicy Bankowej. Poroszenko odrzuca natomiast zarzuty, stwierdzając, że Platforma Krymska to w istocie jego pomysł. Według lidera opozycji obecna formuła bazuje na jego strategii deokupacji Krymu, którą forsował w trakcie spotkań z politykami Unii Europejskiej.

Do ojcostwa jeszcze nieosiągniętego sukcesu gotowi są już przyznać się czołowi ukraińscy politycy. Oczywiste pozostaje, że w przypadku porażki Platformy Krymskiej zostanie ona natychmiast osierocona. A ten scenariusz wcale nie jest daleki od rzeczywistości. Bo choć przedsięwzięcie należy uznać za uzasadnione i potrzebne z punktu widzenia przeciwdziałania agresywnej polityce rosyjskiej, a także rozwijanej przez Kreml kampanii informacyjnej przekonującej o historycznych i politycznych

eprasa.pl 341d6b84b9

prawach Rosji do półwyspu, to sukces sierpniowego szczytu będzie w dużej mierze uzależniony od udziału w nim najważniejszych światowych liderów, którzy zdecydują się na poparcie postulatu deokupacji półwyspu. To jednak wcale nie wygląda obiecująco. Na szczyt nie przyjedzie najważniejszy z gości – prezydent Joe Biden, którego zastępować będzie przedstawiciel USA zaledwie na szczeblu rządowym: minister transportu Peter Buttigieg. Nie jest wciąż jasne, kto będzie reprezentował najważniejsze kraje Unii Europejskiej – ani Angela Merkel, ani Emmanuel Macron nie potwierdzili oficjalnie obecności na szczycie.

Z tego względu ryzykowna wydaje się formułowana przez ukraińskie władze teza, że udział lub odmowa uczestnictwa w inauguracji Platformy stanowi test dla poszczególnych polityków świadczący o ich wiarygodności i poparciu dla prymatu prawa międzynarodowego w relacjach międzypaństwowych. W obliczu niechęci części państw do formułowania jednoznacznych stanowisk w obawie przed pogorszeniem relacji z Rosją ta taktyka może spowodować obniżenie rangi przedstawicieli mających wziąć udział w spotkaniu i tym samym zmniejszyć znaczenie szczytu. W konsekwencji szczyt Platformy Krymskiej odegra jedynie symboliczną rolę, nie przyczyni się do zmiany obecnego *status quo* półwyspu. Tym samym podzieli ona los innych hucznych obietnic Zełenskiego, jak na przykład rychłego rozwiązania konfliktu w Donbasie. Wszak spotkanie przywódców formatu normandzkiego w Paryżu miało spowodować zaprowadzenie pokoju na wschodzie Ukrainy. Niestety, jak się później okazało, były to płonne nadzieje, gdyż jedynym sukcesem tego spotkania był sam fakt jego przeprowadzenia.

Krzysztof Nieczypor jest starszym specjalistą w Zespole Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Tekst ukończony na początku sierpnia 2021 roku.

eprasa.pl 341d6b84b9

Polskiego czytelnika to nie interesuje

Z Maciejem Okraszewskim, autorem bloga i podcastu „Dział Zagraniczny", rozmawia Zbigniew Rokita

ZBIGNIEW ROKITA: Polacy wiedzą o świecie mniej niż inne narody?

MACIEJ OKRASZEWSKI: Plasujemy się w średniej europejskiej, nasza wiedza nie jest tragiczna, ale też nie najlepsza. Pozostajemy krajem bardzo homogenicznym, co nie jest typowe dla Europy Zachodniej, do której aspirujemy, a różnorodność etniczna wymusza też różnorodność informacyjną. Wystarczy spojrzeć na Francję, Niemcy, Hiszpanię czy Włochy, aby dostrzec, że tam pojawia się sporo informacji o świecie. Nie chodzi tylko o wiadomości w serwisach – tę różnorodność widać w serialach, w popkulturze, w kuchni itd. Tam ludzie naturalnie coś wiedzą na temat dalekiej zagranicy, pozaeuropejskiej, bo mają okazję obcować z nią w codzienny, niewymuszony sposób, spotykając osoby z innych kultur na przykład na zebraniach rodziców w szkole.

Polakom pomaga jednak to, że dużo podróżują – dawniej z powodów ekonomicznych, dziś turystycznych. Jesteśmy też ciekawi świata. Jednocześnie nasza znajomość zagranicy sprowadza się głównie do krajów europejskich, a pozaeuropejskie znamy bardzo słabo – może poza basenem Morza Śródziemnego, do którego jeździmy na wakacje.

Ciekaw jestem, ile wiedzą młodzi. Kiedyś rozmawiałem z dwudziestoletnim studentem, mówiłem mu, że aby wjechać do Rosji, będzie potrzebował wizy, a on się zdziwił – myślał, że wiza to nazwa własna pozwolenia na wjazd do USA, a do wszystkich innych państw można po prostu wjechać. Polskie media nie piszą dużo o świecie, bo zakładają, że polskiego czytelnika to nie interesuje?

Tak, to ma duże znaczenie. Ważne jest też to, jak się o tym świecie opowiada. Podcast jednego z dużych portali o świecie to dwóch starszych panów, którzy przeglądają gazety na zasadzie: „Biden pojechał do Brukseli" albo „Merkel spotkała się z Tuskiem". Nic dziwnego, że ludzie nie chcą tego słuchać, bo to potwornie nudne, a w polskich mediach o świecie opowiada się na takim poziomie. To ważne informacje dla państwa polskiego, ale nie dla przeciętnego odbiorcy –

eprasa.pl 341d6b84b9

co ma on wyciągnąć z samego faktu, że Biden widział się z Merkel? Ludzie chcą słuchać o świecie, ale też nie wyłącznie o ciekawostkach, że w Bangladeszu małpy ukradły komuś zegarek. Chcą słuchać o ważnych problemach społecznych, które trzeba im podać w atrakcyjny sposób i mieć ludzi, którzy się na zagranicy znają. Media przestały nadążać, nie wiedzą, jak opowiadać o świecie. To zresztą problem wszystkich mediów, również zachodnich – różnica jest taka, że mimo wszystko na Zachodzie media starają się nadążać, a nasze nie.

Mówisz o ludziach, którzy się na świecie znają, tymczasem polskie media w większości zrezygnowały z korespondentów. Teraz informacje czerpie się z depesz agencyjnych lub od znajomych dziennikarzy, którzy i tak mieszkają w danym państwie i zawsze coś chętnie napiszą.

Tak i trzeba podkreślić różnicę między korespondentem a reporterem. Mogę powiedzieć o tym na swoim przykładzie. Gdy mieszkałem w Hiszpanii i siedziałem w barach z sąsiadami, chodziłem po tamtejszych ulicach, byłem na bieżąco ze wszystkimi pierdołami, które ostatecznie dawały mi trzy razy głębsze zrozumienie sytuacji tego kraju, niż gdy teraz uważnie obserwuję ją z Polski. Gdy w Hiszpanii strajkowali kierowcy ciężarówek i w sklepach zabrakło towarów, odczułem to na własnej skórze, widziałem, jak działają hiszpańskie związki zawodowe itd.

Korespondenci zniknęli, bo po pierwsze, są drodzy w utrzymaniu, a po drugie dlatego, że gdy służyli tylko do tego, by stanąć z mikrofonem na Downing Street i nagrać stand-up, że premier wyszedł i coś powiedział, to na co komu taki korespondent? Po trzecie wreszcie, nasze media są bardzo warszawskocentryczne i część decydentów straciła kontakt z krajem poza stolicą. Tymczasem przytłaczającą częścią moich odbiorców nie są ludzie, którzy czytają „Gazetę Wyborczą" i słuchają TOK FM. Często mieszkają daleko od Warszawy i piszą mi: „Nie wiedziałam, że taki temat z takiego kraju może mnie aż tak zainteresować". Rolą mediów pozostaje serwowanie czegoś nowego, nie zaś odgrzewanie tych samych kotletów. Widać, że gdy ktoś w Polsce wyłamuje się z tego schematu, budzi zainteresowanie. Popyt na zagranicę jest w Polsce większy niż podaż.

Polacy oglądają na przykład vlogerów, youtuberów, którzy opowiadają o świecie i mają po kilkaset tysięcy wyświetleń. To pokazuje skalę zainteresowania Polaków światem. Ono rośnie, ale inną kwestią jest to, jak jest ono zagospodarowane. Część owych youtuberów bowiem włoży w swoją pracę wysiłek intelektualny, ale część pokaże dziwną potrawę i ludzi noszących dziwne maski, ale już nie będzie rozumiała, dlaczego oni te maski noszą.

Pandemia wpływa na ten popyt?

Tak, widzę duży wzrost zainteresowania tym, jak granica na nas wpływa, ludzie

eprasa.pl 341d6b84b9

śledzą krzywe zakażeń itd. Pytanie tylko, jaki to jest rodzaj zainteresowania – ludzie skupią się na samych liczbach i odwołanych wakacjach, czy będą w stanie coś z tego pojąć? Wracamy do polskiego modelu opowiadania o świecie – on koncentruje się na szybko rzucanych danych, a mało jest tłumaczenia.

Weźmy Peru, które ma największą liczbę zakażeń koronawirusem na świecie *per capita*. Można o tym powiedzieć w telewizji, ale co to odbiorcom da? Nic. Należy dopiero wejść w temat głębiej i podać, że większość mieszkańców Limy nie ma lodówki w domu i musi codziennie chodzić na targ po jedzenie, w związku z tym targi są wylęgarniami wirusa. Albo że gdy wprowadzono lockdown, władze dały ludziom zapomogi, ale ludzie nie mieli kont.

Ale popyt na jakościową informację też jest spory, a na przykładzie utrzymujących się z modelu patronackiego podcastów widać, jak Polacy są w stanie zmonetaryzować swoje zainteresowania. „Raport o stanie świata" otrzymuje na Patronite miesięcznie ponad 80 tysięcy złotych, twój „Dział Zagraniczny" – 30 tysięcy złotych. Jest też wiele innych dobrych podcastów o świecie jak „Po prostu Wschód" Piotra Pogorzelskiego. Natomiast: spadek ilości czy jakości informacji ze świata nie przekłada się na wzrost zainteresowania krajem – media tracą bowiem coraz bardziej kontakt z polską prowincją.

Tak, Rybnik traktuje się podobnie jak Tunis.

W rozmowie z Noizz powiedziałeś kiedyś: „Kryzys w mediach to nie jest wina internetu, jak niektórzy twierdzą. Moim zdaniem rozpoczął się wraz z tworzeniem dwudziestoczterogodzinnych telewizji, które muszą cały czas podtrzymywać uwagę widza, co najłatwiej uzyskać, podając »klikalne« informacje". Następnie przyszedł rok 2008 i rewolucja na polskim rynku medialnym. Co się stało później?

Przyszedł kryzys, trzeba było ciąć budżety, cięto tam, gdzie koszty pozostawały najwyższe, czyli w działach zagranicznych. Nadeszła też zmiana pokoleniowa, a takie osoby jak Wojciech Jagielski zaczęły się wycofywać z aktywnego jeżdżenia w kurzu i skupiać na pisaniu książek, esejów. Na ich miejsce już nikogo nie zatrudniono, bo nie było środków i znaczna część ludzi, którzy wówczas się pojawili, zniknęła z rynku. Nie mieliśmy zastępowalności pokoleń. Chodziło też o inne sprawy – kult klikalności czy artykuły sponsorowane – które doprowadziły nas tam, gdzie jesteśmy.

Ale uważam jednocześnie, że jest znacznie lepiej, niż było.

Gdyż?

„Zdemokratyzowały się" metody finansowania i nadawania mediów. W 2008 roku nie mógłbym robić tego, co robię: technologia jeszcze na to nie pozwalała

eprasa.pl 341d6b84b9

oraz nikt by za to nie płacił. Dziś już ludzie są gotowi płacić za treści. To ważne: ludzie płacą w internecie, ale za rzeczy, które uznają za wartościowe, a nie za masowe. Możesz mieć masową popularność, ale ludzie ci nie zapłacą, ale możesz też mieć znacznie niższe zasięgi, a otrzymasz wpłaty. Według badań w Polsce za treści płaci od 1 procenta do 5 procent użytkowników. W moim przypadku to 2 procent – mam dwa tysiące patronów, średnią słuchalność odcinków na poziomie 40 tysięcy, a bywa, że i 80 tysięcy. O takich liczbach mówimy. Moja średnia słuchalność jest wyższa niż sprzedaż większości polskich tygodników.

Ponadto myślę, że po pokoleniu, które przez ostatnią dekadę jeździło po świecie i pisało książki, kolejne pokolenie będzie szło na swoje i zakładało własne kanały medialne. Jestem pozytywnie nastawiony do przyszłości polskiego dziennikarstwa zagranicznego. Myślę, że za dziesięć lat będzie lepiej niż jest teraz.

Opowiedz, jak powstaje news na dużym portalu, na przykład o Aleksieju Nawalnym.

Dziś to często przepisywanie depesz Reutera przez dziennikarzy, dodanie dwóch zdań od siebie i podpisanie własnym nazwiskiem. Dobór tematów też sprowadza się do tego, co pojawi się w kilku najważniejszych anglojęzycznych serwisach. Nie zawsze wynika to zresztą z braku dobrych dziennikarzy. Coraz częściej sięga się jednak po mediaworkerów, którzy przetwarzają depesze. Problemem nie jest sam fakt, że ktoś od tego zaczyna. W 2004 roku też tak zaczynałem, ale jednocześnie uczono mnie nowych rzeczy, a obecnie mediaworker ma do wyrobienia normę iluś artykułów, a każdy jest na zupełnie inny temat.

Dodajmy, że na inne tematy, ale nie w ramach specjalizacji, na przykład zagranicy. Można pisać jednego dnia o najróżniejszych sprawach.

W takiej sytuacji owa osoba z jednej strony nie ma już czasu uczyć się nowych rzeczy, a z drugiej najzwyczajniej na świecie drenuje to mózg. Po pracy, która przypomina robotę przy taśmie w fabryce, człowiek jest tak zmęczony, że po powrocie do domu nie ma na nic siły. Narzekamy, że ludzie w Polsce nie czytają, ale odpowiada za to między innymi rynek pracy.

Dziennikarstwo zagraniczne to najdroższy rodzaj dziennikarstwa, bo trzeba podróżować, trzeba uczyć się języków, wymaga to inwestycji, a mało kto chce inwestować, redakcje tłumaczą się brakiem pieniędzy. Ten ostatni argument nie do końca jest prawdziwy, bo pieniądze, choć mniejsze niż piętnaście lat temu, są, ale łatwiej wydać je na felietonistę, który napisze coś o innym felietoniście.

Czy polskie media wypadają na tle europejskich źle, jeśli chodzi o opowiadanie o świecie?

Jest naprawdę bardzo źle. Media krajów o wadze porównywalnej do Polski w Europie – jak Hiszpania czy Włochy – mają więcej ciekawych informacji zagra-

eprasa.pl 341d6b84b9

nicznych. Widziałem jakiś czas temu materiał hiszpańskiej telewizji: wysłano moskiewskiego korespondenta – bo oni mają korespondenta w Moskwie – do Tadżykistanu, aby w rocznicę rozpadu ZSRR pokazać, jak ów rozpad wpłynął na Tadżykistan. Mimo że jestem z Polski, dużo dowiedziałem się z tego kilkuminutowego materiału. Tego samego dnia „Fakty" wyemitowały materiał, również zagraniczny – wysłały dziennikarza do Laponii, aby poczytał listy od dzieci wraz ze Świętym Mikołajem.

Czyli mamy środki, możemy opowiadać o świecie, ale...

Ale zrobiliśmy z tego *infotainment*.

Zbigniew Parafianowicz, szef działu zagranicznego „Dziennika Gazety Prawnej", napisał kiedyś na łamach „Press", że najlepsze dziennikarstwo ucieka w książki i poszczególne wydawnictwa stają się międzyredakcyjnymi działami reportażu czy publicystyki.

Tak, gdyby nie książki, wiele materiałów nigdy nie zostałoby opublikowanych. To, że mamy jakieś dobre informacje o świecie, wynika z prywatnej inicjatywy dziennikarzy i dziennikarek, którzy i które na własną rękę szukają innych źródeł finansowania, piszą książki – nie czekają, aż redakcja dokądś ich wyśle i zapłaci. Ciągle muszą kopać się z koniem, żeby to robić. Gdyby tym ludziom się kiedyś odechciało, zostalibyśmy tylko głównie z dwoma typami informacji.

Jakimi?

Pierwszy – był szczyt Unii albo Rosja czymś zagroziła, oraz drugi – słonie idą 500 kilometrów przez Chiny.

Latami proponowałeś w redakcjach teksty, ale często słyszałeś, że „takie tematy polskiego czytelnika nie zainteresują". W końcu założyłeś swój podcast, „Dział Zagraniczny", który odniósł spory sukces. Po co robić materiały na takie tematy, jak „ile zarobią górnicy w Gujanie Francuskiej" czy „do kogo należą skarby z wraków statków"?

Bez zrozumienia takich tematów nie zrozumiemy świata, bo nie istnieją już autarkie. Różne zjawiska ze świata wpływają na nas nawet, jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Dobrym przykładem była fala migracyjna z 2014 roku. W Polsce podniosło się larum: co się dzieje? A dobrze było wiadomo, co się dzieje – ci, którzy śledzą świat, wiedzą na przykład o zmianach klimatycznych, a co za tym idzie – rolniczych, gospodarczych, które wpłynęły na te migracje.

Dobrym przykładem jest Senegal. Kraj ten jako pierwszy w Afryce podpisał umowę ze Wspólnotami Europejskimi, a później z takimi krajami jak Chiny, o połowach na senegalskich wodach terytorialnych. W konsekwencji ryb brakuje dla drobnych rybaków i młodzi ludzie nie mogą znaleźć sobie pracy w kraju. Stąd bierze się fala Senegalczyków, którzy migrują do Europy. Żeby zrozumieć migracje, musimy rozumieć sytuację w tamtych

eprasa.pl 341d6b84b9

państwach, a jedząc tuńczyka z puszki, musimy wiedzieć, że w ten sposób przyczyniamy się do tego, że stamtąd przyjedzie też młody chłopak szukający pracy.

I temu ma służyć informowanie o świecie, to rozmowa o tym, co światowe procesy przyniosą nam, rozmowa o świecie to rozmowa o nas. Chodzi nawet o tematy, które redaktorzy starej daty pewnie uznaliby za głupoty, jak na przykład K-pop. Nie wiedzą może, że K-pop jest często popularniejszy niż zachodni pop. Dlaczego o nim mówić? Bo to koreańska *soft power*, która niesie ze sobą zestaw wartości, jaki młodzi ludzie w różnych krajach przyjmują, ma wpływ na to, jak ludzie zachowują się w mediach społecznościowych – nawet w Polsce. Obserwowanie sporów między republikanami i demokratami w USA nie wystarczy.

A co ludzi najbardziej interesuje? Które twoje odcinki są najpopularniejsze? Bukareszt i Amsterdam czy odległa Polinezja i Gujana?

W „Dziale Zagranicznym" geografia nie ma znaczenia, większą rolę odgrywają tematy. Najmniej popularne są te sportowe, a najbardziej kryminalne lub nośne społecznie, takie jak feminizm w Argentynie czy aborcja w Hiszpanii. Ludzie lubią sprawy, które potrafią łatwo przełożyć na polską rzeczywistość, znaleźć podobieństwa. Może moja publiczność jest specyficzna, bo większość stanowią kobiety.

Ale nie rezygnujesz z tematów sportowych.

Bo nie muszę się z nikim ścigać, nie muszę patrzeć tak bardzo na słupki słuchalności. Nie żyję z reklamodawców, nie obchodzą mnie Grand Pressy itp. Ja po prostu chcę opowiadać ludziom o świecie. Robiłem na przykład odcinek o strzelaniu do ptaków na Malcie, które w Europie są chronione, ale Malta pozwala na polowanie. Gdybym poszedł z tym do redakcji, znów usłyszałbym, że polskiego czytelnika to nie zainteresuje. Ale ja mam ten komfort, że mogę robić, co chcę, nawet jeśli zainteresuje to tylko jedną osobę.

Skąd bierzesz ekspertki i ekspertów do tych tematów? Zapraszasz osoby z Polski, wynajdujesz je do najbardziej egzotycznych spraw. Mamy w Polsce tak dobrych znawców i znawczynie świata? Poza tym znajdujesz ludzi, którzy naprawdę dobrze mówią.

Zacznę od drugiej sprawy – oni dobrze mówią, bo mój podcast jest mocno redagowany. Dlatego nie jest w formie wideo i nigdy nie będzie, bo część osób, która do mnie przychodzi, ma ogromną wiedzę, ale ma trudność w wypowiadaniu się. Redaguję więc później mocno rozmowy i nie chodzi o cenzurę, ale o to, żeby im pomóc, żeby nie było mlaskania czy dwuminutowych przerw między zdaniami.

Jeśli zaś chodzi o szukanie ekspertów, to sam chodzę do mediów i opowiadam o świecie latynoskim. Irytuje mnie to, że zaprasza się mnie do tych samych tematów i często muszę się powtarzać…

eprasa.pl 341d6b84b9

A dodajmy, że eksperci i ekspertki za występy w mediach nie otrzymują honorariów, robią to za darmo.

Zgadza się. Irytuje mnie to, że jest mnóstwo osób znających się na Ameryce Łacińskiej czy Hiszpanii, ale nikt ich nie zaprasza. Gdy więc zacząłem robić podcast, obiecałem sobie, aby nie brać tych samych twarzy. Inna sprawa, że nie mamy w Polsce ludzi od wszystkich tematów. Bardzo często spadają mi tematy, bo nie znajduję do nich rozmówców. Ciekawe też, że kobiety znacznie częściej nie wierzą w siebie niż mężczyźni.

Dla dziennikarza problemem jest też często wąska specjalizacja – ktoś może znać się na średniowiecznym malarstwie Uzbekistanu, ale już na współczesnej polityce nie za bardzo.

W Polsce na różnych wydziałach orientalistycznych, afrykanistycznych czy latynoamerykańskich potęgą są tłumacze, a mało jest osób o innych specjalizacjach. Największym problemem jest zaś znalezienie ludzi do tematów popkulturowych. Lubię takie tematy. Gdybym był hiszpańskim dziennikarzem i robił odcinek o Polsce, to ciekawe byłoby dla mnie na przykład to, dlaczego są regiony Polski, gdzie nikt nie interesuje się piłką, a zamiast tego popularny jest żużel. Albo co o Polsce mówi popularność MMA? Albo kim jest Edyta Górniak? Takich tematów bym szukał i takich próbuję szukać za granicą.

Maciej Okraszewski jest dziennikarzem. Pisał między innymi dla „Polityki", „Newsweeka", „Wprost", „Gazety Wyborczej", „National Geographic" czy „Le Monde diplomatique". W 2017 roku został nominowany do nagrody Grand Press w kategorii Dziennikarstwo Specjalistyczne. Autor bloga i podcastu „Dział Zagraniczny".

eprasa.pl 341d6b84b9

Strach się zużył

Kamil Całus

Więzi rosyjsko-mołdawskie się luzują, elektorat ewoluuje. W czerwcowym wydaniu prowadzonego dwa razy do roku sondażu zwanego „Barometrem opinii publicznej" Władimir Putin – do tej pory lider rankingu zaufania wśród Mołdawian – po raz pierwszy w historii stracił swoją pozycję. Wyprzedziła go kobieta i liderka demokratycznego zachodniego państwa. Angela Merkel.

Bezprecedensowy sukces sił proeuropejskich, które w ciągu ostatnich kilku miesięcy zdołały w Mołdawii wygrać zarówno wybory prezydenckie, jak i parlamentarne, nie jest wyłącznie wynikiem ewolucji poglądów politycznych lokalnego elektoratu, ale także świadectwem dużo bardziej trwałej przemiany mentalnej mołdawskiego społeczeństwa, w tym sposobu, w jaki postrzega ono kobiety oraz ich rolę w życiu publicznym. Mówi on także wiele na temat zmiany pokoleniowej, jakiej doświadczają mieszkańcy Mołdawii oraz związanego z tym powolnego, lecz – jak się wydaje – nieodwracalnego procesu topnienia rosyjskiej *soft power* w tej republice.

Wbrew „moralnym nakazom"

Seria błyskotliwych sukcesów mołdawskiej, proeuropejskiej Partii Działania i Solidarności (PAS) zaczęła się pod koniec ubiegłego roku, gdy ówczesna liderka tego ugrupowania Maia Sandu zdołała w drugiej turze wyborów prezydenckich pokonać swego kontrkandydata, urzędującego, prorosyjskiego prezydenta Igora Dodona. Nie tylko zwycięstwo, ale i jego skala robiły ogromne wrażenie. Sandu zgromadziła 58 procent głosów, właściwie najwięcej w historii bezpośrednich wyborów prezydenckich w Mołdawii. Lepszy od niej był jedynie Mircea Snegur, pierwszy polityk piastujący tę funkcję, który w 1991 roku zyskał 98 procent poparcia. Porównywanie go do innych byłoby jednak nieuczciwe, był on bowiem wówczas jedynym uczestnikiem „wyścigu" wyborczego.

Tak masowe poparcie dla Sandu stanowiło spore zaskoczenie nie tylko ze względów politycznych, ale także społeczno-kulturowych. Mołdawianie to bowiem naród konserwatywny, przywiązany do tradycji i wynikającego z niej podziału na role i zawody typowe dla mężczyzn i kobiet. Nieprzypadkowo kobiety w tym kraju – choć obecne w życiu publicznym – nie piastują raczej kluczowych stanowisk politycz-

eprasa.pl 341d6b84b9

nych. Do czasu zwycięstwa Sandu żadna przedstawicielka tej płci nie była prezydentem, zaś w fotelu premiera (poza samą Sandu pełniącą tę funkcję w drugiej połowie 2019 roku przez zaledwie pięć miesięcy) kobieta zasiadała tylko raz. Była nią w latach 2008–2009 premier Zinaida Greceanîi, której decyzje w pełni pozostawały uzależnione od woli ówczesnego prezydenta i lidera partii rządzącej – Vladimira Voronina. Ale nie sama tylko płeć Sandu sprawiała długo problem konserwatywnemu mołdawskiemu elektoratowi. Fakt, że niespełna pięćdziesięcioletnia (obecnie) kandydatka na prezydenta nie tylko nie ma własnych dzieci, ale co więcej, nie znajduje się (choćby w nieformalnym) związku z mężczyzną, dawał jej przeciwnikom politycznym pretekst do „zarzucania" jej homoseksualizmu. Tymczasem przejawy nieheteronormatywnych zachowań seksualnych są masowo nieakceptowane przez Mołdawian. Dowodem tego jest między innymi przeprowadzony w 2021 roku wśród mieszkańców najbardziej liberalnego miasta w kraju – Kiszyniowa – sondaż, zgodnie z którym aż 55 procent ludzi w wieku 25–45 lat odnosiło się do przedstawicieli środowiska LGBT negatywnie, a zaledwie 7 procent miało do nich pozytywny stosunek. Jak można domniemywać, wyniki te są znacznie gorsze w mniejszych miejscowościach i wioskach. Wątek rzekomej nietradycyjnej orientacji Sandu (którą ta zresztą negowała) eksploatowano szczególnie intensywnie w trakcie kampanii w 2016 roku, kiedy to – podobnie jak w ubiegłym roku – polityk ta mierzyła się z Igorem Dodonem.

Do ataków chętnie przyłączała się bliska siłom prorosyjskim mołdawska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego. Niedługo przed wyborami Marchel, biskup Bielc i Fălești, grzmiał do swoich wiernych: „Maia Sandu ma ponad czterdzieści lat, a mimo to nie wyszła za mąż i nie urodziła dzieci (…). To nas niepokoi i rodzi wiele pytań". Duchowny wprost twierdził też, że chrześcijanie nie mają moralnego prawa głosować na tę kandydatkę. Wówczas liderka PAS przegrała, ale przez kolejne cztery lata obecności na mołdawskiej scenie politycznej uosabiająca wręcz antyoligarchiczną i prozachodnią opozycję Sandu zdołała przyzwyczaić wyborców do siebie oraz oswoić ich z myślą, że kobieta może stać na czele ruchu politycznego, rywalizować z mężczyznami, a nawet sięgać po władzę – mimo że nie ma męża ani rodziny. Należy przy tym jednak zaznaczyć, że pewna część konserwatywnych wyborców nieco inaczej poradziła sobie z akceptacją jej politycznego przywództwa. Wpisali oni samotną i bezdzietną Sandu w archetyp Joanny d'Arc, świętej dziewicy-

Rozpoczynając walkę o fotel prezydenta, Sandu postanowiła zrezygnować z nadającej ton debacie publicznej w Mołdawii narracji dzielącej scenę polityczną na siły prorosyjskie oraz prozachodnie.

eprasa.pl 341d6b84b9

-bohatera, która poświęca wszystko dla idei. I choć rozwiązanie to może wydawać się efektywne, to – jak ostrzegają specjaliści od politycznego wizerunku – uzyskane za jego pomocą poparcie jest także kruche. Od świętej wymaga się bowiem świętości, a tę, będąc liderem obozu rządzącego, bardzo łatwo stracić.

Mimo to zwycięstwo Sandu stało się najlepszym dowodem ogromnej przemiany, jaką mołdawskie społeczeństwo przeszło w ciągu ostatnich lat. Uczciwość, wiarygodna obietnica poprawy sytuacji w kraju, nieposzlakowana opinia i polityczna determinacja po raz pierwszy okazały się ważniejsze niż płeć, a nawet wątpliwości co do orientacji seksualnej.

Poczucie sprawczości

Rozpoczynając walkę o fotel prezydenta, Sandu oraz jej poplecznicy postanowili zrezygnować z nadającej do tej pory ton debacie publicznej w Mołdawii narracji geopolitycznej, dzielącej mołdawską scenę polityczną na siły prorosyjskie oraz prozachodnie. Wcześniej przez kilka lat głównym punktem programu jej środowiska politycznego była integracja europejska, przeciwstawiana zbliżeniu z Rosją, za którym optował główny rywal PAS, czyli Partia Socjalistów (PSRM). W ten sposób osią kampanii Sandu oraz samej PAS stała się walka z korupcją i powiązana z nią konieczność dokonania jakościowej zmiany w szeregach mołdawskiej klasy politycznej. Ideę tę wyrażało hasło „Czas na dobrych ludzi!", z którym Sandu szła na wybory prezydenckie w 2020 roku. Zmiana ta idealnie wpisywała się w oczekiwania zmęczonych wieloletnią i próżną przepychanką geopolityczną oraz głęboko rozczarowanych swoją klasą polityczną wyborców mołdawskich. Dość powiedzieć, że w drugiej połowie 2020 roku rządowi i partiom politycznym nie wierzyło trzy czwarte wyborców. I nie bez powodu, bo lokalne elity zamieszane są w liczne skandale i schematy korupcyjne, czego sztandarowym przykładem jest wciąż niewyjaśniona kradzież miliarda dolarów z mołdawskiego sektora bankowego w 2014 roku.

Na ostatnie sukcesy wyborcze Sandu wpłynął obserwowany od kilku lat w Mołdawii proces kurczenia się społecznego poparcia dla sił prorosyjskich.

Wątek integracji europejskiej, choć oczywiście nie zniknął z programu, zszedł na drugi, a może nawet trzeci plan. Wejście do Unii Europejskiej przestało być celem samym w sobie i panaceum na bolączki trapiące Mołdawię. Teraz to Mołdawianie mieli samodzielnie naprawić swój kraj i zbliżyć go w ten sposób do Europy. Narracja ta nie tylko upodmiotawiała Mołdawian, którym w końcu przestano powtarzać,

eprasa.pl 341d6b84b9

że ich los w pełni zależy od Brukseli lub Kremla, ale także była dużo bardziej inkluzywna. PAS opierająca swą kampanię na hasłach integracji z Unią była nieakceptowana dla wyborców sympatyzujących z Rosją, ale odwołanie do bardziej uniwersalnych haseł walki z korupcją oraz konieczności wymiany zdyskredytowanych elit jednoczyło niemal wszystkich obywateli. Gdy pół roku po wyborach prezydenckich PAS walczyła o mandaty w przedterminowych wyborach parlamentarnych, retorykę antykorupcyjną wsparła także niezwykle istotnymi dla względnie ubogiego, mołdawskiego społeczeństwa hasłami socjalnymi, którymi do tej pory szafowali przede wszystkim socjaliści i komuniści oraz ugrupowanie populistyczne. Obiecywano więc podwyżki świadczeń, w tym emerytur czy pensji, inwestycje w infrastrukturę itp. „Zaczniemy dobre czasy!" – krzyczały billboardy i plakaty wyborcze w żółtych barwach PAS. Starano się przy tym raczej nie powtarzać starej mantry o unijnym wsparciu finansowym, które umożliwi realizację tych obietnic. I to się ludziom podobało. Gdy podczas pewnego wiecu w niewielkiej wiosce Boldurești położonej przy granicy z Rumunią jeden z kandydatów na posła z ramienia PAS w pewnym momencie wspomniał – wyłamując się z utartej narracji – o unijnej pomocy, która umożliwi remont lokalnej drogi, kilka osób stojących w tłumie westchnęło z irytacją. Kiedy rozmawiałem później z nimi, mówili wprost: „Nie chcemy, by nasi politycy robili z nas żebraków. Chcemy poczuć, że coś zależy od nas. Chcemy poprawy sytuacji, ale też chcemy zawdzięczać ją sami sobie". Wielu mołdawskich obserwatorów życia politycznego mówi, że ostatni raz taką determinację, chęć zmiany i rodzące się poczucie sprawczości widzieli w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, gdy rodziła się niepodległa Mołdawia. Jak mówią: „To pokoleniowa zmiana".

Mołdawianin już się nie boi

Co ważne, gdy Sandu i PAS szli do wyborów z planami pozytywnymi, ich główni przeciwnicy, a więc zarówno Igor Dodon, jak i *de facto* kierowane przez niego siły prorosyjskie, które w lipcowych przedterminowych wyborach parlamentarnych startowały razem w ramach „Bloku Wyborczego Komunistów i Socjalistów" (BECS), próbowali tradycyjnie już stosować przekaz negatywny, grając na wspomnianych wcześniej podziałach geopolitycznych. Straszyli „złym Zachodem" i prezentowali PAS jako swoistą piątą kolumnę, dążącą do oddania kraju w ręce obcych (to znaczy zachodnich) mocarstw i kapitału. W trakcie kampanii Dodon wielokrotnie zarzucał PAS korzystanie z pomocy zewnętrznych doradców oraz wsparcia finansowanego przez zachodnie instytucje czy organizacje pozarządowe (w tym rzecz jasna George'a Sorosa). Jak twierdził, w ten sposób Zachód *de facto* podporządkowuje sobie Mołdawię, czyniąc z niej „bananową republikę". Argumenty te nie brzmiały jednak

eprasa.pl 341d6b84b9

przekonująco z ust polityka powszechnie uważanego za w pełni uzależnionego politycznie od Moskwy i oskarżanego przez przeciwników o finansowanie z Kremla. Dość wspomnieć, że w 2019 roku do internetu wypłynął nagrany ukrytą kamerą film, na którym były prezydent otwarcie przyznaje (jak się wydaje), że Rosja wspiera jego ugrupowanie sumą sięgającą nawet około miliarda dolarów miesięcznie. I choć sam Dodon uznał nagranie za sfałszowane, to jego negatywnego wpływu na wizerunek lidera socjalistów oraz samej partii nie dało się już cofnąć. Szczególnie że nie była to już pierwsza poszlaka potwierdzająca taki proceder.

Prócz geopolityki BECS odwoływał się także chętnie do starych lęków trapiących mołdawskie społeczeństwo. Politycy tej formacji argumentowali, że PAS i inne partie proeuropejskie otwierają republikę na „obce Mołdawii wpływy kulturowe". Mołdawska lewica – jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmi – mieniła się obrońcą kraju i rodziny przed ruchami LGBT+ czy też czystości mołdawskiej krwi, dla której zagrożeniem stać się mogą „ciemnoskórzy amerykańscy żołnierze". Ci pojawić się mieli w Mołdawii (w razie zwycięstwa PAS) w ramach wojsk NATO, po których przybyciu – jak ostrzegał lider wchodzącej w skład BECS Partii Komunistów Vladimir Voronin – „rodzić się będą w Mołdawii smagłe dzieci". Ta rasistowska i seksistowska wypowiedź Voronina, eksploatująca obecne wśród Mołdawian lęki przed innością, zastąpiła znaną z poprzednich wyborów prezydenckich w 2016 roku fałszywą wiadomość, zgodnie z którą Sandu oraz jej partia mieli w razie zwycięstwa sprowadzić do Mołdawii 30 tysięcy syryjskich uchodźców.

Strategia BECS okazała się jednak nieskuteczna. 11 lipca w przedterminowych wyborach parlamentarnych blok zdobył zaledwie 27 procent głosów. Nigdy wcześniej siły prorosyjskie nie uzyskały tak niskiego poparcia. Jednocześnie PAS odniosła historyczne zwycięstwo, uzyskując najwyższy w historii jakiejkolwiek partii politycznej w Mołdawii wynik 53 procent głosów. Porażka „lewicy" i promowanej przez nią narracji świadczy o stopniowej przemianie mołdawskiego elektoratu, który staje się coraz mniej podatny na argumenty emocjonalne, prostą manipulację i próby zastraszania. Mołdawianie okazali się także dużo bardziej niż przed laty odporni na populizm, czego przykładem był zadziwiająco niski wynik, jaki uzyskał inny, popularny jeszcze niedawno mołdawski polityk – Renato Usatii. To barwna i niejednoznaczna postać obecna w mołdawskiej polityce od dobrych kilku lat. On również, podobnie jak PAS, uczynił hasła antykorupcyjne centralnym punktem swojej kampanii. Usatii to powiązany z Rosją populista, pozujący na hajduka, czyli mołdawskiego rozbójnika występującego w obronie biednych i uciśnionych. Na wiece wyborcze przyjeżdżał często w czarnej kurtce i czarnym SUV-ie z rosyjskimi tablicami rejestracyjnymi, otoczony wianuszkiem wysportowanych, postawnych ochroniarzy. Grał „gopnika", czyli rosyjskiego dresiarza, ale walczącego w dobrej sprawie.

eprasa.pl 341d6b84b9

Gdy PAS „grała według zasad", mówiąc o gruntownej reformie wymiaru sprawiedliwości i następujących po niej procesach sądowych, jakie czekają skorumpowanych polityków, Usatii groził kryminalistom natychmiastowym więzieniem. Jego pomysł był prosty. „Dobro musi mieć swoją pięść" – powtarzał na wiecach. Mołdawianie nie dali się jednak tym razem porwać populistycznemu politykowi, który jeszcze kilka lat temu notował kilkunastoprocentowe poparcie. Tym razem jego blok nie przekroczył nawet pięcioprocentowego progu wyborczego. Elektoratu nie przekonała ani teatralność jego kampanii, ani też ciągnące się za nim oskarżenia o powiązania z rosyjskim półświatkiem oraz mołdawską skorumpowaną klasą polityczną. Postawienie na PAS, której można było zarzucić brak doświadczenia, ale nie korupcję – wydawało się przeciętnemu wyborcy dużo bardziej racjonalne i po prostu dojrzałe.

Żegnaj, Moskwo!

Na ostatnie sukcesy wyborcze Sandu oraz PAS wpłynęły jeszcze dwa inne czynniki świadczące o przemianach socjalno-politycznych w Mołdawii. Pierwszym był obserwowany od kilku lat w tym kraju proces kurczenia się społecznego poparcia dla sił prorosyjskich. Ma on dwie główne przyczyny, z których najważniejszą wydaje się prosta i nieubłagana demografia. Na ugrupowania sympatyzujące z Kremlem głosują w Mołdawii przede wszystkim osoby starsze, które zostały najbardziej dotknięte przez transformację ustrojową i które czasy sowieckie (a więc i Rosję) wspominają z sentymentem, kojarząc je ze względnym bezpieczeństwem socjalnym. Ludzie tacy jednak odchodzą, a wiek umożliwiający uczestnictwo w wyborach osiągają dziś osoby urodzone na początku dwudziestego stulecia. Elektorat ten – jak pokazują sondaże – albo nie jest zainteresowany udziałem w życiu politycznym kraju, albo też w zdecydowanej większości opowiada się za jego westernizacją. Dzisiejsi emeryci natomiast to coraz częściej przedstawiciele pokolenia, którego członkowie w czasach pierestrojki i wybijania się Mołdawii na niepodległość mieli około 30–35 lat. Wielu z nich popierało ówcześnie zachodzące przemiany, wspierało liberalizację i demokratyzację życia politycznego, a niektórzy, odkrywając swoją rumuńską tożsamość, wprost opowiadali się za zjednoczeniem swej ojczyzny z zachodnim sąsiadem. Ludzie ci stanowią dziś naturalny elektorat dla partii prozachodnich i prodemokratycznych. Ale zmiany demograficzne nie ograniczają się tylko do emerytów. Stopniowemu kurczeniu ulega także inna grupa tradycyjnie popierająca partie prorosyjskie, czyli mniejszości etniczne. Wedle spisu powszechnego z 2014 roku ich udział w społeczeństwie mołdawskim zmalał w porównaniu z przeprowadzonym dekadę wcześniej cenzusem z 22 procent do 18 procent.

eprasa.pl 341d6b84b9

Do spadku popularności opcji prorosyjskiej skutecznie przyczynia się w ostatnich siedmiu–ośmiu latach także sam Kreml, którego polityka prowadzona wobec Kiszyniowa – oraz innych państw regionu – konsekwentnie osłabia więzi społeczne i gospodarcze między Mołdawią a Rosją. To drugi ze wspomnianych dwóch czynników, jakie pośrednio przełożyły się na sukces sił proeuropejskich. Osłabienie to najwyraźniej widać na przykładzie malejącej wciąż liczby mołdawskich migrantów zarobkowych pracujących w Rosji. O ile w 2014 roku grupa ta (wedle danych rosyjskich) liczyła około 600 tysięcy osób (ponad połowa mołdawskiej diaspory), to w końcu ubiegłego roku stopniała aż trzykrotnie, do zaledwie 200 tysięcy. Do takiego stanu rzeczy przyczyniły się dwa czynniki. Pierwszym była wprowadzona przez Rosję na początku 2014 roku nowelizacja prawa migracyjnego, które ograniczyło czas legalnego pobytu nieposiadających pozwolenia na pracę migrantów z krajów Wspólnoty Niepodległych Państw do dziewięćdziesięciu dni w ciągu pół roku. Oznacza to, że po trzech miesiącach pracy mołdawski gastarbeiter musi wyjechać z Rosji na co najmniej trzy miesiące. Wcześniej osoby takie mogły przebywać w Rosji *de facto* bez limitu czasowego, wystarczyło, by po dziewięćdziesięciu dniach choć na jeden dzień opuściły teren Rosji, co „zerowało" czas ich pobytu. Mechanizm ten w praktyce pozwalał przedłużać pobyt czasowy do pobytu stałego.

Mołdawski wyborca w ciągu ostatnich lat w znacznym stopniu przestał się bać Rosji. Jednocześnie Moskwa nie zdołała zrobić nic, by strach zastąpić czymś bardziej konstruktywnym.

Drugim powodem spadku zainteresowania wyjazdami zarobkowymi do Rosji był ostry, ponad dwukrotny spadek wartości rosyjskiej waluty, do którego doszło w następstwie wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Dość powiedzieć, że o ile do 2014 roku jeden dolar kosztował około 33–35 rubli, to w drugiej połowie 2021 roku wart był on już 73 ruble. W rezultacie tych zmian rola przekazów walutowych z Rosji do Mołdawii radykalnie zmalała. O ile w 2015 roku z tego kraju pochodziło aż 43 procent wszystkich środków przekazywanych do kraju od emigrantów zarobkowych, o tyle w 2020 roku udział ten spadł do zaledwie 13,8 procent. Okazało się także, że Mołdawianie pracujący do tej pory na budowach w Moskwie czy Petersburgu – wbrew powtarzanym regularnie deklaracjom prorosyjskich polityków mołdawskich – mogą znaleźć zatrudnienie w innych państwach, na przykład w Izraelu, który w ostatnich latach stał się niezwykle popularnym kierunkiem wyjazdów zarobkowych. W efekcie w ubiegłym roku niemal piątą część wszystkich transferów walutowych przesłano do Mołdawii z tego właśnie kraju. Fakt, że rosyjski jest tam jednym z trzech najpopularniejszych języków, ma ogromne znaczenie dla nieznających innego języka obcego Mołdawian pracujących wcześniej w Rosji.

eprasa.pl 341d6b84b9

Merkel wygrywa z Putinem

Poza migracją zarobkową radykalnie spadł także poziom uzależnienia Mołdawii od rosyjskiego rynku zbytu. O ile w 2014 roku do Rosji trafiała piąta część mołdawskiego eksportu, o tyle w roku 2020 udział ten skurczył się do zaledwie 9 procent. Spadek ten również został wywołany przez decyzje polityczne Moskwy, która od końca 2013 roku nakładała na Kiszyniów kolejne ograniczenia handlowe, próbując w ten sposób ukarać władze między innymi za podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Efekt był jednak przeciwny do zamierzonego, a mołdawscy eksporterzy szybko przeorientowali się na rynki zachodnie, nadrabiając straty poniesione w handlu z Rosją. Już w 2017 roku obłożony embargiem mołdawski eksport zdołał osiągnąć i przekroczyć poziom sprzed 2014 roku. Dotyczyło to także mołdawskich win i innych produktów alkoholowych, których odbiorcą przez długie lata była Rosja.

Zmniejszenie liczby mołdawskich migrantów zarobkowych w Rosji oraz ograniczenie eksportu mołdawskiej produkcji do tego kraju sprawiło, że Kreml stracił ważne narzędzie polityczno-gospodarczego nacisku na władze w Kiszyniowie.

Co równie ważne, Mołdawscy wyborcy – którzy przez długie lata woleli nie popierać krytykowanych przez Rosję ugrupowań politycznych w obawie przed retorsjami ze strony Moskwy – zorientowali się, że powtarzane przez Kreml groźby, zgodnie z którymi zerwanie więzi handlowych z Rosją czy ograniczenie migracji doprowadzić miało do załamania mołdawskiej gospodarki i masowej biedy, nie były wcale takie straszne. Mołdawski wyborca w ciągu ostatnich lat po prostu w znacznym stopniu przestał się bać Rosji. Jednocześnie Moskwa nie zdołała zrobić nic, by strach zastąpić czymś bardziej konstruktywnym. Brak pozytywnych planów wobec Mołdawii to jedna z ważniejszych przyczyn topnienia mołdawskiego poparcia dla opcji prorosyjskiej. Forsowana jeszcze kilka lat temu Euroazjatycka Unia Gospodarcza (czy też Unia Celna) okazała się pozbawiona treści i dziś budzi zainteresowanie zaledwie co czwartego Mołdawianina.

Budowaniu atrakcyjnego wizerunku Kremla nie pomogła także nieudolna rosyjska polityka szczepionkowa. Mimo powtarzanych wielokrotnie obietnic Mołdawia długo nie otrzymywała od Rosji preparatów Sputnik V. Co więcej, wsparcia od Moskwy nie doczekało się także Naddniestrze. O ile brak pomocy dla prawobrzeżnej Mołdawii tłumaczyć można było przyczynami politycznymi, o tyle niezdolność do zaopatrzenia w szczepionki Naddniestrza będącego *de facto* rosyjskim protektoratem ujawniało słabość Kremla. Ostatecznie Rosja od kwietnia do czerwca bieżącego roku wysłała do Mołdawii zaledwie 170 tysięcy szczepionek. To mało, biorąc pod uwagę, że sama tylko Rumunia od lutego do czerwca dostarczyła do swojego

eprasa.pl 341d6b84b9

wschodniego sąsiada ponad pół miliona dawek preparatów Pfizer-BioNTech oraz AstraZeneca.

Choć zwycięstwo Sandu, a także dane dotyczące handlu, migracji czy poparcia dla rosyjskiego projektu integracyjnego mówią wiele na temat luzujących się wciąż więzi rosyjsko-mołdawskich i ewolucji mołdawskiego elektoratu, to najbardziej znamiennym symbolem przemian wydaje się coś innego. Oto w czerwcowym wydaniu prowadzonego dwa razy do roku sondażu zwanego „Barometrem opinii publicznej" Władimir Putin – do tej pory lider rankingu zaufania wśród Mołdawian – po raz pierwszy w historii stracił swoją pozycję. Wyprzedziła go kobieta i liderka demokratycznego, zachodniego państwa. Angela Merkel.

Kamil Całus jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej". Autor książki *Mołdawia. Państwo niekonieczne* (2020).

eprasa.pl 341d6b84b9

Na granicy, tuż za jeziorem

Tekst i zdjęcia Aneta Strzemżalska

Przedterminowe wybory parlamentarne w Armenii toczyły się w cieniu zeszłorocznej wojny. Teoretycznie zwyciężyła demokracja, ale władza jest tak słaba, że ledwo zapewnia podstawowe potrzeby swoim obywatelom i strzeże resztek suwerenności kraju.

– Wybory udowodniły, że ludzie kochają wolność, równość, sprawiedliwość i nie zamierzają odwracać się od wartości aksamitnej rewolucji, którą przeprowadzili w 2018 roku. Wybory również były potwierdzeniem, że ludzie rozumieją przyczyny [wybuchu] ostatniej wojny, że nie są one zakorzenione w rewolucji czy przemianach porewolucyjnych. Ich źródło jest o wiele głębsze, tkwi w przeszłości, historii Kaukazu Południowego – podsumowała rezultaty czerwcowych wyborów parlamentarnych w Armenii Maria Karapetjan.

Wykształcona na europejskich uniwersytetach, uczestnicząca w wielu międzynarodowych projektach na rzecz budowy pokoju na Kaukazie, od grudnia 2018 roku Karapetjan jest posłanką do armeńskiego parlamentu z ramienia rządzącej Umowy Społecznej.

Czyste ręce

Poznałyśmy się ponad trzy lata temu, tuż po dojściu Nikola Paszinjana do władzy, wtedy Karapetjan po prostu była aktywistką. Pełna energii i entuzjazmu trzydziestolatka wierzyła w oddolność rewolucji, w sprawczość zwykłych ludzi i rychłe przemiany systemowe, zmierzające do demokratyzacji ojczyzny.

Przekonanie posłanki Marii Karapetjan o słusznym kursie politycznym Armenii podzieliła w przedterminowych wyborach parlamentarnych większość obywateli. Ugrupowanie rządzącego od trzech lat populisty Nikola Paszinjana zdobyło bezwzględną większość w Zgromadzeniu Narodowym: 71 miejsc. Pozostałe 36 głosów podzielono pomiędzy firmowany przez byłego prezydenta Roberta Koczarjana Sojusz na Rzecz Armenii (29 miejsc w parlamencie) i blok Mam Zaszczyt (7 miejsc), kierowany przez Serża Sargsjana, zmuszonego trzy lata temu do odejścia w cień.

eprasa.pl 341d6b84b9

Laura Bagdasarjan, założycielka i dyrektorka Region Research Center – erywańskiej organizacji zajmującej się analizą sytuacji społecznej i politycznej w Armenii, uważa, że rezultaty wyborów do samego końca były wielkim zaskoczeniem.

– Badania opinii publicznej i analiza sytuacji społeczno-politycznej zapowiadały zwycięstwo Nikola Paszinjana, ale nie przewidziały, że polityk może zdobyć bezwzględną większość parlamentarną – analizuje Bagdasarjan. – Ze wstępnych danych wynikało, że dojdzie do defragmentacji parlamentu i tworzenia trudnych, niestabilnych koalicji politycznych, skierowanych przeciwko opozycji skupionej wokół byłych prezydentów Serża Sargsjana i Roberta Koczarjana – tłumaczy politolożka.

Bagdasarjan nie ma wątpliwości, że proces wyborczy należy ocenić jako demokratyczny.

– Wykorzystywanie zasobów administracyjnych i inne naruszenia wynikające z braku transparentności systemu nie były większe niż w przeszłości. Natomiast na uwagę zasługują takie kwestie, jak brutalny charakter wszystkich kampanii, przesiąknięty mową nienawiści i wsparty materiałami kompromitującymi. Fakt, że nie ukazały się żadne materiały oczerniające Paszinjana i jego rodzinę (a jedynie członków jego ugrupowania), potwierdza, że jest on człowiekiem niezamieszanym w afery korupcyjne – stwierdza ekspertka.

Powszechna w narodzie wiara, że Nikol Paszinjan „ma czyste ręce", przesądziła o wygranej Umowy Społecznej, bo była przeciwwagą dla poprzednich rządów, w szczególności prezydentury skorumpowanego Roberta Koczarjana. Według danych Centralnej Komisji Wyborczej zwycięstwo Paszinjana było najmniej spektakularne w samym Erywaniu i prowincji Sjunik zarządzanej przez sprzymierzonego z Koczarjanem gubernatora; tam na Sojusz na Rzecz Armenii oddało głos 28 procent wyborców. Ugrupowanie drugiego prezydenta Armenii cieszyło się również popularnością wśród Ormian głosujących internetowo (prawie 30 procent). Natomiast Umowa Społeczna bezsprzecznie zwyciężyła we wszystkich innych jednostkach administracyjnych, w tym – ku zaskoczeniu wielu ekspertów – w rejonach graniczących z Azerbejdżanem, zdobywając od 68 procent do 59 procent (malejąco: Tawusz, Gegharkunik, Wajoc Dzor).

Rozumiemy

W czerwcowych wyborach parlamentarnych Nikola Paszinjana poparli również mieszkańcy położonej w guberni Gegharkunik wsi Mec Masrik. Ulokowana tuż na granicy z Azerbejdżanem, pięć kilometrów na wschód od miasta Wardenis miejscowość mocno odczuwa skutki toczącej się niespełna rok wojny. Powodów jest kilka. Najważniejszy z nich to realne przesunięcie granic zewnętrznych Armenii. Listopa-

eprasa.pl 341d6b84b9

dowe porozumienie zawarte pomiędzy zwaśnionymi stronami i Rosją zobligowało Erywań między innymi do zwrócenia pod jurysdykcję Baku okupowanego od 1994 roku rejonu Kelbedżer. Po opuszczeniu przez Ormian Kelbedżeru na wierzchołkach gór okalających Mec Masrik Azerbejdżanie rozmieścili swoje wojska obrony granic i uszczelnili rubieże. Zamknięcie jednej z dwóch arterii łączących Erywań ze Stepanakertem pozbawiło mieszkańców Mec Masrik ważnego dla ich finansowej stabilności dochodu z tranzytu ludzi i materiałów z Armenii do Karabachu i z powrotem.

Powszechna w narodzie wiara, że Nikol Paszinjan „ma czyste ręce", przesądziła o wygranej Umowy Społecznej.

Geografia wsi dostarcza jej mieszkańcom wielu wyzwań. Podczas zeszłorocznych działań wojennych w obawie o swoich najbliższych wielu mieszkańców Mec Masrik (a także innych przygranicznych miejscowości) ruszyło do walki przeciwko Azerbejdżanom. Kobiety z kolei zajęły się organizacją i przygotowaniem zaopatrzenia. Za pieniądze przysłane z zagranicy kupiły mąkę, z której wypiekały chleb dla wojska.

– Nikol Paszinjan zrezygnował z kuchni polowych na rzecz cateringów. Podczas pokoju standard wyżywienia się podwyższył, ale jaka firma dowiezie posiłki na front? Nasi chłopcy byli głodni i my im pomagałyśmy – opowiada Irina, lokalna aktywistka. – Napisali nawet o nas w gazetach – pokazuje z dumą na telefonie zdjęcia wycinków z lokalnej prasy.

Irina wraz z mężem i dwójką kilkuletnich dzieci mieszka w Mec Masrik od urodzenia. Jej przodkowie przybyli do Armenii ze wschodniej Turcji, znad jeziora Wan, czyli z centrum historycznej krainy Wielkiej Armenii w 1831 roku. Na początku mieszkali w kamiennym dwuizbowym domu. Znaczną jego część zajmuje ceglany piec, dzisiaj wyglądający jak ołtarzyk. Przyozdobiony obrazami chrześcijańskich świętych. Nieopodal jest palenisko, a pod nim, głęboko w glinianej podłodze znajduje się tandir, piec służący do wypieku cienkiego chleba – lawasza. Przy ścianach postawiono tradycyjne krosna, skrzynię do przechowywania dobytku, a na półkach i podłodze wyeksponowano tradycyjne gliniane i metalowe naczynia. Irina i jej rodzina są bardzo dumni z zachowanych pamiątek. Z Ministerstwem Kultury toczyli batalię o to, by wpisać je do rejestru zabytków. Po długim czasie udało się i dzisiaj ten kamienny dom funkcjonuje jako lokalne muzeum etnograficzne.

Zakładanie niewielkich skansenów jest jednym ze sposobów uwierzytelniania praw Ormian na zamieszkanie ziem na wschód od jeziora Sewan. Trudno znaleźć wiarygodne dane statystyczne, ale Irina otwarcie przyznaje, że do pierwszej wojny karabaskiej w Mec Masrik i sąsiednich wioseczkach mieszkali prawie sami Azerbejdżanie, wówczas nazywani również Tatarami.

eprasa.pl 341d6b84b9

– Wardenis to armeńskie miasto, w 1830 roku zapuścili w nim korzenie osadnicy z zachodnio-ormiańskiego miasta Diyadin. Później, w okresie radzieckim, powstały zakłady mleczarskie, spichlerze, młyny, ale ludzie przede wszystkim pracowali w kopalni złota w Sotk – opowiada Lilit, dyplomowana przewodniczka turystyczna z Erywania.

Lilit ma poglądy nacjonalistyczne. Denerwuje ją, kiedy wspomniana wyżej Irina zabiera nas do sąsiedniej wsi Pokr Masrik, by pokazać muzułmańskie kurhany, a potem jeszcze dobrze zachowany azerbejdżański cmentarz w Mec Masrik. Nie chce przyjąć do wiadomości, że we wschodniej części Armenii jest tyle azerbejdżańskich śladów. Przechodząc na język ormiański – tak żebym nie zrozumiała – mówi Irinie, że nie powinna opowiadać o tym, że prawie wszystkie wsie w powiacie Wardenis w większości zamieszkiwali Azerbejdżanie, a po 1988 roku ich domy zajęli armeńscy uchodźcy z Baku, Giandży i innych terenów pod jurysdykcją „Turków", jak o Azerbejdżanach zwykli mawiać obywatele Armenii.

Zakładanie niewielkich skansenów jest jednym ze sposobów uwierzytelniania praw Ormian na zamieszkanie ziem na wschód od jeziora Sewan. Przed wojną karabaską tereny te zajmowali Azerbejdżanie.

Azerbejdżańscy Ormianie do dziś są jedynymi mieszkańcami wschodniego brzegu Sewanu, terenów rolniczych, gdzie wypasem owiec i hodowlą bydła do rozpadu ZSRR parali się ich „wrogowie" zza wschodniej granicy. Uchodźcy przez trzydzieści lat nie zdołali się asymilować, po ormiańsku mówią słabo, bo języka nauczyli się dopiero po przyjeździe do Armenii. Narażani na ostracyzm społeczny – jeśli tylko mieli pieniądze, wyjeżdżali do Rosji. Tak też w większości robiły rodziny mieszane, bo dzieciom armeńsko-azerbejdżańskim było szczególnie trudno w monoetnicznym kraju.

Zarobkowa migracja do Rosji jest głównym źródłem utrzymania wielu rodzin, nie tylko w Mec Masrik. Podczas mojego pobytu w Armenii dom Iriny zawsze był pełen: gościły w nim siostra gospodyni i jej dzieci, kuzynki, migrantki z Kelbedżeru, sąsiadki. Same kobiety i dzieci. Mężczyźni zawsze byli w pracy, latem na pobliskim polu lub ewentualnie w kopalni złota (wjazd do niej znalazł się po stronie azerbejdżańskiej, ale Baku zgodziło się na codzienne przekraczanie granicy przez armeńskich pracowników i wznowiło działanie zakładu kilka miesięcy po wojnie), a jesienią i zimą w Rosji. Wtedy kobiety muszą zatroszczyć się nie tylko o dzieci i dom, ale również nakarmić zwierzęta, wydoić krowy. Nierzadko te ciężkie fizyczne obowiązki wykonują przed pracą w szkole lub lokalnej administracji lub po niej.

Teraz, po wojnie, nastały jeszcze trudniejsze czasy.

eprasa.pl 341d6b84b9

– Żyjemy w rejonie przygranicznym, ale nie dostaliśmy specjalnego statusu, który pozwoliłby nam na otrzymywanie dodatkowych środków finansowych na uporanie się ze skutkami wojny – żali się pracowniczka lokalnego urzędu gminy, prosząc o anonimowość.

– Jesienią ewakuowaliśmy dzieci i osoby starsze w głąb kraju, tu było niebezpiecznie. Podczas bombardowania kilka pocisków spadło na domy cywili. To była noc, w jednym spał mężczyzna. Zginął na miejscu – opowiada inna mieszkanka Mec Masrik.

– Problemów jest cała masa, ale to nie wina Paszinjana – dodaje Irina, wiedząc, że wspomniany przez sąsiadkę mężczyzna zginął od pocisku źle naprowadzonego przez armeńskie siły zbrojne. – My tu wszyscy na Paszinjana głosowaliśmy, bo on nas rozumie, jest jednym z nas i na wojnę nie miał wpływu – kwituje rozmówczyni.

Powojenne zmiany

Mimo że porozumienie kończące działania zbrojne zostało podpisane w listopadzie ubiegłego roku, zarówno czerwcowe wybory parlamentarne, jak i obecne życie polityczno-społeczne toczy się w cieniu wojny. Jej rezultat jest wynikiem wcześniejszych ustaleń, zawartych przede wszystkim pomiędzy Rosją i Turcją. Regionalny kompromis zakłada otwarcie korytarzy transportowych, deblokadę ekonomiczną Armenii i przede wszystkim demarkację granicy azerbejdżańsko-armeńskiej, bo bez jej przeprowadzenia trudno wdrażać jakiekolwiek projekty.

Formalne wytyczenie granic powinno być symbolicznym zakończeniem sporu karabaskiego i gwarancją bezpieczeństwa całego regionu. Tymczasem na wschodnich obrzeżach Armenii cięgle wrze, bo – jak twierdzą armeńscy eksperci – linia graniczna nie jest wytyczana zgodnie z prawem. W maju kilkuset azerbejdżańskich wojskowych bez pozwolenia przeniknęło w głąb prowincji Sjunik (Zengezur) i zajęło strategiczne pozycje wokół wysokogórskiego Jeziora Czarnego. Nie padł ani jeden strzał, bo Nikol Paszinjan wydał niepopularną decyzję, by pod żadnym pozorem nie otwierać ognia do obcych żołnierzy. Z kolei w lipcu dywersyjna grupa azerbejdżańskich wojsk wtargnęła na terytorium Armenii w rejonie wspomnianego wyżej miasta Wardenis. Akcja była odwetem za zabicie przez Ormian kilka dni wcześniej azerbejdżańskiego chorążego.

Regularnie powtarzające się ostrzały nie pozwalają na wątpliwości: brak zewnętrznej ingerencji w spór graniczny niechybnie doprowadzi do nowych eskalacji. Padną kolejne ofiary śmiertelne. W obliczu takiego zagrożenia Nikol Paszinjan zwrócił się o pomoc do Rosji. W rezultacie zarządzono stopniowe wycofanie armeńskich wojsk z terenów przygranicznych z Azerbejdżanem. Ich miejsce mają zająć rosyj-

eprasa.pl 341d6b84b9

skie siły pokojowe. Hrant Mikaelian, analityk erywańskiego think thanku Caucasus Institute, szacuje, że w celu ochrony armeńskich granic rosyjska baza wojskowa zostanie powiększona o dodatkowych 1–1,5 tysiąca żołnierzy. W rozmowie z „Nową Europą Wschodnią" specjalista stwierdził również, że Erywań już wydał zgodę na relokację części bazy w Giumri na wschodnie rubieże Armenii.

Rosja umacnia swoją pozycję na Kaukazie Południowym nie tylko w aspekcie militarnym, ale także politycznym. W ostatnich miesiącach doszło do wielu rozmów pomiędzy głowami zwaśnionych republik i prezydentem Władimirem Putinem lub ministrem spraw zagranicznych Rosji, Siergiejem Ławrowem. Wyznaczenie granicy państwowej wraz z opisem jej przebiegu i narysowaniem na mapie było ich centralnym wątkiem, a ich intensywność pozwala sądzić, że demarkacja jest kwestią niedalekiej przyszłości.

Na ile autarkicznym w kreowaniu kaukaskiej rzeczywistości politycznej jest premier Armenii? Dopóki stoi za nim naród – a tak jest do tej pory – Nikol Paszinjan ma pewne pole manewru i może zadbać o zachowanie suwerenności swojego kraju. Niemniej jednak będzie musiał wyjść naprzeciw żądaniom Moskwy i przystać na takie warunki demarkacyjne, jakie wynegocjuje ona z Baku.

Formalne wytyczenie granic powinno być symbolicznym zakończeniem sporu karabaskiego. Na wschodnich obrzeżach Armenii jednak wrze. Zdaniem armeńskich ekspertów linia graniczna nie jest wytyczana zgodnie z prawem.

Kolejnym elementem powojennych zmian – o które szczególnie aktywnie zabiega prezydent Ilham Alijew, lojalnie wspierany przez Turcję – jest otwarcie nowych korytarzy transportowych. Benjamin Poghosjan, dyrektor Political Science Association of Armenia, przyznaje, że przy użyciu spedycji lotniczej nie sposób zaopatrzyć wciąż rozrastającą się rosyjską bazę w samej Armenii, a także siły pokojowe, które osiedlają się w Arcachu z całymi rodzinami. Nowe drogi są ważne dla Armenii, ponieważ pozwoliłby na uruchomienie alternatywnej, często zamykanej z powodów pogodowych „gruzińskiej" drogi łączącej Armenię z Rosją. Politolog zwraca jednak uwagę, że trasa, którą proponuje Baku, nie odpowiada interesom Armenii, bo odseparowuje od reszty kraju i tak już geograficznie oddzielony łańcuchem górskim Sjunik.

– Erywań proponuje szlak północny, z azerbejdżańskiego Gazachu, przez Idżewan – Diliżan – Hrazdan, aż do Erywania. Natomiast Baku chce, by komunikacja prowadziła z Derbentu do Jalama, następnie Biledżeri (przedmieścia Baku) – Bejleganu i dalej wzdłuż granicy z Iranem, aż do wsi graniczącej z Armenią – Mindżiwanu – tłumaczy Poghosjan.

eprasa.pl 341d6b84b9

Jezioro Sewan, święta ziemia dla Ormian.
Problem polega na tym, że także dla Azerbejdżan.

Cmentarz ormiański we wsi Mec Masrik. Jego centralne miejsce zajmuje chaczkar – masywna kamienna stela ozdobiona ormiańskim krzyżem. Lokalni mieszkańcy wierzą, że ich chaczkar powstał w drugiej połowie IX wieku i jest jednym z najstarszych w Armenii.

Pozostałości po azerbejdżańskim cmentarzu we wsi Pokr Masrik, położonej po wschodniej stronie jeziora Sewan. Obecnie Pokr Masrik zamieszkują azerbejdżańscy Ormianie, ale do pierwszej wojny karabaskiej była to azerbejdżańska wieś.

Ormiański dom-muzeum wybudowany jeszcze w XIX wieku. Zasiedlili go Ormianie, którzy wcześniej zamieszkali okolice jeziora Van. Stare meble, fotografie, naczynia, kilimy. Ale i dziś udziela gościny i daje ukojenie.

eprasa.pl 341d6b84b9

eprasa.pl 341d6b84b9

Do 2020 roku była to główna arteria łącząca Górski Karabach i Armenię. Wojna zmieniła także mapę połączeń drogowych.

Kurhany azerbejdżańskie we wsi Pokr Masrik, wybudowane w pierwszej połowie XX wieku. Azerbejdżańskie płyty nagrobne sprzed okresu radzieckiego zostały przez Ormian kompletnie zniszczone.

Nie zważając na otwarty sprzeciw Erywania, Baku aktywnie przygotowuje się do realizacji swojego scenariusza. Prezydenckie dekrety zapowiadają, że do końca bieżącego roku powstanie niezbędna infrastruktura kolejowa: zostanie odremontowane stare torowisko, nowy odcinek, biegnący przez tereny wcześniej kontrolowane przez Armenię (około 130 kilometrów) położony od nowa, odbudowane stacje i punkty przeładunkowe. Jako przykładem nieuchronnego sukcesu władze azerbejdżańskie chwalą się pięknie odrestaurowaną stacją w Mindżiwanie.

Dużą rolę w uruchomieniu korytarza południowego odgrywa również Turcja, która planuje wejść na rynki środkowoazjatyckie. W tym celu ma zostać wykorzystany supernowoczesny port w Adalecie, przygotowany do przyjmowania dużych statków transportowych; na jego rekonstrukcję Azerbejdżan wydał 300 milionów dolarów.

Czy w obliczu realizacji tak kontrowersyjnych dla Armenii projektów jej władze mają dużo do powiedzenia? Odpowiedź jest przecząca, bo jeśli Moskwa ma decydujący głos w sprawie obsadzenia kluczowych w republice resortów, to tym bardziej przeforsuje projekty, które odpowiadają jej interesom, a nie Erywania. Rząd Paszinjana może jedynie starać się, by nie dopuścić do najgorszego scenariusza, to jest ocalić resztki suwerenności.

Aneta Strzemżalska jest współpracowniczką naukową Wydziału Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu. Regularnie prowadzi badania terenowe w regionie Kaukazu. Stała współpracowniczka „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl 341d6b84b9

Piekło, które nie zostanie rozliczone

Z doktor Aleksandrą Iwanowską z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Jak sytuacja osób LGBT z krajów Kaukazu Południowego prezentuje się w dorocznym raporcie ILGA, czyli Międzynarodowego Stowarzyszenia Lesbijek i Gejów?

ALEKSANDRA IWANOWSKA: Organizacja ta zajmuje się monitorowaniem praw osób LGBT i co roku publikuje raport oraz tęczową mapę Europy. Poszczególne kraje otrzymują procentowe punkty w odniesieniu do sytuacji osób LGBT. Im „procentów" jest więcej, tym sytuacja osób nieheteronormatywnych w danym kraju jest lepsza. Zero procent oznacza masowe naruszenia praw mniejszości, a sto procent pełne uznanie ich praw i zero dyskryminacji. Badanie obejmuje nie tylko państwa członkowskie Unii Europejskiej, lecz wszystkie kraje europejskie, w tym Turcję oraz państwa Kaukazu Południowego.

Przy sporządzaniu raportu brane są pod uwagę między innymi regulacje prawne dotyczące osób LGBT w danych krajach, mowy nienawiści, życia rodzinnego czy prawnego uznania płci. Państwa Kaukazu Południowego znajdują się na końcu tęczowego rankingu. W roku 2020 na jego czele uplasowała się Malta z wynikiem 94 procent, a na końcu Azerbejdżan z rezultatem 2 procent. W tym kraju mamy do czynienia z masowymi naruszeniami praw osób LGBT. Na końcu, z 4 procentami znajduje się również Turcja. Trzecia od końca jest Armenia z wynikiem 8 procent. Dwa kraje Kaukazu Południowego to dół tabeli. Znacznie lepiej sytuacja osób LGBT wygląda w Gruzji (27 procent) pomimo niedawnych wydarzeń w Tbilisi, które nosiły znamiona pogromu. Natomiast jeszcze gorzej niż w Azerbejdżanie i Armenii jest na Kaukazie Północnym (Czeczenia, Dagestan, Inguszetia), który w zestawieniu nie jest rozpatrywany jako osobny podmiot, gdyż jest częścią składową Federacji Rosyjskiej (10 procent).

W jaki sposób twórcy rankingu pozyskują informacje, na podstawie których oceniają sytuację osób LGBT w poszczególnych krajach?

Informacje pozyskiwane są wielotorowo. Z jednej strony twórcy obserwują wydarzenia w poszczególnych krajach oraz

eprasa.pl 341d6b84b9

ich prawodawstwo, z drugiej posiłkują się informacjami od miejscowych organizacji LGBT. Na tej podstawie przygotowywane są profile poszczególnych krajów z uwzględnieniem różnych aspektów, takich jak: sytuacja osób LGBT na przykład na rynku pracy, w dostępie do opieki zdrowotnej czy wolność zgromadzeń. W profilach podawane są linki do informacji z lokalnych mediów. ILGA prowadzi bazę online, za pomocą której aktywiści LGBT czy osoby zainteresowane mogą mieć wkład w prowadzone badanie.

Jaka jest przyczyna tak powszechnej i silnej homofobii społeczeństw południowokaukaskich?

Spowodowane jest to dwoma czynnikami. Jeden z nich ma charakter religijny. W przypadku Gruzji to niezwykle silna pozycja Gruzińskiej Cerkwi Prawosławnej. Instytucja ta jest wpływowym graczem na lokalnej scenie politycznej. Jej przywódcy, łącznie z katolikosem Eliaszem II, słyną z homofobicznych wypowiedzi nawołujących pośrednio lub bezpośrednio do stosowania przemocy wobec osób LGBT. Z podobnymi oświadczeniami mieliśmy do czynienia przy okazji wydarzeń z 5 lipca bieżącego roku. Przedstawiciele Cerkwi podkreślali, że atak na osoby LGBT jest formą obrony ojczyzny i gruzińskich wartości. W przypadku Azerbejdżanu mamy do czynienia z krajem muzułmańskim, z założenia nieprzychylnym mniejszościom seksualnym. Armenia jest krajem chrześcijańskim z dominującą rolą Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego. Drugi czynnik ma charakter nacjonalistyczny. Kaukaz jest specyficznym miejscem, gdzie żyje wiele grup narodowościowych, etnicznych i językowych. To niewyobrażalny tygiel. Na Kaukazie każda nacja próbuje udowodnić, że jest obecna dłużej od innych, przez co ma większe prawa. W tym kontekście osoby LGBT przedstawiane są jako obce, stanowiące zagrożenie dla danej narodowości. Oczywiście tego typu narracja nie jest zarezerwowana tylko dla Kaukazu. Obserwujemy ją również w Polsce, na Węgrzech, w Rosji czy w Azji Centralnej. Twierdzi się, że takich osób w tych społeczeństwach nie ma. Podkreśla się, że jest to wytwór zgniłej kultury Zachodu, krajów liberalnych. Pozostaje w kontrze do miejscowej wiary i tradycji.

Dwukrotnie wspomniałaś o wydarzeniach z 5 lipca w Gruzji.

Tak, ponieważ 5 lipca w Tbilisi miał odbyć się marsz godności w ramach festiwalu LGBT o nazwie Tbilisi Pride. Do marszu nie doszło. Zablokowali go agresywni zwolennicy ugrupowań skrajnej prawicy oraz przedstawiciele kleru. Napadli na ponad pięćdziesięciu pracowników mediów relacjonujących wydarzenie. Kilka dni później zmarł pobity kamerzysta Aleksandre Laszkarawa. Przemoc nie pojawiła się znikąd. Mieliśmy do czynienia z wieloma przypadkami agresji i mowy nienawiści wobec osób LGBT w Gruzji. Wydarzenia z 5 lipca nie mogą być zaskoczeniem. Warto wrócić do roku 2013, kiedy też doszło do pogromu, choć

eprasa.pl 341d6b84b9

Archiwum prywatne

W wielu krajach kaukaskich rzadko kiedy pobiciami i napaściami na osoby LGBT zajmuje się prokurator. Większość spraw jest zamiatana pod dywan.

nie na taką skalę. Wtenczas przeciwnicy marszu pojawili się w centrum stolicy Gruzji. Kilkudziesięciu aktywistów ewakuowali funkcjonariusze policji. Po tym wydarzeniu gruziński patriarcha ogłosił ustanowienie nowego święta kościelnego – Czystości Rodziny, które miało być obchodzone 17 maja, w kontrze do Międzynarodowego Dnia Przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii. Tego dnia na całym świecie odbywają się parady równości. W 2020 roku nie doszło do próby przeprowadzenia marszu równości z powodu obostrzeń związanych z pandemią koronawirusa. Jednak wspomniane święto kościelne było celebrowane. Poza tym duchowni prawosławni poruszali się po Tbilisi samochodami. Mieli święte ikony, kropili ulice wodą święconą, by w ten sposób przegonić zarazę w postaci koronawirusa, jak również „ideologii LGBT". Podłoże do tego typu zachowania powstało znacznie wcześniej. Społeczeństwo gruzińskie jest konserwatywne, czego przejawem jest niechęć do mniejszości seksualnych. Jednak istotne znaczenie podczas tegorocznych zajść miało podburzenie nastrojów społecznych przez premiera Irakliego Garibaszwilego i innych liderów rządzącego Gruzińskiego Marzenia. Szef rządu uznał, że za aktywistami Tbilisi Pride stoi radykalna opozycja i były

eprasa.pl 341d6b84b9

prezydent Micheil Saakaszwili. Tego typu twierdzenia należy łączyć z jesiennymi wyborami samorządowymi. Obecna władza chciała umocnić swoją pozycję, puszczając oko do najbardziej tradycjonalistycznej części elektoratu.

Pogrom, który miał miejsce 5 lipca, jest z pewnością traumatycznym wydarzeniem dla społeczności LGBT. Jednak nie najgorsza pozycja tego kraju w rankingu ILGI oznacza, że nie wszystko maluje się w aż tak ciemnych barwach.

W Gruzji nie doszło do parady, jednak po raz kolejny była podejmowana próba jej zorganizowania. W Armenii i Azerbejdżanie trudno sobie nawet wyobrazić jakiekolwiek działania w takim kierunku. Poza tym w Gruzji mogą funkcjonować organizacje zrzeszające osoby LGBT. Tematyka mniejszości seksualnych obecna jest w przestrzeni medialnej. W ostatnim czasie mówi się o problemie prawnego uznania płci osób transpłciowych. Warto przy tej okazji wspomnieć wysiłki gruzińskiego ombudsmana, które zostały odnotowane w raporcie ILGI. Co roku rzecznik podnosi kwestię braku możliwości prawnego uznania płci osób transseksualnych bez konieczności przeprowadzenia operacji uzgodnienia płci, co według międzynarodowych standardów jest często luksusem. W wielu przypadkach jest to operacja zagrażająca życiu. Standardy idą w tym kierunku, żeby prawne rozpoznanie płci nie wymagało interwencji chirurgicznej. W ubiegłym roku gruzińska transpłciowa kobieta pozwała swój kraj przed Europejski Trybunał Praw Człowieka w tym właśnie kontekście. W Azerbejdżanie nie ma w ogóle takich dyskusji. Ponadto osoby transpłciowe nie mają szans na podjęcie stałej pracy zarobkowej ani na wynajęcie mieszkania; 90 procent spośród nich zarabia na życie pracą seksualną. W Armenii osoby transpłciowe też składały skargi do sądów na niemożność prawnego uznania płci w dokumentach. Jednak nie mogły liczyć na żadną pomoc rzecznika praw obywatelskich Armenii.

Czyli, jeśli dobrze zrozumiałem, w Armenii i w Azerbejdżanie nigdy nie miały miejsca próby zorganizowania marszy równości osób LGBT?

Posłużę się przykładem sprzed roku z Azerbejdżanu, który zobrazuje skalę homofobii w tym kraju. W walentynki para homoseksualna nagrała filmik, na którym się całuje. Umieściła go na Facebooku, ale post miał charakter prywatny, nie publiczny. Jednak następnego dnia stał się wiralem krążącym w sieci. Osoby te zaczęły dostawać nienawistne wiadomości. Grożono im śmiercią. Sytuacja stała się niebezpieczna. Miała miejsce w drugim co do wielkości mieście w Azerbejdżanie, które ma ponad 300 tysięcy mieszkańców. Jeden z tych chłopaków został zmuszony do zrezygnowania z pracy, a drugi został wysłany na urlop z przekazem, że najlepiej by było, gdyby sam się zwolnił. Skala homofobii, z którą się zetknęli, była tak wielka, że mieli problemy ze zrobieniem

eprasa.pl 341d6b84b9

zakupów. Sprzedawca w piekarni odmówił im obsługi.

Czy w Azerbejdżanie i Armenii, tak jak w Gruzji, działają organizacje osób LGBT?

W Armenii istnieją takie organizacje. Są nawet zrzeszone w sieć równościowych NGO. Jednak w Armenii pozycja społeczeństwa obywatelskiego nie jest zbyt silna. Problemem jest także brak zaufania obywateli do organizacji pozarządowych. Natomiast w Azerbejdżanie nie ma trzeciego sektora. Władza zatrzymuje krytycznych blogerów i dziennikarzy. Jeden z nich w ubiegłym roku został wysłany do szpitala psychiatrycznego. Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy uznało, że w Azerbejdżanie dochodzi do systemowego więzienia oponentów politycznych i krytyków prezydenta oraz rządu. Zatem praktycznie nie ma przestrzeni dla obrońców praw człowieka.

Jak wygląda codzienność osób LGBT w krajach południowokaukaskich? Czy żyją w ukryciu? Jak odnajdują się na rynku pracy?

Informacje na ten temat czerpię z rozmów, które odbywam w trakcie realizacji projektów w Gruzji, Armenii i Azerbejdżanie. Wspomniana historia z Azerbejdżanu mówi wiele o życiu osób LGBT. Sprawa trudnienia się pracą seksualną przez przygniatającą większość osób transpłciowych w tym kraju pokazuje schizofrenię i obłudę miejscowej homofobii. Sekspracownicy nie narzekali na brak pracy, klientów czy dochodów. Podkreślali, że mieli jednak problemy ze znalezieniem dla siebie lokum. Kilkakrotnie w ciągu roku musieli je zmieniać. Osoby te nie mają niemal żadnych szans na znalezienie innego zatrudnienia. Po ujawnieniu się prawie zawsze tracą pracę i są odtrącane przez rodziny, co zmusza je do zajęcia się seksbiznesem. Znam przypadek trzynastoletniej dziewczyny, którą wyrzucono z domu, po tym jak ujawniła, że jest osobą transpłciową. Musiała pracować na ulicy z powodu braku innych perspektyw. W ubiegłym roku została zaatakowana przez nożownika. Osoby transpłciowe parające się pracą seksualną są często nękane przez policję. Organizowane są naloty, w czasie których ludzie ci są bici, obrażani, zastraszani. Odrębnym zagadnieniem był problem tych osób z pracą w czasie najsilniejszych restrykcji wprowadzonych z powodu pandemii koronawirusa. Straciły środki do życia. W czasie ścisłego lockdownu można było wyjść z domu tylko na dwie godziny, używając specjalnej aplikacji. Ten czas był zbyt krótki na znalezienie klienta. W Armenii sytuacja nie jest o wiele lepsza. Krytycznym momentem jest ujawnienie się, czyli wyjście z szafy. Dane, którymi dysponujemy, są tak naprawdę wierzchołkiem góry lodowej. Nie jesteśmy w stanie ocenić skali przemocy i nadużyć wobec osób LGBT. W Armenii, w odróżnieniu od Gruzji, nie ma żadnego ustawodawstwa zwalczającego dyskryminację ze względu na orientację seksualną czy tożsamość płciową.

eprasa.pl 341d6b84b9

A w Gruzji takie ustawodawstwo przyjęto?

Uchwalono ustawę antydyskryminacyjną. Jej przyjęcie wynikało z wymogów integracyjnych Gruzji z Unią Europejską. Było jednym z warunków harmonizacji prawa krajowego z prawem Wspólnoty.

Czyli wynikało bardziej z musu niż z chęci przeciwdziałania dyskryminacji?

Była to konieczność. Samo przyjęcie prawa nie rozwiązuje żadnego problemu. Widać to świetnie na przykładzie Gruzji. Jeśli uchwaleniu ustawy nie towarzyszy żadna kampania społeczna, działania edukacyjne czy wsparcie dla grup marginalizowanych ze strony rządu i jasny komunikat, że będzie ona egzekwowana, to jej zapisy mogą pozostać tylko na papierze i w żaden sposób nie wpłyną na poprawę sytuacji.

Czyli to prawo jest *de facto* martwe?

Trudno to jednoznacznie stwierdzić. W Gruzji toczą się procesy sądowe oparte na prawie antydyskryminacyjnym. Istnienie takich zapisów daje zawsze osobom marginalizowanym czy obrońcom praw człowieka punkt zaczepienia. Po pierwsze, pozwala zacząć mówić o problemie, a po drugie, dochodzić swoich praw. Jeśli nie mamy takiego ustawodawstwa, to jesteśmy bezbronni.

Czy odnotowywane są przypadki pobić bądź morderstw osób LGBT na Kaukazie Południowym?

Tak, i są one liczne. W ubiegłym roku w Baku została zaatakowana transpłciowa kobieta, lecz udało jej się uciec. Inna została zamordowana na ulicy. W Armenii w 2020 roku było ponad dwadzieścia przypadków ataków fizycznych oraz wykorzystania seksualnego osób LGBT. Najtragiczniejszą część stanowiły przypadki, kiedy sprawcą był członek rodziny. Były to przypadki dźgnięcia nożem czy pobicia. Jednak mieliśmy również do czynienia z przemocą ekonomiczną po dokonaniu coming outu przez osobę nieheteronormatywną. Często ujawnienie kończy się dla takich osób bezdomnością. W Gruzji doszło do niewpuszczenia do lokalu dwóch transpłciowych kobiet.

Jak reagują organy ścigania na tego typu zdarzenia? Czy osoby LGBT zgłaszają na policję przypadki napaści?

Rzadko kiedy pobiciami i napaściami na osoby LGBT zajmuje się prokurator. Większość spraw jest zamiatana pod dywan. Statystyki są szczątkowe. W wielu przypadkach wynika to z tego, że osoby LGBT nie zgłaszają przemocy, której są ofiarami. W Azerbejdżanie policja sama dokonuje napaści na osoby transpłciowe. W sprawie gróźb wobec dwóch całujących się chłopaków, o których wcześniej wspomniałam, nie podjęto żadnych kroków. Organy ścigania pozostały bezczynne. Podobnie było w Armenii. Jeśli miałabym określić jednym słowem postawę instytucji państwowych w spra-

eprasa.pl 341d6b84b9

wie przemocy wobec osób LGBT, to byłaby to „inercja". W krajach tych większą „zbrodnią" w oczach społeczeństw jest bycie osobą LGBT niż stosowanie wobec niej przemocy. Mamy do czynienia z bezkarnością sprawców przestępstw wobec przedstawicieli mniejszości seksualnych.

Jak wyglądała sytuacja osób LGBT w kontekście ubiegłorocznego konfliktu wokół Górskiego Karabachu? Czy osoby nieheteronormatywne były wcielane do armii Armenii i Azerbejdżanu?

W Armenii osoby LGBT były powoływane do wojska i wysyłane na front. Wiem to na podstawie poufnych informacji. Jednak politycy wobec osób LGBT pozwalali sobie na niewybredne komentarze. Jedna z armeńskich polityczek powiedziała, że zaangażowanie osób LGBT w działania wojenne ma sens ze względu na zainteresowanie nimi i przestrzeganiem ich prawa społeczności międzynarodowej. W jej ocenie ten czynnik mógłby spowodować zwrócenie uwagi świata na konflikt w Karabachu. Takie instrumentalne podejście do sprawy jest dramatyczne. Osoby LGBT byłyby potraktowane niemal jak żywa tarcza czy mięso armatnie, które można poświęcić, żeby świat zobaczył wojnę na Kaukazie. W Azerbejdżanie była odwrotna sytuacja. Jedną z ofiar był aktywista LGBT. Kiedy ten fakt wyszedł na jaw, to jeden polityk stwierdził, że hańbą jest, aby taka osoba broniła kraju. Uznał, że jest to dyshonor dla Azerbejdżanu.

Jak prezentuje się sytuacja osób LGBT na Kaukazie Południowym w porównaniu z ich statusem na terenie innych republik poradzieckich?

Generalnie sytuacja ta jest równie trudna, jak na Kaukazie Południowym, ale są pewne różnice, oczywiście w zależności, o którym kraju mówimy. W Rosji obowiązuje prawo przeciwko propagandzie LGBT. W ubiegłym roku zostały odnotowane napaści na osoby LGBT. Również w ubiegłym roku prezydent Władimir Putin przeforsował zmianę konstytucji, w której zapisano, że małżeństwem jest wyłącznie związek kobiety i mężczyzny. Prezydent dodał, że dopóki będzie sprawował władzę, nie zostaną zalegalizowane związki jednopłciowe. Także w ubiegłym roku miała miejsce próba zorganizowania marszu równości w Jekaterynburgu. Doszło do napaści na jego uczestników. Kwestia osób LGBT w Rosji jest również traktowana instrumentalnie. Jeżeli sytuacja polityczno-społeczna jest stabilna, to kwestią mniejszości seksualnych się nie gra, nie pogarsza się ich sytuacji. Równolegle z pogromem w Tbilisi w Rosji wybuchł skandal związany z osobami LGBT. Sprawa ta w polskich mediach była praktycznie niezauważona. Jedna z sieci supermarketów (z górnej półki) opublikowała reklamę, w której pokazała swoich klientów, w tym parę lesbijek. Przesłanie było następujące – jesteśmy otwarci i progresywni, wszyscy do nas przychodzą na zakupy. Ta reklama nie zrobiła wielkiej kariery. Spotkała się z bardzo szybką nieformalną reakcją

eprasa.pl 341d6b84b9

władz. Została zdjęta. Sieć przeprosiła i zwolniła menagera odpowiedzialnego za całą kampanię.

Jeśli chodzi o kraje Azji Centralnej, to najwięcej projektów realizuję w Tadżykistanie. Tam również mamy do czynienia z zamkniętym, religijnym i homofobicznym społeczeństwem. Działają organizacje LGBT, jednak ich aktywność jest ograniczona. Osoby LGBT nie mogą jawnie żyć i otwarcie mówić o swojej sytuacji. Kilka lat temu główny psychiatra Tadżykistanu stwierdził w wywiadzie, że gejów można i należy leczyć. Świadczy to o poziomie niezrozumienia, czym jest nieheteronormatywność. W Uzbekistanie sytuacja osób LGBT jest tragiczna. Kontakty homoseksualne są nadal zagrożone karą więzienia. W ubiegłym roku przygotowaliśmy opinię w sprawie geja z Uzbekistanu, któremu groziła ekstradycja z Rosji do ojczyzny. Sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Przekonywaliśmy, że nie można wysłać tego człowieka do Uzbekistanu, ponieważ grożą mu tam tortury.

Wracając do Rosji: w całym kraju sytuacja osób LGBT jest trudna, jednak ekstremalnie zła jest w autonomicznej republice Czeczenii. Kilka lat temu docierały do nas informacje o masowych prześladowaniach osób LGBT ze strony władz, o morderstwach, zamykaniu ich w czymś na kształt obozów koncentracyjnych. Do dzisiaj nie wiadomo, ile było ofiar i ile spośród nich zginęło z rąk funkcjonariuszy, a ile zostało zamordowanych bądź zmuszonych do samobójstwa przez członków własnych rodzin. Bycie osobą LGBT traktowane jest w Czeczenii jako zhańbienie rodziny. Ta sytuacja jawi się niczym piekło. Nikt nie został i najpewniej nie zostanie za to rozliczony. Przypadki bezkarności zdarzały się także w Inguszetii i Dagestanie. Na tym tle sytuacja osób LGBT w Gruzji wydaje się relatywnie nie najgorsza.

Dr Aleksandra Iwanowska jest ekspertką i trenerką z zakresu praw człowieka, pracuje w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, gdzie zajmuje się krajami Europy Wschodniej, Kaukazu i Azji Centralnej.

eprasa.pl 341d6b84b9

Krucjata przeciw tamie

Wojciech Wojtasiewicz

Rząd mówi o bezpieczeństwie energetycznym kraju, ekolodzy o zagrożeniu sejsmicznym i środowiskowym, mieszkańcy o odebraniu ziemi przodków. Czym zakończy się spór wokół budowy jednej z największych hydroelektrowni w Gruzji?

Gruzja w niemal 80 procentach pozyskuje energię elektryczną z hydroelektrowni, jednak ich budowa wywołuje społeczny sprzeciw. Nie inaczej jest tym razem: chodzi o powstającą hydroelektrownię Namachwani o mocy 433 megawatów (MW). Przeciwnicy jej powstania wskazują na problemy środowiskowe, jak również na niekorzystny w ich ocenie kontrakt podpisany przez gruziński rząd z tureckim inwestorem. Natomiast gruzińskie władze podkreślają, że inwestycja wzmocni bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Obietnica

Pierwsze hydroelektrownie w Gruzji zaczęto budować za czasów sowieckich, w tym największą na rzece Enguri w zachodniej części kraju (1300 MW mocy). Do użytku oddano ją w 1987 roku. Obecnie na terenie Gruzji znajduje się około stu hydroelektrowni, w tym wiele małych, działających sezonowo – kiedy poziom rzek jest wysoki. Ponowny boom na tego typu inwestycje zaczął się wraz z dojściem do władzy Micheila Saakaszwilego. Jego celem było uniezależnienie Gruzji od dostaw energii elektrycznej z Rosji i wzmocnienie bezpieczeństwa energetycznego kraju. Wiele hydroelektrowni sprywatyzowano, a następnie zmodernizowano. Głównym inwestorem była czeska firma Pro Energa. Powstało również kilkanaście nowych obiektów, między innymi: Dariali (108 MW mocy), Parawani (87 MW mocy), Chelwaczauri (48 MW mocy) i Szuachewi (178 MW mocy). Realizację niektórych projektów wstrzymano z powodu sprzeciwu miejscowej ludności. Największe protesty wybuchły w Swanetii w północno-zachodniej Gruzji – dotyczyły hydroelektrowni Chudoni (700 MW mocy) i Nenskra (280 MW mocy).

Plan budowy hydroelektrowni Namachwani pojawił się jeszcze za czasów sowieckich. Do koncepcji tej wrócono w 2009 roku. Hydroelektrownia miała powstać w Imeretii w środkowo-zachodniej Gruzji, zaledwie 25 kilometrów od drugiego naj-

eprasa.pl 341d6b84b9

większego gruzińskiego miasta, Kutaisi. Inwestycję (rozpisaną na sześć lat i opiewającą na miliard dolarów) miało zrealizować konsorcjum koreańsko-tureckie. Projekt wywołał protest miejscowej ludności. Do jego realizacji nie doszło. Inwestor się wycofał.

Jednym z powodów odebrania przez Gruzińskie Marzenie władzy Zjednoczonemu Ruchowi Narodowemu w 2012 roku była obietnica zaprzestania forsowania ogromnych projektów hydroenergetycznych. Dlatego przez kilka lat ze wspomnianym projektem nic się nie działo.

W Gruzji jest około stu hydroelektrowni, w tym wiele działających sezonowo – przy wysokim poziomie rzek. Boom na tego typu inwestycje zaczął się z dojściem do władzy Saakaszwilego.

– W 2015 roku ogłosiliśmy nowy przetarg, w którym złożyło oferty dwadzieścia sześć podmiotów. W 2016 roku przetarg został sfinalizowany. Rok później zdecydowaliśmy, że projekt zrealizuje Clean Energy Group, konsorcjum norwesko-tureckie, które przedstawiło najlepszą ofertę – mówi Giorgi Czikowani, szef Gruzińskiego Funduszu Rozwoju Energetycznego.

Negocjacje z inwestorem trwały dwa lata. W kwietniu 2019 roku zostało podpisane ostateczne porozumienie z konsorcjum wspomnianej firmy Clean Energy Group i tureckiego podmiotu Enka (odpowiednio 10 procent i 90 procent udziałów).

– Ten sam podmiot, który miał zbudować Namachwani, skonstruował podobną hydroelektrownię w Adżarii, mowa o Szuachewi o mocy 178 MW, którą w lipcu 2017 roku oddano do użytku. Dwa miesiące później zawaliły się tunele elektrowni wodnej. Naprawa trwała niemal trzy lata. Była to największa awaria w historii gruzińskiego sektora hydroenergetyki – mówi Dato Czipaszwili z Green Alternative, gruzińskiej organizacji pozarządowej zajmującej się ochroną środowiska.

Gdzie ten prąd ucieka?

– Gruzińska polityka energetyczna oparta jest na pięciu głównych filarach. Pierwszy to dywersyfikacja źródeł energetycznych, drugi – wykorzystanie miejscowych odnawialnych źródeł energii, trzeci – harmonizacja gruzińskiego prawa energetycznego z prawem Unii Europejskiej, czwarty – regionalna współpraca energetyczna, piąty – ochrona konsumentów. Cele polityki energetycznej Gruzji są aktualizowane co pięć lat – tłumaczy Giorgi Czikowani, w przeszłości wiceminister gospodarki i wiceminister energii w rządach Gruzińskiego Marzenia.

Czikowani dodaje, że dotychczas Gruzji udało się przystąpić do Wspólnoty Energetycznej Unii Europejskiej oraz zacząć rozwijać konkurencyjny rynek energetyczny. Podkreśla, że gruzińskie władze przywiązują dużą wagę do przyciągania inwesto-

eprasa.pl 341d6b84b9

rów zewnętrznych, którzy mają realizować projekty w sektorze energetyki wodnej, solarnej, wiatrowej oraz inwestować w biomasę.

Mniej entuzjastycznie do działań gruzińskiego rządu w zakresie energetyki podchodzi Dato Czipaszwili.

– Niestety, gruzińskie władze nie mają strategii energetycznej. Około 70–80 procent energii elektrycznej generuje się w hydroelektrowniach. Stanowi to wyzwanie dla naszego kraju, ponieważ produkcja ta ma charakter sezonowy. Najwięcej prądu wytwarzane jest w okresie wiosenno-letnim. W zimie rzeki utrzymują się na niskim poziomie – tłumaczy Czipaszwili.

W jego ocenie, aby uniezależnić się od importu energii w okresach zimowych, rząd powinien rozwijać również inne odnawialne jej źródła, takie jak energia solarna czy wiatrowa. W Gruzji istnieje tylko jedna farma wiatrowa o mocy 25 MW wybudowana w 2016 roku. Brakuje również koncepcji bezpieczeństwa energetycznego kraju. To przedmiot troski i niepokoju nie tylko społeczeństwa czy organizacji pozarządowych, lecz również Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który w raportach zwracał uwagę na obciążenia fiskalne projektów hydroenergetycznych dla gruzińskiego budżetu.

– Rząd i osobiście minister gospodarki lansują tylko rozwój hydroenergetyki. W przypadku hydroelektrowni Namachwani ten lobbing jest jeszcze agresywniejszy. Nie ma różnic, jeśli chodzi o politykę energetyczną w okresie rządów ZRN i Gruzińskiego Marzenia. Nawet ci sami urzędnicy odpowiadają za jej realizację na poziomie wiceministrów czy dyrektorów departamentów w ministerstwie – podkreśla Czipaszwili.

Od 2017 roku Gruzja jest członkiem Wspólnoty Energetycznej Unii Europejskiej. W związku z tym przyjęła na siebie wiele zobowiązań. Jest to szansa, aby zreformować sektor energetyczny.

– Gruziński rząd robi wszystko, aby nie realizować przyjętych zobowiązań. Dobitnym przykładem jest ustawa o efektywności energetycznej, przyjęta dopiero pod koniec 2019 roku. Ma skutkować między innymi zmniejszeniem uzależnienia od zewnętrznych dostawców gazu ziemnego. Przyjęto plan działania na rzecz efektywności energetycznej, jednak nie ma on żadnych konkretnych celów i ram czasowych – opowiada Czipaszwili. Innym problemem, na który wskazuje ekspert z Green Alternative, jest konsumpcja energii elektrycznej. Rząd nie sporządził żadnej analizy mówiącej, dlaczego zapotrzebowanie na energię elektryczną w Gruzji wzrasta. Podejrzewano, że powodem jest „wydobywanie" kryptowalut (proces, w którym zaawansowane maszyny rozwiązują skomplikowane problemy matematyczne) i coraz większa konsumpcja energii elektrycznej przez separatystyczną Abchazję, która stała się energetyczną czarną dziurą. Energia dla Abchazji pochodzi z hydro-

eprasa.pl 341d6b84b9

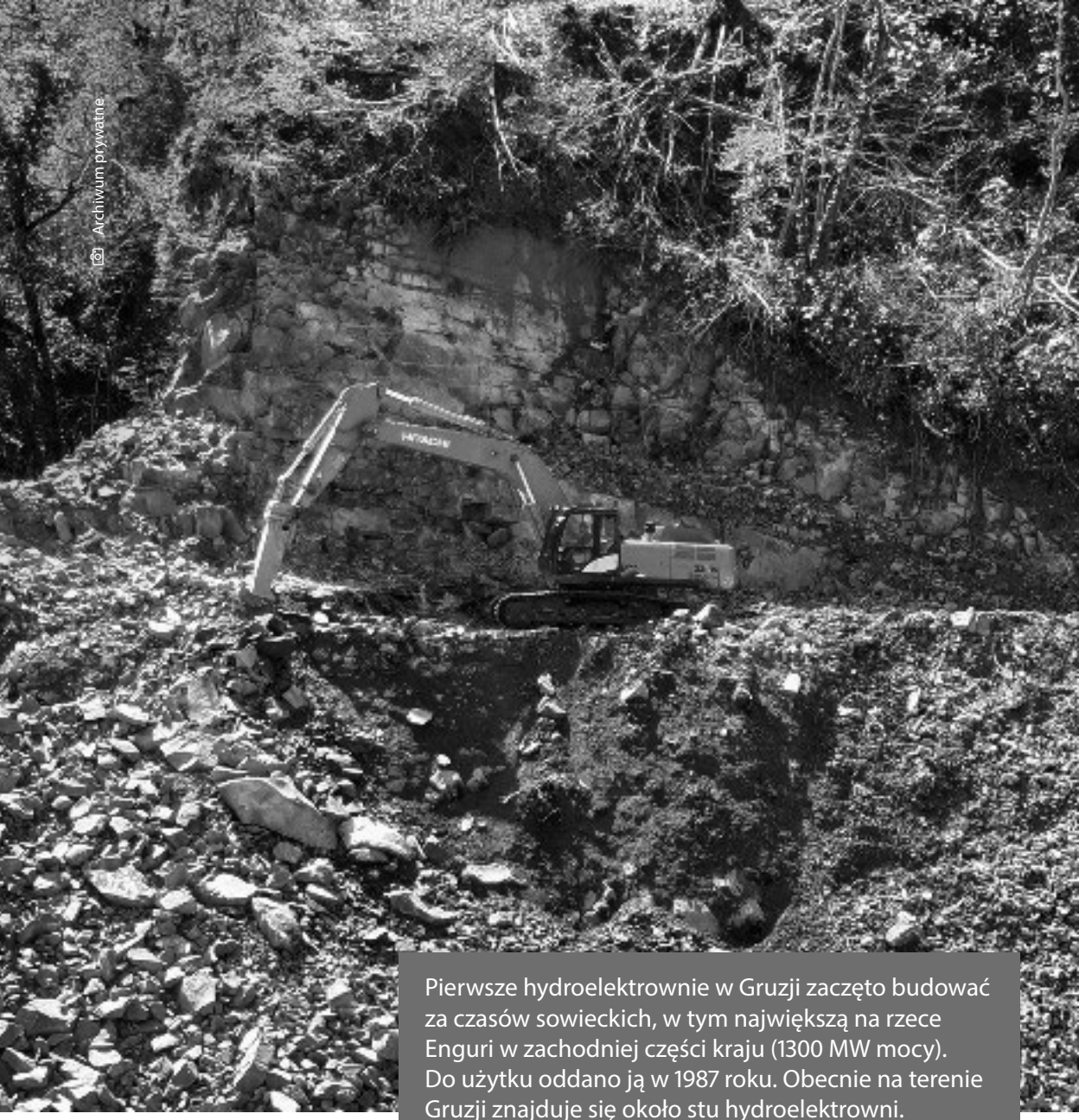

Archiwum prywatne

Pierwsze hydroelektrownie w Gruzji zaczęto budować za czasów sowieckich, w tym największą na rzece Enguri w zachodniej części kraju (1300 MW mocy). Do użytku oddano ją w 1987 roku. Obecnie na terenie Gruzji znajduje się około stu hydroelektrowni.

elektrowni Enguri. Po wojnie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku jej część znalazła się po stronie „Gruzji właściwej", część po stronie separatystycznej. Zawarto nieformalne porozumienie pomiędzy Tbilisi a Suchumi: 40 procent energii dla Abchazji, 60 procent dla Gruzji. Jednak wszystkie wydatki związane z produkcją prądu pokrywa strona gruzińska.

– Abchazja ma większe zapotrzebowanie na energię elektryczną niż Tbilisi, jednak zamieszkuje ją około 150 tysięcy ludzi, a stolicę Gruzji ponad milion. Nawet z me-

eprasa.pl 341d6b84b9

diów rosyjskich wiadomo, że w Suchumi nie ma prądu przez całą dobę. Powstaje pytanie: gdzie trafia ta energia elektryczna? – zastanawia się Czipaszwili.

Giorgi Czikoidze podkreśla, że projekt Namachwani wpisuje się w politykę balansu w zakresie współpracy energetycznej ze wszystkimi sąsiadami Gruzji.

– Musimy utrzymywać równowagę pomiędzy Rosją, Turcją, Azerbejdżanem i Iranem. W początkowym okresie rządów Saakaszwilego Gruzja była w pełni uzależniona od dostaw energii elektrycznej z Rosji. Z kolejnymi latami udało się dywersyfikować źródła. Im więcej będziemy mieć inwestycji z różnych krajów, w tym z USA i Europy, tym lepiej. Nie możemy polegać tylko na jednym kraju czy podmiocie. Wtedy można w łatwy sposób stać się obiektem szantażu, a to miało miejsce w przeszłości. Lepszą opcją jest pozwolenie zagranicznym podmiotom na budowanie infrastruktury energetycznej na naszym terytorium niż bezpośrednie sprowadzanie energii od nich – zauważa szef Gruzińskiego Funduszu Rozwoju Energetycznego.

Obrona fizyczna

W proteście przeciwko budowie hydroelektrowni Namachwani bierze udział lokalna społeczność.

– Stosujemy wszelkie metody. To, co nam zostało, to fizyczna obrona doliny rzeki Rioni i powstrzymanie budowy hydroelektrowni. Jednak w sposób pokojowy – mówi Kacha Asatiani, młody chłopak, jeden z liderów sprzeciwu. Kacha jest absolwentem teologii, kontynuuje naukę, dorabia jako prywatny nauczyciel gruzińskiego.

Razem ze swoją matką Maką Suladze, która często podczas protestów trzyma drewniany krzyż, Warlamem Goletianim (niespełna trzydziestoletnim mężczyzną), Maritą Museliani i Mirzą Nozadze stali się symbolami trwającego od listopada ubiegłego roku protestu. Suladze prowadzi motel w dolinie rzeki Rioni oraz sprzedaje herbatę ziołową. Goletiani, podobnie jak Asatiani z wykształcenia teolog, pracuje jako nauczyciel historii gruzińskich tradycyjnych pieśni. Museliani, z wykształcenia orientalistka, jest matką Warlama. W przeszłości pracowała na uniwersytecie. Obecnie uprawia ziemię we wsi Twiszi. Natomiast Nozadze jest przyjacielem Warlama i biznesmenem. Jesienią ubiegłego roku we wsi Namachwani rozbili namiot, w którym wraz z innymi członkami lokalnej wspólnoty nocowali. Władze zdecydowały się użyć do ich usunięcia policji. Jednak nieskutecznie. Z czasem powstało coś na kształt miasteczka namiotowego, a do protestu dołączało coraz więcej osób.

Gruziński rząd zwraca uwagę, że zapotrzebowanie na energię elektryczną wzrasta z roku na rok. Należy zastąpić importowaną energię wytwarzaną na miejscu.

eprasa.pl 341d6b84b9

– W naszej ocenie ten projekt jest niszczycielski. Niestety rząd Gruzji nie konsultował z nami w żaden sposób budowy hydroelektrowni, nie pytał o nasze zdanie – podkreśla Asatiani.

Mieszkaniec doliny rzeki Rioni podkreśla, że zgodnie z zapisami kontraktu turecki inwestor będzie mógł dokonać konfiskacji ziem i domostw miejscowej ludności oraz w sposób nieograniczony korzystać z zasobów naturalnych potrzebnych do budowy i użytkowania hydroelektrowni.

– Przez długi czas wspomniany kontrakt był tajny. Nie znaliśmy jego szczegółowych zapisów. Ponad sześćset hektarów przekazano w dzierżawę tureckiemu inwestorowi na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Stało się to jeszcze, zanim Ministerstwo Gospodarki udzieliło firmie Enka oficjalnego zezwolenia na budowę hydroelektrowni – bulwersuje się Asatiani.

Akcja protestacyjna po kilku miesiącach zataczała coraz szersze kręgi. Liderzy zorganizowali trzy masowe demonstracje w Kutaisi.

– W Namachwani czy w innych pobliskich wioskach nie byłoby odpowiednio dużo miejsca, żeby w proteście uczestniczyli wszyscy chętni. Do Kutaisi przyjechali również ludzie z innych regionów przeciwni nierozsądnej polityce rządu. Kiedy w końcu ujawniono kontrakt, każdy mógł zobaczyć, jak bardzo jest niekorzystny. Dlatego nasze protesty były tak liczne [do 20 tysięcy osób – przyp. red.]. Hydroelektrownia zagraża nie tylko naszym wioskom, lecz również drugiemu największemu miastu Gruzji. W przypadku uszkodzenia tamy Kutaisi zostałoby zalane w zaledwie dziewiętnaście minut – podkreśla Asatiani.

W połowie marca na polecenie premiera Irakliego Garibaszwilego do protestujących udali się minister gospodarki Natia Turnawa oraz minister rolnictwa i ochrony środowiska Lewan Dawitaszwili. Mieli porozmawiać z lokalną społecznością i rozwiać jej wszelkie wątpliwości dotyczące projektu. Przedstawiciele rządu udali się do miejscowości Cageri, gdzie miała odbyć się debata z ekspertami. Minister Turnawa opuściła spotkanie po pięciu minutach.

– Odebraliśmy to jako zniewagę. To nie jest dialog, tylko działania propagandowe. Nie ufamy władzom – oburza się Asatiani.

Inaczej na sprawę zapatruje się szef Gruzińskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego.

– Informacja o opuszczeniu spotkania przez panią minister po pięciu minutach jest manipulacją. W lutym miała miejsce debata w parlamencie z udziałem protestujących i wspomnianą minister. Trwała sześć godzin. Ponadto minister widziała się z protestującymi wcześniej i rozmawiała z nimi cztery godziny. Na spotkanie, które opuściła, przybyło około trzydziestu specjalistów: sejsmologów, geologów, ekspertów w dziedzinie ochrony środowiska. To oni mieli udzielić szczegółowych odpowiedzi, a nie minister – stwierdza Giorgi Czikowani.

eprasa.pl 341d6b84b9

Archiwum prywatne

Gruzja w niemal 80 procentach pozyskuje energię elektryczną z hydroelektrowni, jednak ich budowa wywołuje społeczny sprzeciw.

Z początkiem kwietnia drogę dojazdową do Namachwani i doliny rzeki Rioni zablokowała policja. Do protestujących nie mogło dotrzeć wsparcie i dziennikarze. Miejscowi mieli problem z dostaniem się do własnych domostw. Musieli nadkładać kilkadziesiąt kilometrów drogi. Koniec końców, miasteczko protestujących zlikwidowały siły porządkowe pod pretekstem zagrożenia powodziowego. Demonstranci przenieśli się na przedmieścia Kutaisi, do wsi Gumati.

– Rząd i inwestor twierdzą, że prace budowlane wstrzymano. Jednak prowadzi się prace przygotowawcze. Do połowy kwietnia udawało się nam je blokować. Zamierzamy kontynuować nasz pokojowy protest do skutku, czyli do momentu, kiedy turecki inwestor wycofa się z doliny Rioni, a rząd unieważni kontrakt i pozwolenie na budowę – mówi Asatiani.

Protestujących wspierają liczne organizacje pozarządowe, w tym między innymi Gruzińskie Stowarzyszenie Młodych Prawników i Centrum Sprawiedliwości Społecznej. Twierdzą, że rząd nieustannie próbuje ich zdyskredytować.

Pytania i odpowiedzi

Zarówno protestujący, jak i eksperci zwracają uwagę na niekorzystne postanowienia kontraktu podpisanego przez gruziński rząd z turecką Enką.

– Kontrakt realizuje jedynie wąskie interesy zagranicznego inwestora. Tracimy ziemię na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a energię elektryczną zyskujemy jedynie na

eprasa.pl 341d6b84b9

piętnaście. Po upływie tego okresu inwestor może ją sprzedawać komu chce i dowolnie podnosić ceny. To w żaden sposób nie przyczynia się do wzmocnienia naszej niezależności energetycznej. Ponadto rząd koncentruje się tylko na hydroenergetyce, zaniedbując rozwijanie innych źródeł energii: solarnych, wiatrowych, biomasy. Władza musi znaleźć inny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego kraju, na przykład w pierwszej kolejności zmodernizować istniejące hydroelektrownie, aby zwiększyć ich moc wytwórczą – podkreśla Asatiani.

Jeszcze bardziej krytycznie wspomniany dokument ocenia ekspert Green Alternative.

– Proces wyboru inwestora był niejawny. Ponadto przez prawie dwa lata gruziński rząd nie chciał ujawnić zapisów kontraktu. Bo co było ujawniać? Wszystkie ryzyka Enki w trakcie budowy i eksploatacji hydroelektrowni oraz ich koszty spoczywają na barkach rządu Gruzji – podkreśla Czipaszwili.

Ponadto firma otrzymuje gwarancje zakupu wytwarzanego prądu przez stronę gruzińską przez piętnaście lat, po korzystnej cenie: 6,2 centa za jeden kWh prądu. Obecnie średnia cena to 4,9 centa, a cena importowanej energii to przeciętnie 3,9 centa. Co roku jej koszty będą wzrastać o 3 procent, aż do 9,3 centa. Firma będzie otrzymywała opłatę za pozostawanie w gotowości do świadczenia usług zapewniających bezpieczeństwo systemu energetycznego Gruzji.

– Gruzja, według kontraktu zobowiązała się sfinansować zwiększenie możliwości przesyłowych energii z nowej hydroelektrowni do Turcji. W tym celu wystąpi do Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju o pożyczkę – twierdzi Czipaszwili.

Natomiast Giorgi Czikowani zaprzecza istnieniu wspomnianego zapisu. Zwiększenie przepustowości linii transmisyjnych ma nastąpić bez względu na budowę hydroelektrowni Namachwani. Adnotacja znajduje się w dziesięcioletnim planie rozwoju systemu energetycznego Gruzji. Jest to deklaracja, a nie zobowiązanie. Została wpisana na prośbę Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

– Inwestor nie będzie płacił za używanie wody potrzebnej do produkcji energii elektrycznej. Ponadto rząd gwarantuje darmowy i nieograniczony dostęp do żwiru i wszelkich innych zasobów potrzebnych do budowy obiektu. Enka nie będzie musiała uzyskać żadnych licencji. W przypadku wydarzeń spowodowanych działaniem „siły wyższej" wszelkie odszkodowania spoczną na gruzińskich władzach – bulwersuje się Czipaszwili.

Zapisów kontraktu broni szef Gruzińskiego Funduszu Rozwoju Energetycznego, który uczestniczył w jego negocjowaniu.

– Kontrakt jest dokumentem wyważonym, uwzględniającym interesy inwestora i Gruzji. Organizacje pozarządowe nigdy nie negocjowały podobnego dokumentu, nie mają pojęcia, jak wypracowuje się korzystny kompromis. Ziemię pod budowę

eprasa.pl 341d6b84b9

hydroelektrowni wydzierżawiliśmy za symboliczną kwotę w zamian za inwestycję w wysokości 800 milionów dolarów. Zatem interesy Gruzji zostały w pełni zabezpieczone – podkreśla Giorgi Czikowani.

Odnosi się również do zarzutów dotyczących utajnienia kontraktu.

– Umowa podpisana pomiędzy rządem Gruzji a konsorcjum pozostawała przez dłuższy czas niejawna na życzenie inwestora. Chodziło o ochronę szczegółów technicznych przed konkurencją. Jednak koniec końców rząd wystąpił do Enki o zgodę na ujawnienie kontraktu – wyjaśnia Czikowani.

Czikowani podkreśla, że Gruzja nie chciała gwarancji sprzedaży energii elektrycznej wytwarzanej w hydroelektrowni Namachwani na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. W interesie Tbilisi miałoby być skrócenie tego okresu do piętnastu lat. Po tym czasie producent będzie mógł zdecydować, czy sprzedać energię Gruzji, jeśli będzie chciała ją kupić, czy eksportować ją do Turcji i krajów trzecich. Zaprzecza też, jakoby rząd wydał zgodę na budowę hydroelektrowni, zanim inwestor uzyskał akceptację środowiskową.

Trzęsienie ziemi

Zapisy kontraktu dotyczące natury ekonomicznej to niejedyne zastrzeżenia wnoszone przez protestujących i ekspertów. Zwracają uwagę na zagrożenia, jakie dla środowiska naturalnego niesie budowa tak potężnego obiektu, oraz ograniczenie źródeł zarobkowania dla miejscowej ludności.

– Pomysłodawcy i konstruktorzy hydroelektrowni nie przeprowadzili odpowiednich prac badawczych, chociażby pod kątem zagrożenia sejsmicznego. Największe trzęsienie ziemi, o sile siedmiu stopni w skali Richtera miało miejsce w tym rejonie w 1991 roku. Na obszarze „budowy" występują osuwiska, a inwestor w trakcie prac posługuje się ładunkami wybuchowymi. Ponadto hydroelektrownia zmieni bioróżnorodność regionu, jego mikroklimat, a lokalne dziedzictwo zaleje woda. Przecież w tym rejonie są: rezerwat przyrody i park narodowy – miejsce bytowania chronionego jesiotra morskiego. Ucierpią producenci wina. W naszym regionie hodowane są unikalne szczepy Twiszi i Chwanczkara. Ludzie stracą źródła zarobków w postaci produkcji wina czy przyjmowania turystów – podkreśla Kacha Asatiani.

Równie zaniepokojony skutkami powstania hydroelektrowni Namachwani jest Dato Czipaszwili.

– W celu stworzenia zbiorników wodnych zalany zostanie teren o powierzchni ponad 600 hektarów, w tym 300 hektarów lasów oraz wsie. Całość inwestycji będzie liczyć ponad 1000 hektarów powierzchni – tamy, drogi, stacje elektryczne, linie przesyłowe itd. To jest stan początkowy. Nie można wykluczyć, że w przyszło-

eprasa.pl 341d6b84b9

ści inwestycja będzie wymagała dodatkowych terenów. Ponadto należy mieć na względzie, że region jest absolutnie niestabilny geologicznie, ma charakter sejsmiczny, co w przypadku uszkodzenia tam zagrozi Kutaisi, oddalonemu od przyszłej hydroelektrowni o zaledwie 25 kilometrów – podkreśla ekspert organizacji Green Alternative.

Zagrożenia natury sejsmicznej i środowiskowej zdaje się bagatelizować przedstawiciel gruzińskich władz. Upatruje zgoła odmiennych przyczyn sprzeciwu lokalnej społeczności i działaczy ekologicznych.

– W Gruzji mamy około stu hydroelektrowni. Największa, mieszcząca się na rzece Enguri, jest trzy razy wyższa od planowanej Namachwani. Pozostałe są średniej wielkości. Niestety od wielu dekad istnieje silne przekonanie, że hydroenergetyka ma negatywny wpływ na środowisko, co nie ma żadnego uzasadnienia. Od kiedy zaczęły powstawać hydroelektrownie, nie doszło do żadnej awarii, nikt nie stracił życia. Protest przeciwko budowie Namachwani jest wzmacniany w ramach dezinformacji prowadzonej przez Rosję i Chiny. Obecnie na rzece Rioni działa pięć hydroelektrowni. Pomimo że zostały zbudowane na terenach sejsmicznych, na których od czasu do czasu występują wstrząsy, nie uległy zniszczeniu. Tama grawitacyjna, a taka ma powstać w Namachwani, to jedna z najbardziej niezawodnych konstrukcji. Dlatego ewentualne zagrożenie w postaci fali powodziowej jest bezprzedmiotowe – podkreśla szef Gruzińskiego Funduszu Rozwoju Energetyki.

Firma, która miała zbudować Namachwani, jest wykonawcą podobnej hydroelektrowni w Adżarii. Tunele elektrowni wodnej się zawaliły. To była największa awaria w historii gruzińskiego sektora hydroenergetyki.

Zapewnia, że odpowiednie badania wykonało międzynarodowe konsorcjum, przyjrzało się wszystkim ewentualnym ryzykom.

– „Ekolodzy" uważają, że Gruzja nie powinna pozyskiwać energii z hydroelektrowni, tylko ją importować. A ta jest wytwarzana przez Rosję i Azerbejdżan przy użyciu węgla i gazu naturalnego, czyli w sposób szkodzący środowisku. A przecież wyzwaniem numer jeden dla całego globu jest redukcja emisji gazów cieplarnianych do atmosfery – zauważa Giorgi Czikowani.

Bez ziemi i pracy

Niekorzystne zapisy kontraktu, problemy środowiskowe, utrudnienia związane z uprawą winorośli i rozwojem miejscowej turystyki to nie wszystkie problemy do-

eprasa.pl 341d6b84b9

tyczące budowy hydroelektrowni Namachwani. Wiele rodzin już musiało odsprzedać ziemię rolną i znaleźć sobie inne miejsce do życia.

– Inwestor proponował rodzinom zamieszkującym dolinę rzeki Rioni pieniądze w formie rekompensaty za opuszczenie domostw i oddanie ziem rolnych. Moja rodzina odmówiła. Wielu ludzi zdecydowało się na zmianę miejsca zamieszkania, jednak nie byli z tego powodu szczęśliwi. Większość z nich podejmowała decyzję bez znajomości zapisów wspomnianego kontraktu. Władze wywierały na nich naciski, strasząc pozwami sądowymi dotyczącymi przymusowego wywłaszczenia. Mieszkańcy podpisali odpowiednie dokumenty, dostali pieniądze i sami musieli znaleźć sobie nowe domy. Na szczęście wysokość odszkodowań była wystarczająca na zakup nowych mieszkań – mówi Kacha Asatiani.

Podobnie sprawę przedstawia Dato Chipaszwili. Zwraca uwagę na naciski władzy i służb porządkowych wywierane na lokalną społeczność.

– Wielu ludzi z doliny Rioni otrzymało odszkodowania za opuszczenie domostw i oddanie ziemi. Jednak nieoficjalnie mówią, że nie mieli wyboru. Przychodziła do nich policja, przedstawiciele władz lokalnych i centralnych. Namawiali do przesiedlenia. Poddawano ich regularnej presji. Przekonywali, że lepiej wziąć pieniądze, inaczej zostanie zastosowane przymusowe wysiedlenie na mocy decyzji sądowej, a odszkodowanie będzie mniejsze – zaznacza ekspert Green Alternative.

Ekspert twierdzi także, że według kontraktu rząd zobowiązał się rozwiązać wszelkie problemy natury własnościowej. Enka poinformowała, że około dwustu rodzin zdecydowało się już wziąć odszkodowania.

– Jednak mowa tylko o dolnej tamie, która wymaga zalania kilku wsi. Jest jeszcze górna, która będzie oddziaływała na inne wsie, niewymagające zalania. A to są właśnie wsie, w których produkuje się wino. Ich mieszkańcy nie dostaną żadnych odszkodowań – podkreśla Czipaszwili.

Na twierdzenia o przesiedleniach oburza się Giorgi Czikowani.

– Mówienie o przesiedleniach jest kłamstwem. Nawet jedna rodzina nie została przesiedlona. Inwestor odkupywał od miejscowej ludności tylko ziemię uprawną. Dwieście pięćdziesiąt rodzin otrzymało odszkodowania w łącznej wysokości 30 milionów lari. Osoby, które dostały pieniądze, mają zasoby na uruchomienie własnej działalności gospodarczej. Stawki były znacznie wyższe niż rynkowa wartość ziemi – zaznacza szef Gruzińskiej Fundacji Rozwoju Energetycznego.

Oprócz utraty ziemi i braku możliwości czerpania zysków z uprawy rolnej miejscową ludność może dotknąć jeszcze inny problem.

– W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z dynamicznym rozwojem branży turystycznej. Ludność, szczególnie wiejska, zdała sobie sprawę, jak wielki potencjał drzemie w małych społecznościach. W związku z tym mieszkańcy doliny rzeki

eprasa.pl 341d6b84b9

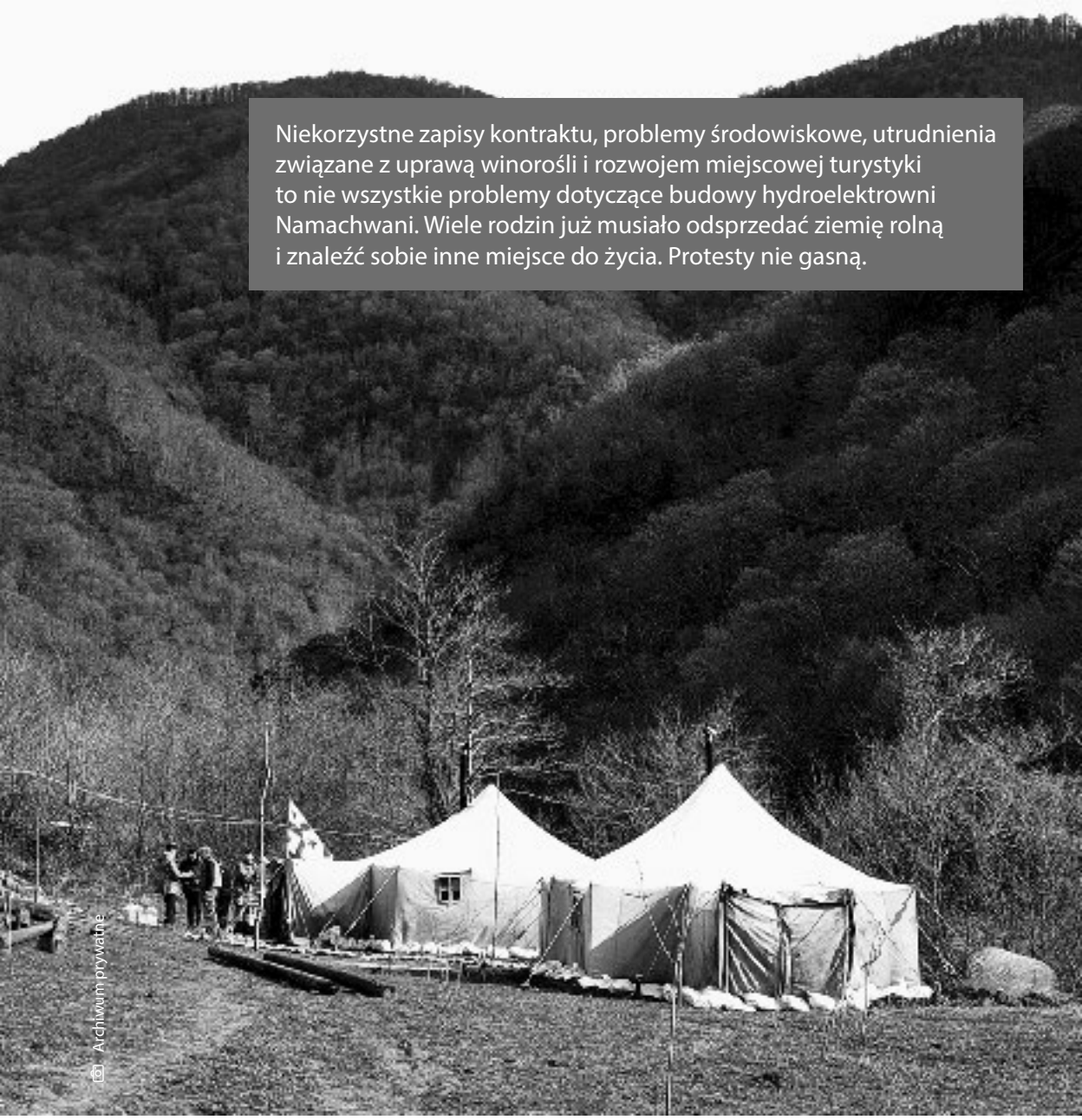

Niekorzystne zapisy kontraktu, problemy środowiskowe, utrudnienia związane z uprawą winorośli i rozwojem miejscowej turystyki to nie wszystkie problemy dotyczące budowy hydroelektrowni Namachwani. Wiele rodzin już musiało odsprzedać ziemię rolną i znaleźć sobie inne miejsce do życia. Protesty nie gasną.

Archiwum prywatne

Rioni nie chcą stracić tego, co zbudowali i osiągnęli. Gruzja nie ma wielu ziem rolnych. Jej odbieranie jest źle widziane przez miejscową ludność. To powoduje opór lokalnej społeczności i nie chodzi tu o mityczne przywiązanie Gruzinów do ziemi przodków – podkreśla Czipaszwili.

Remedium na te kłopoty ma być stworzenie nowych miejsc pracy, które obiecuje zarówno inwestor, jak i gruziński rząd. Zatrudnionych ma zostać dwa tysiące osób, z czego tysiąc sześćset Gruzinów.

eprasa.pl 341d6b84b9

– Czterystu wysoko wykwalifikowanych inżynierów najpewniej będzie pochodziło z zagranicy. Jeśli znajdą się osoby o podobnych kompetencjach w Gruzji, to zostaną zatrudnione. Inwestor zobowiązał się także do wyszkolenia potrzebnych kadr, które w przyszłości będą mogły zastąpić przyjezdnych. Dzisiaj ich nie mamy – twierdzi Czikowani.

Ponadto ma zostać ustanowiony fundusz rozwoju lokalnego w wysokości pięciu milionów lari. Ludności będą przyznawane granty na rozwój małego lokalnego biznesu. Planuje się stworzenie lokalnych centrów odbioru owoców i warzyw.

– Ludzie sceptycznie podchodzą do zapewnień, że budowa i użytkowanie hydroelektrowni wiązać się będzie z powstaniem nowych miejsc pracy. Jeśli nawet tak się stanie, to będą to proste i słabo opłacane stanowiska, na przykład kierowcy, stróże. W kontrakcie zapisane jest, że turecki inwestor nie będzie musiał zatrudnić nikogo z miejscowych. Podobnie było przy innych tego typu inwestycjach. Inwestorzy nie stworzyli żadnych centrów szkoleniowych dla miejscowej ludności, by podnieść jej kwalifikacje i umożliwić jej podjęcie zatrudnienia – stwierdza Czipaszwili.

Wysocy urzędnicy państwowi bronią projektu, który jest niekorzystny dla kraju. Brakuje transparentności, konkurencji, szerokich konsultacji społecznych, a to stoi w sprzeczności z normami Wspólnoty Energetycznej Unii Europejskiej.

Ekspert Green Alternative równie sceptycznie odnosi się do zapowiedzi powołania funduszu rozwoju lokalnego.

– Uznano to za próbę przekupienia miejscowej ludności. Ludziom, którzy od miesięcy protestują w namiotach, nie chodzi tylko o pieniądze. Wielu młodych zaczęło wracać do swoich rodzinnych wsi i zajmować się produkcją wina oraz turystyką. Teraz to wszystko jest zagrożone – mówi Czipaszwili.

Turkofobia – nie, dialog – tak!

Większość gruzińskiego społeczeństwa sympatyzuje z protestującymi. Jednak przedstawiciele rządu, jak również ambasador Turcji w Gruzji Fatma Ceren Yazgan próbują mniej lub bardziej wprost przypiąć protestującym łatkę ksenofobów.

– Niechęć do projektu może być poniekąd tłumaczona pewnymi uprzedzeniami natury ksenofobicznej części protestujących. Te obawy są w odpowiedni sposób podsycane przez twierdzenia, że Turcja chce zabrać naszą ziemię. To nieprawda. Ziemia ma służyć budowie hydroelektrowni, a nie przejść w posiadanie Turków. Podejrzewam, że tego typu twierdzenia wzmacniane są przez naszego północnego sąsiada. Jest to element wojny hybrydowej – podkreśla Giorgi Czikowani.

eprasa.pl 341d6b84b9

– W spór włączyła się ambasador Turcji w Gruzji, która uznała przeciwników hydroelektrowni za zdrajców i ksenofobów. Rozumiem, że musi bronić interesów swojego kraju, ale lepiej, żeby nie robiła tego w taki sposób. Wśród dwudziestu tysięcy protestujących można zapewne znaleźć i ksenofobów. Pojawiliby się oni także, gdyby inwestor był z USA czy Rosji, a nie z Turcji – zauważa Dato Czipaszwili.

Zastanawia się również, dlaczego rząd zdecydował się na tak niekorzystny kontrakt. Rząd zapewnia o wzmacnianiu bezpieczeństwa energetycznego kraju, jednak fakty temu przeczą.

– Oczywiście powstaje pytanie o „elitarną korupcję". Wysocy urzędnicy państwowi bronią projektu, który jest niekorzystny dla kraju. Brakuje transparentności, konkurencji, szerokich konsultacji społecznych, a to stoi w sprzeczności z normami Wspólnoty Energetycznej Unii Europejskiej. Budowa Namachwani jest jaskrawym przykładem naruszenia zasad wolnego rynku. Jednak, żeby udowodnić „elitarną korupcję", należy zaangażować do działania prokuraturę, co może być trudne, bo tam swoje wpływy ma rząd – podsumowuje Czipaszwili.

Ekspert organizacji Green Alternative nie jest w stanie powiedzieć, jaka będzie przyszłość projektu Namachwani.

– Najlepszym rozwiązaniem dla rządu byłoby anulowanie tego kontraktu. Jego realizacja spowoduje wzrastające koszty. Jeśli rząd zdecyduje się na jakąś formę pacyfikacji miejscowej ludności, uczyni najgłupszy krok – mówi Czipaszwili.

Strażnicy doliny Rioni nie zamierzają odpuszczać. Cały czas protestują. Gruziński rząd w porozumieniu z inwestorem postanowił wstrzymać prace budowlane na dwanaście miesięcy, do czasu kiedy wszelkie wątpliwości zostaną rozwiane. Ponadto czeka na kolejne niezależne ekspertyzy. Jedną z nich ma przygotować specjalny wysłannik Wspólnoty Energetycznej Unii Europejskiej. Na polecenie premiera Ministerstwo Sprawiedliwości przy wsparciu międzynarodowej kancelarii prawniczej ma zbadać podpisany kontrakt.

– Budowa napotkała opór społeczny. Jako rząd musimy przyznać, że zabrakło z naszej strony odpowiedniej komunikacji z miejscowymi. Nie przekonaliśmy ich, że hydroelektrownie są korzystnym rozwiązaniem dla Gruzji. Nie chodzi zresztą tylko o miejscową społeczność, ale o całe gruzińskie społeczeństwo. Musimy uzmysłowić Gruzinom, że projekt ten nie jest realizowany w interesie inwestora, tylko dla dobra kraju i jego bezpieczeństwa energetycznego – podkreśla Giorgi Czikowani.

Przedstawiciel rządu zwraca uwagę, że zapotrzebowanie na energię elektryczną wzrasta z roku na rok. Należy zastąpić importowaną energię wytwarzaną na miejscu. Jednak sezonowo, w okresie zimowym, kiedy poziom wód w rzekach jest niski, i tak trzeba będzie sprowadzać ją z zagranicy. Gruzja musi wytwarzać dodatkowo 2 miliardy kWh rocznie, by przestać importować prąd. Natomiast hydroelektrow-

eprasa.pl 341d6b84b9

nia Namachwani będzie produkować około 1,5 miliarda kWh energii, a zimą jedynie 600–700 milionów kWh. Będzie to stanowiło 12 procent całkowitego zapotrzebowania energetycznego Gruzji w 2024 roku.

– Do 2030 roku powinniśmy mieć 1000 MW energii wiatrowej, 600 MW energii słonecznej oraz energię z biomasy, biogazu oraz źródeł termalnych. Wbrew twierdzeniom protestujących nie skupiamy się tylko na hydroenergetyce. Niestety kryzys spowodowany pandemią zwiększył zadłużenie Gruzji. W związku z tym nie mamy możliwości pożyczenia pieniędzy na realizację tak ambitnego projektu jak budowa Namachwani. Jedynym rozwiązaniem są bezpośrednie inwestycje zagraniczne – zauważa Czikowani.

Protestujący sceptycznie odnoszą się do zapewnień rządu o chęci dialogu. W kwietniu doszło do rozmów liderów protestu z przedstawicielami władz w Kutaisi. Nie miały one charakteru rozstrzygającego. Mieszkańcy doliny Rioni są przekonani, że rząd ich zwodzi, gra na czas i liczy na zmęczenie miejscowej społeczności. Jednak nic nie wskazuje na to, żeby tak miało się stać. Liderzy protestów zapowiedzieli masową demonstrację w Tbilisi. Ich żądania są jasne: anulowanie kontraktu na budowę hydroelektrowni, zwrot wydzierżawionej ziemi pod inwestycję i dymisja minister gospodarki.

eprasa.pl 341d6b84b9

Przestrzeń na opowieść

Z Pawłem Pieniążkiem, korespondentem wojennym, stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego", rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: W życiu najważniejsze rzeczy często dzieją się przypadkiem.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Tak. Wszystko, co ciekawe w moim życiu, dzieje się trochę samo z siebie. Na przykład nigdy nie przypuszczałem, że będę cokolwiek pisać. Pracę zaczynałem w redakcji „Krytyki Politycznej", zajmowałem się rzeczami organizacyjnymi. W którymś momencie powiedziano mi, żebym zaczął pisać. Zostałem tego nauczony, ponieważ kompletnie tego nie potrafiłem.

O czym zacząłeś pisać?

W „Krytyce" pisałem o Ukrainie. Następnie pracowałem w redakcji „Nowej Europy Wschodniej". Tam zajmowałem się wyłącznie Wschodem, ale przede wszystkim Ukrainą. Potem znowu współpracowałem z „Krytyką Polityczną". W międzyczasie jeździłem do Rosji i na Ukrainę. Pod koniec 2013 roku trafiłem na Majdan. Przekonałem redakcję, żeby mnie tam wysłała. Nie byłem w niej zatrudniony, tylko z nią współpracowałem. To było pierwsze duże wydarzenie, które relacjonowałem. Rok wcześniej byłem na protestach w Rosji, ale ich skala była nieporównywalnie mniejsza. Na Majdanie doszło do wielkich demonstracji i starć z policją. Tam zacząłem uczyć się dziennikarstwa z prawdziwego zdarzenia, pracy reporterskiej. W 2013 roku zostałem freelancerem. Następnie relacjonowałem wojnę na Ukrainie. I potem już jakoś samo poszło.

Rozumiem, że obszar poradziecki stał Ci się najbliższy, przynajmniej w początkowej fazie pracy.

To też był przypadek. Będąc w liceum, pracowałem etatowo i nie bardzo miałem czas, żeby chodzić do szkoły i się uczyć. Słabo zdałem maturę. Mogłem się dostać na politologię. Ale stwierdziłem, że mogę się tych zagadnień nauczyć sam, chociaż koniec końców, chwilę studiowałem nauki polityczne. Poszedłem na ukrainistykę, tam łatwo było się dostać. Zupełnie nic nie wiedziałem o Ukrainie. Nie miałem też żadnych związków rodzinnych z naszym wschodnim sąsiadem. Było to podyktowane pewną ciekawością, niepewnością i brakiem konkretnego pomysłu na to, co robić w życiu. To spowodowało, że się zainteresowałem Ukrainą i obszarem poradzieckim. Pewnie gdy-

eprasa.pl 341d6b84b9

bym poszedł na studia dotyczące jakiegoś innego kraju, to zainteresowałbym się innym regionem. Studia nie były szczególnie zachęcające, może poza pierwszym rokiem. Potem zacząłem podróżować po Ukrainie, sam dowiadywałem się wielu nowych rzeczy. Nie uczyłem się zbyt dobrze i ledwo skończyłem studia.

Dziennikarstwo zaczęło Cię wciągać. W 2014 roku trafiłeś do Donbasu, na swoją pierwszą wojnę.

Trafiłem na wschód Ukrainy. Jednak nie jechałem tam relacjonować konfliktu zbrojnego. Wtedy nikt jeszcze nie mówił o regularnych działaniach wojennych. Jechałem z przekonaniem, że wybieram się na antymajdan. Myślałem, że protesty będą bardziej brutalne, może nieprzyjemne i nie tak kolorowe jak w Kijowie. Nastawiałem się na nie, nie na żadną wojnę. Nie myślałem o tym w takich kategoriach. Nie byłem na to gotowy. Tego dnia, kiedy przyjechałem do Donbasu, w Słowiańsku separatyści zdobyli ukraińskie transportery opancerzone BTR-y i BMP. I jeździli nimi po mieście. Z Doniecka wraz z Piotrem Andrusieczką pojechaliśmy do Słowiańska. Okazało się, że relacjonuję rozpoczynający się konflikt zbrojny.

Byłeś tam bez przerwy? Czy wracałeś co jakiś czas do Polski?

Przyjeżdżałem, wyjeżdżałem. Krążyłem pomiędzy Donbasem, Kijowem i Polską. Mój paszport szybko wypełniał się pieczątkami.

Rozkręca się konflikt zbrojny na Ukrainie. Relacjonujesz go. Dla jakich tytułów prasowych, stacji telewizyjnych czy radiowych? Sam im proponujesz swoje usługi czy oni się do Ciebie zgłaszają? A może na początku bardziej skupiasz się na mediach społecznościowych?

Część zleceń dostawałem dlatego, że pisałem o wojnie na Facebooku czy Twitterze. Redakcje proponowały mi, żebym napisał na dany temat. Czasami ja się zgłaszałem się do nich. Nie było jednego modelu. I były to bardzo różne rzeczy: komentarze dla telewizji, teksty prasowe, do internetu, wywiady radiowe.

Wspomniałeś, że od 2013 roku jesteś freelancerem. Jak swoją pracę dziennikarską spinałeś pod względem finansowym? Czy mogłeś liczyć na finansowanie wyjazdów przez redakcje?

Jednym z powodów, jakkolwiek by to zabrzmiało, dlaczego tak wielu dziennikarzy z Polski było na Ukrainie, to bliskość i taniość tego kraju. Łatwo się tam było dostać i stosunkowo łatwo porozumieć. Z racji tego, że mówiłem po ukraińsku i po rosyjsku, nie potrzebowałem tłumaczy. Od samego początku grupowałem się: pracowałem z dziennikarzami, z którymi dzieliłem chociażby koszty transportu, czasami też mieszkanie. Szukałem sposobów, żeby to wszystko było tanie i dobrze funkcjonowało. Długo uczyłem się, jak spinać budżet. Miałem małe potrzeby. Utrzymanie się na

eprasa.pl 341d6b84b9

powierzchni było dosyć proste. Była to partyzantka z ograniczonym budżetem. Dzisiaj zapewne inaczej bym to robił. Gdybym miał większe fundusze i mógł wynająć kierowcę, to moja praca byłaby dużo łatwiejsza i lepsza. Nie zrzucam w tym wypadku winy na media, chociaż w idealnych warunkach powinno być tak, że wszystko jest przez nie finansowane.

Masz na myśli stawianie innych warunków redakcjom?

To zależy od redakcji. Niektórym nie trzeba stawiać żadnych warunków, a niektórym tak, ponieważ płacą źle. Skupiałbym się na zleceniach lepiej płatnych, niż na pisaniu wielu tekstów na gorszych warunkach.

To wynika z tego, że po ośmiu latach wyrobiłeś sobie renomę i możesz liczyć na lepsze, również pod względem finansowym, zlecenia?

Dużo redakcji nie warunkuje stawek doświadczeniem dziennikarza. Nie uwzględnia również tego, czy przykładowo pracujesz w Syrii, czy na Litwie, która jest bliżej, więc koszty transportu są mniejsze i mniejszy jest też stopień zagrożenia. Długo mi zajęło, by myśleć o dziennikarstwie jak o zawodzie. To znaczy, że czasami trzeba komuś odmówić albo wybrać zlecenie lepiej płatne niż wiele zleceń, z których trudno się wywiązać. Chcę być dobrze zrozumiany. Nie chodzi mi wyłącznie o zarabianie pieniędzy. Gdybym chciał mieć wyższe dochody, poszedłbym do korporacji. Chcę wykonywać tę pracę, jednak bym mógł ją wykonywać, musi przynosić wystarczające zyski, abym się utrzymał. Ponoszę ryzyko związane z większością wyjazdów – inwestuję swoje pieniądze, które potem mi się zwracają. Muszę mieć poduszkę finansową, żeby móc funkcjonować.

Jak postrzegasz swoją pracę – jako świetną przygodę, źródło adrenaliny czy może jako misję informowania o ważnych wydarzeniach na świecie?

Opowiadanie o świecie jest ważne, szczególnie kiedy Polska coraz bardziej skupia się na sobie. Swoje problemy postrzega jako typowo polskie, nie patrzy na nie w szerszym ujęciu. Wydaje mi się, że informowanie o świecie, i to nie z perspektywy depeszowej, a opowieści o człowieku, jest ważne. Moje podejście długo ewoluowało. Obecnie najmocniej skupiam się na tym, żeby przedstawiać motywacje ludzi, pokazać, jakie wybory przed nimi stoją. Tego dzisiaj najbardziej brakuje, a to też najciekawsze. W ekstremalnych sytuacjach, jakimi są konflikty zbrojne, staje się przed ogromną ilością wyzwań, których nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, dopóki sami się z nimi nie mierzymy. Czy opuścić swój dom i ukryć się w bezpiecznym miejscu? A może stanąć po którejś ze stron i wziąć broń do ręki? Każda z decyzji, która w rozważaniach w domowym zaciszu wydaje się prosta do podjęcia, jest obciążona poważnymi konsekwencjami. Czasami mogą wpływać na nie przekonania, a innym

eprasa.pl 341d6b84b9

razem schorowana matka, która nie może samodzielnie się poruszać. Niezależnie od tego, kto na co się zdecyduje, staram się to zrozumieć.

To, jak człowiek adaptuje się do wojny, jest najciekawszym tematem. Ten motyw stale przewija się w mojej pracy.

A emocje? Nie boisz się, kiedy wybierasz się w regiony objęte konfliktami zbrojnymi? Jak sobie radzisz emocjonalnie z wydarzeniami, których jesteś świadkiem, oraz trudnymi historiami ludzi, których spotykasz?

Łatwo się dystansuję i potrafię oddzielić życie codziennie od pracy. Wszystkie wydarzenia wojenne, wszystkie rzeczy, które widziałem, przeżyłem, pozostały w mojej pamięci. Nie przeszkadzają mi jednak w codziennym funkcjonowaniu. Nie mam zaburzeń psychicznych. Byłem u psycholożki, która pracuje z weteranami. Nie stwierdziła objawów syndromu stresu pourazowego. To była jedna z motywacji, dla której chciałem kontynuować pracę; wiem, że nie każdy może sobie na to pozwolić. Mam ileś koleżanek i kolegów, którzy musieli odpuścić, ponieważ nie radzili sobie psychicznie.

Jeśli chodzi o strach, to odczuwam go mniej w oczywistych momentach. Kiedy dzieje się naprawdę dużo, szybko i intensywnie, nie ma czasu na myślenie o nim. Działam instynktownie. Raczej odczuwam strach spowodowany niepewnością. Kiedy byłem w Afrinie w Syrii, miasto było otoczone. Nie było jasne, co się wydarzy. W dużym stopniu byłem zdany na siebie. Czułem lęk, mogłem się obudzić rano i zupełnie inna grupa zbrojna kontrolowałaby miasto. Nie wiedziałem, czy uda mi się wyjechać, nie wiedziałem, co się stanie. Byłem odcięty od informacji. Dopiero gdy jako dziennikarz przemieszczałem się z grupą bojowników, poczułem spokój. Oni mieli dowództwo, a przez to jakiś dostęp do informacji.

Czy starasz się w jakiś sposób pomagać ludziom doświadczonym przez konflikty zbrojne? Czy łączysz dziennikarstwo z pewnego rodzaju aktywizmem?

Co do zasady uważam, że dziennikarz nie powinien zajmować się pomocą, to nie jego praca. Jego zadaniem jest relacjonowanie wydarzeń. Jeśli ktoś chce pomagać, powinien skupić się na tym. To rozgraniczenie jest dla mnie istotne. Rozmycie pomiędzy dziennikarstwem a aktywizmem występuje dość często. Działania pomocowe stawiają dziennikarza przed wyborami, w których rezultacie opowiada się po którejś stronie. Staram się tego unikać.

Długo pracowałem nad tym, żeby znaleźć balans, żeby rozstać się ze swoimi przekonaniami, ładunkiem emocjonalnym wiążącym się z wydarzeniami, które relacjonuję, i znaleźć miejsce dla ludzi. To, co mogę ludziom dać, to przestrzeń do opowiedzenia swojej historii, niezależnie od tego, jakie mają przekonania. Jeśli znajdują się w złej sytuacji humanitarnej, chętnie to przedstawię, ale nie jestem w stanie im pomóc.

eprasa.pl 341d6b84b9

Archiwum prywatne

Dziennikarz nie powinien zajmować się pomocą. Jego zadaniem jest relacjonowanie wydarzeń. Jeśli ktoś chce pomagać, powinien skupić się na tym. To rozgraniczenie jest dla mnie istotne. Działania pomocowe stawiają dziennikarza przed wyborami, w których rezultacie opowiada się po którejś stronie.

Jak zabezpieczasz się, jadąc w regiony objęte wojną? Wykupujesz ubezpieczenie, zabierasz ze sobą leki? Posiadasz kamizelkę kuloodporną? Kto to wszystko finansuje?

Czasami wykupuję ubezpieczenie, a czasami nie. Niekiedy jest ono pokrywane przez redakcję. Jest ubezpieczenie od konfliktów zbrojnych, które formalnie może objąć dany kraj. Ale w wielu miejscach to fikcja. Tam żadna pomoc nie dotrze do poszkodowanej osoby. Posiadanie ubezpieczenia na Ukrainie miało spory sens. Łatwo było odciągnąć poszkodowaną osobę z linii frontu do najbliższego szpitala i udzielić jej pomocy medycznej, a potem starać się o zwrot kosztów leczenia. Jednak w takich miejscach jak Syria jest to już bardziej skomplikowane.

Mam własną kamizelkę. Wożę ją z Polski. Dostałem ją w ramach treningu dla dziennikarzy organizowanego przez

eprasa.pl 341d6b84b9

Ukraiński Instytut Rozwoju Prasy Regionalnej i brytyjski Institute for War and Peace Reporting. Ponadto w 2016 roku dostałem hełm i apteczkę medyczną. To była moja pierwsza porządna wyprawka wojenna. Wcześniej miałem kamizelkę, której – patrząc z dzisiejszej perspektywy – mogłem w ogóle nie zakładać.

W Polsce nie ma zbyt wielu osób z doświadczeniem w relacjonowaniu konfliktów zbrojnych. Nie ma ciągłości instytucjonalnej. Redakcje nie są na to przygotowane. Nie mają kamizelek czy apteczek.

W mojej apteczce są leki i opatrunki na wypadek poważnych zranień, ale też leki na podwyższoną temperaturę czy rozstrój żołądka. Mam też zawsze opaskę uciskową służącą tamowaniu krwotoków. Zabieram wygodne obuwie, stare jeansy, kurtkę przeciwdeszczową, notesy, aparaty, laptop, dużo kabli, powerbanków, by móc jak najdłużej działać bez dostępu do prądu. Taki plecak waży nawet około dwudziestu kilogramów.

Czy znajdowałeś się kiedyś w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia bądź byłeś świadkiem takich sytuacji w odniesieniu do innych osób?

Tak, przynajmniej kilkukrotnie znajdowałem się w takiej sytuacji.

Jakie emocje Ci wtedy towarzyszyły?

Po ostrzale moździerzowym, w którego rezultacie jedna osoba zginęła, a jedną raniono, nie byłem w stanie zebrać myśli do końca dnia. Poinformowałem redaktorów, co się stało. Ale wstałem nazajutrz rano, zabrałem się do pracy i napisałem tekst. Było to trudne przeżycie, ale nie niszczące.

A nigdy nie przyszło Ci do głowy, że Twoja praca któregoś dnia może się dla Ciebie skończyć tragicznie?

Biorę to pod uwagę, skoro relacjonuję wydarzenia, które są potencjalnie niebezpieczne. Trzeba zawsze ocenić ryzyko. Są miejsca i rzeczy, których na pewno nie warto robić. Jednak często nie jest aż tak niebezpiecznie, jakby mogło się wydawać komuś z zewnątrz. Większość niebezpieczeństw pojawia się niespodziewanie. Nie da się ich przewidzieć i się przed nimi uchronić.

Opowiadasz o konfliktach z perspektywy ludzi, których dotyczą. Jak docierasz do swoich bohaterów?

Różnie. Jeśli jestem gdzieś po raz pierwszy i nie znam miejscowego języka, to korzystam z pomocy fiksera. Ale często też mogę liczyć na pomoc znajomych we wskazaniu ciekawych osób do rozmowy. Czasami na moich rozmówców natykam się, wychodząc na ulicę. Jeżeli ktoś nie chce rozmawiać, to też nie naciskam. Staram się ludzi traktować uczciwie, tak jakbym sam chciał zostać potraktowany.

Znasz język rosyjski i ukraiński. Na Ukrainie czy w Górskim Karabachu nie miałeś najmniejszego problemu z porozumiewaniem się. A jak sobie

eprasa.pl 341d6b84b9

radziłeś w Iraku, Syrii czy w Afganistanie?

Korzystałem z pomocy tłumaczy. W Syrii uczyłem się języka kurdyjskiego. Po spędzonych tam dziewięciu miesiącach mój poziom nie był wystarczający, by móc swobodnie rozmawiać. Mógłbym przeprowadzić wywiad na zasadzie ankiety. Pewnie nie do końca rozumiałbym odpowiedzi. Korzystanie z pomocy tłumacza było dla mnie największą zmianą. Jak ładnie napisał kiedyś Artur Domosławski: „Praca z tłumaczem to wciąż praca, ale okaleczona". I rzeczywiście tak jest, ponieważ ma się pośrednika, który często wygłusza niektóre emocje w wypowiedziach ludzi, ich koloryt. Ale kiedy myślę o tym, żeby zostać w jakimś miejscu dłużej, to staram się opanować przynajmniej podstawy języka. Wiele mi to daje. W syryjskim Kurdystanie mogłem prowadzić proste dialogi z ludźmi, co pozytywnie wpływało na pozyskiwanie przeze mnie informacji i podtrzymywanie kontaktów. W Afganistanie dzięki znajomości kurdyjskiego rozumiałem podstawowe sformułowania. Występowały duże podobieństwa pomiędzy językami.

Jak przygotowujesz się do wyjazdów? Wszystko starasz się zorganizować z Polski czy dopiero będąc na miejscu?

Zależy od miejsca. Na Ukrainie działał booking.com. W ten sposób organizowałem noclegi w Donbasie. Istnieją pomocne grupy dziennikarskie na Facebooku. Mam też własne kontakty, siatki dziennikarskie. Grupa dziennikarzy relacjonujących konflikty zbrojne nie jest aż tak duża. Wszyscy mniej lub bardziej się znamy. W różnych miejscach na świecie spotykam znajomych z różnych krajów. Często to są te same osoby. Jest się do kogo odezwać, zapytać o różne rzeczy. Dziennikarze pomagają sobie nawzajem. Nie tylko media w Polsce mają problemy z budżetami. Dlatego zazwyczaj freelancerzy dzielą koszty między sobą. Pracują razem. To jest też bezpieczniejsze, kiedy działa się w niedużej, dwu-, trzyosobowej grupie niż samodzielnie. W Górskim Karabachu dużą pomoc świadczyli dziennikarzom miejscowi urzędnicy. Paradoksem jest to, że często na wojnie mieszka się w hotelu. Obok dzieją się straszne rzeczy, a ty mieszkasz w całkiem komfortowych warunkach. Jak jedziesz z jakimiś bojówkami, grupami zbrojnymi, to trzymasz się ich i dzięki temu masz nocleg. Na Ukrainie często spałem w okopach. Nie chcę jeździć wciąż do nowych krajów, tylko wracać do tych, w których już byłem. Od kilku lat mi się to udaje. Wracam tam i zbieram kontakty.

Nawiązując do tego, co mówisz, chciałem Cię zapytać o Twoje plany zawodowe. Jak widzisz swoją dziennikarską przyszłość?

Chciałbym się zajmować regionem pokrywającym się mniej więcej z obszarem dawnego Związku Radzieckiego i Imperium Osmańskiego. Uważam, że jak człowiek zajmuje się zbyt wieloma krajami, a i tak mówię o ogromnym obszarze, to

eprasa.pl 341d6b84b9

nie jest w stanie wyłapać mnóstwa rzeczy. Przykładowo chętnie bym zobaczył jakiś konflikt afrykański czy niedawne protesty w Hongkongu, które były dość podobne do Majdanu. Ale nie czułbym się wystarczająco kompetentny, żeby je relacjonować. Do Górskiego Karabachu wybrałem się z dużą dozą niepewności, bo niewiele wiem o Kaukazie. Czytałem rzecz jasna książki. Ale bardzo się tego obawiałem. Gdy leciałem do Syrii, sytuacja nie była tak gorąca, więc paradoksalnie trochę łatwiej było mi okrzepnąć na miejscu. Są takie regiony, które znam na tyle dobrze, że historie przeze mnie opisane mogą w jakiś inny sposób pokazać temat. Może nie będzie to analityka, bo analitykiem nie jestem, i o państwach, o których rozmawiamy, nie mam przeogromnej wiedzy, ale skupienie się na opowieściach ludzi. Staram się pokazać kondycję ludzką. Do tego potrzeba kompletnie innego warsztatu niż konkretnej wiedzy o kraju. Nie patrzę na konflikty w sposób czysto polityczny. Nie zależy mi na rozmowach z najważniejszymi ludźmi, politykami czy wysoko postawionymi wojskowymi. Wiem, że od nich nie usłyszę najciekawszych rzeczy. Jeśli mam do wyboru spotkać się z premierem czy ze sprzedawcą w ostrzeliwanym sklepie, to chętnie wybiorę tę drugą osobę.

Co uważasz za swój dotychczasowy największy sukces zawodowy? Czego żałujesz? Co zrobiłbyś inaczej?

Jeśli chodzi o sukcesy, to może to, że jestem trochę lepszym dziennikarzem, niż byłem w 2013 roku.

Natomiast, gdyby cofnąć czas, to konflikt na Ukrainie opisywałbym lepiej. Z dużo mniejszymi sympatiami, przekonaniami, bez zbędnego zaangażowania. To była wojna, do której miałem najlepszy dostęp – i w sensie kulturowym, i obecności, i możliwości. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że przegapiłem mnóstwo okazji. Ale gdzieś musiałem się nauczyć tego fachu, więc może lepiej, że stało się to przy okazji pierwszej wojny.

Paweł Pieniążek jest dziennikarzem, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym". Relacjonował wydarzenia między innymi z Afganistanu, Górskiego Karabachu, Iraku, Syrii i Ukrainy. Autor książek, w tym *Po kalifacie. Nowa wojna w Syrii* (2019). Laureat nagrody dziennikarskiej MediaTory w 2019 roku.

eprasa.pl 341d6b84b9

Tęsknota za miastem, które mogło istnieć

Z Arturem Klinauem, białoruskim pisarzem, rozmawia Kacper Wańczyk

KACPER WAŃCZYK: Pana książkę wydano w Polsce pod tytułem *Mińsk – przewodnik po Mieście Słońca*. W tytule oryginału nie ma mowy o Mińsku. W języku białoruskim jest to po prostu *Krótki przewodnik po mieście słońca*. Czy Miasto Słońca i Mińsk to dla Pana dwa różne miejsca, dwa różne miasta?

ARTUR KLINAU: Po pierwsze, Miasto Słońca to oczywiście tylko część Mińska. To miasto w mieście, które ma własne, bardzo konkretne granice. Z zachodu na wschód rozciąga się na mniej więcej osiem kilometrów, z północy na południe od dwóch do czterech kilometrów w zależności od miejsca.

Ale ważniejsze jest tu coś innego. Gdy używam pojęcia Miasto Słońca, mam na myśli metaforę idealnego miejsca, tworzonego dla idealnego społeczeństwa. Kiedy o nim mówimy, musimy spojrzeć szerzej na idee stojące za tym gigantycznym projektem społecznym.

To idealne miasto budowano na całym terytorium byłego imperium radzieckiego. Nie tylko w Mińsku. W każdej większej i mniejszej aglomeracji ZSRR można znaleźć fragmenty Miasta Słońca. Najwięcej jego elementów jest oczywiście w Moskwie, tam powstał główny projekt. Tam miał też znajdować się główny ołtarz Kraju Szczęścia. Mińsk był tylko „uwerturą", wejściową bramą triumfalną do głównego Miasta Słońca. Mimo to tak się złożyło, że właśnie na terytorium Mińska projekt ten zrealizowano najszerzej. Nie wiem, jak to ocenić – czy stolica Białorusi miała szczęście, czy nie, ale w każdym razie jest ona najpełniejszym wcieleniem marzenia o budowie Miasta Słońca.

A dlaczego to właśnie w Mińsku udało się w pełni zrealizować projekt Miasta Słońca?

Każdy projekt idealnego miasta można zrealizować tylko od podstaw. Nie da się go wprowadzić w bryłę starego miasta, bo z założenia jest to aglomeracja idealnej geometrii. Chodzi mi zarówno o geometrię architektoniczną, jak i społeczną.

Idealne miasto nie toleruje żadnych ingerencji, żadnej konkurencji. W Moskwie twórcy Miasta Słońca zdecydowali się wtopić jego fragmenty w bryłę zabytkowej zabudowy. Efekt był eklek-

eprasa.pl 341d6b84b9

tyczny, projekt po prostu utonął w starym mieście.

Tymczasem Mińsk został doszczętnie zniszczony w czasie II wojny światowej. Dlatego w nim udało się zrealizować projekt od podstaw. Teren pod budowę, czyli te osiem kilometrów na dwa czy cztery kilometry – w zależności od miejsca – został prawie całkowicie wyczyszczony. Idealną geometrię Miasta Słońca zrealizowano przy minimalnej ingerencji.

Powiedział Pan, że idealne miasto musi być stworzone od nowa, również w sensie społecznym.

Tak, oczywiście. Idealne miasto zostało zbudowane dla idealnego człowieka, dla człowieka przyszłości. Jeśli czytasz ojców utopii: Thomasa More'a, Tommasa Campanellę i innych utopistów, cofając się do Platona, w ich książkach ten idealny człowiek przyszłości to doskonały mechanizm społeczny, człowiek cnotliwy, bez wad. Jest to pewnego rodzaju idealna jednostka ludzka, która niestety może zaistnieć jedynie w społeczeństwie totalitarnym. Obawiam się, że takiego człowieka można stworzyć od podstaw jedynie metodami totalitarnej inżynierii społecznej.

Od budowy Miasta Słońca minęło już wiele lat. Czy według Pana Mińsk stał się przez ten czas miastem samym w sobie? Czy też Miasto Słońca jakoś wpłynęło na to, co dziś istnieje?

Oczywiście w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat Mińsk bardzo się zmienił. Niewiele pozostało z atmosfery Miasta Słońca. Z jednej strony wszyscy mówią, że Mińsk stał się bardziej europejski, piękniejszy, czysty, zadbany. Ludzie przyjeżdżają z Europy i mówią, że to takie piękne miasto. To prawda. Ale jest tak, jeśli oglądamy jedynie fasady.

Czy stał się jednak bardziej europejski? Nie wiem. Wydaje mi się, że stał się po prostu bardziej drobnomieszczański. Europejskość to coś innego. Ale to, że miasto zostało opanowane przez drobnomieszczański chaos, jest absolutnie pewne. Ów chaos po prostu zabija idealne miasto. Bo to są dwa zupełnie przeciwstawne elementy. Miasto idealnej geometrii społecznej i burżuazyjny chaos stanowią nierozwiązywalną sprzeczność.

Oczywiście, architektura Miasta Słońca pozostała. Ale zmienił się nastrój, to już nie ta sama atmosfera. To nie jest Miasto Słońca, o którym pisałem, które znałem w dzieciństwie.

Skoro mówimy o tych zmianach, o tak zwanej europeizacji Mińska, to mam nieco polityczne pytanie. W Polsce, zwłaszcza w ostatnich latach, istnieje bardzo silny ruch aktywistów miejskich. Równocześnie miasta same stają się podmiotami politycznymi. Czy ten proces jest obserwowany również na Białorusi?

Niestety w naszym przypadku tak się nie dzieje. Obecny rząd jest zbudowany na zupełnie innej zasadzie. Jest to zasada wertykału władzy, rządzący sami stosują to nazewnictwo. Wszystko w tej struk-

eprasa.pl 341d6b84b9

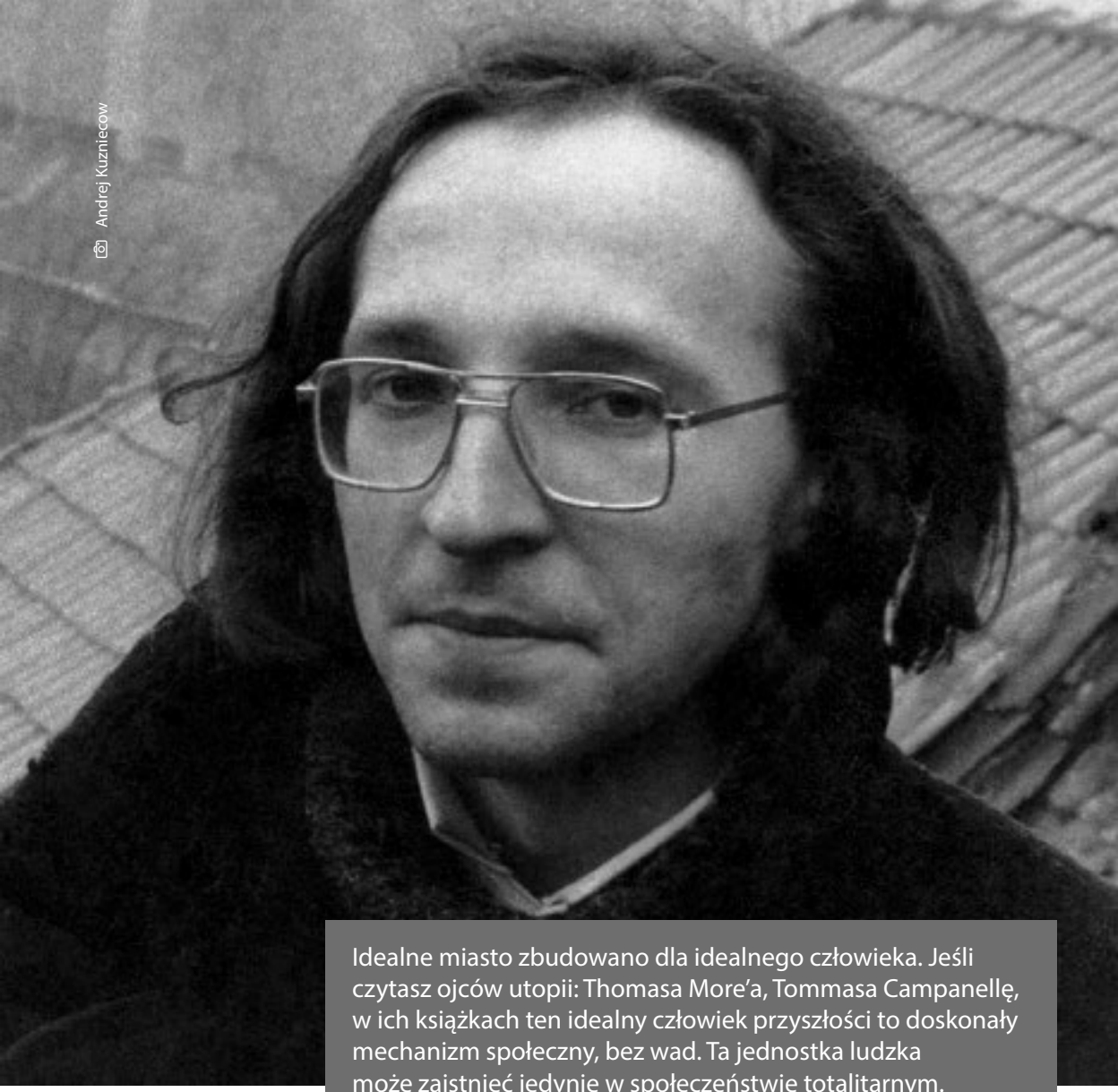

Andrej Kuzniecow

Idealne miasto zbudowano dla idealnego człowieka. Jeśli czytasz ojców utopii: Thomasa More'a, Tommasa Campanellę, w ich książkach ten idealny człowiek przyszłości to doskonały mechanizm społeczny, bez wad. Ta jednostka ludzka może zaistnieć jedynie w społeczeństwie totalitarnym.

turze jest zbudowane absolutnie hierarchicznie.

To, o czym pan mówi, to horyzontalny model władzy, który jest znany od czasów starożytnej Grecji. Władza polis i obywateli. Mam nadzieję, że pewnego dnia tego doczekamy. W tej chwili nie ma możliwości, aby coś takiego istniało na Białorusi. Pion po prostu wypiera takie struktury. W modelu hierarchicznym nie ma miejsca na struktury poziome.

Wróćmy do książki. Zapamiętałem motyw Nemigi jako jakiegoś fundamentu, na którym miasto zostało zbudowane i który zawsze istnieje w sensie psychicznym. Pisze Pan nawet „Nemigę mamy we krwi". „My" – czy

eprasa.pl 341d6b84b9

ma Pan na myśli mińszczan, Białorusinów, mieszkańców byłego Związku Radzieckiego?

Dla mnie jest to symbol zaginionej cywilizacji Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ale należy go rozumieć w kontekście.

Białoruskie miasta ucierpiały najbardziej nie z powodu wojen, które toczyły się tu bez końca. Najwięcej szkód przyniosły im czasy radzieckie, a wcześniej czasy carskiej Rosji, kiedy to niszczono symbole architektoniczne, takie jak cerkwie lub ratusze. Po prostu je burzono, a miasta odbudowywano.

Należy zrozumieć, że była to celowa polityka. Miała doprowadzić do zniszczenia kultury materialnej. Trzeba było skolonizować ten naród, aby nic nie pozostało w jego pamięci. A kultura materialna – ten ratusz, ten kościół – wskazywała na coś zupełnie przeciwnego, mówiła, że coś innego tu istniało. Musiały więc zostać zniszczone.

Proces ten trwał już zresztą od początku XIX wieku, władze radzieckie jedynie aktywnie go kontynuowały. Na przykład stary Mińsk największe straty poniósł, co może się wydawać dziwne, już po wojnie, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku – to wtedy zburzono Niemigę. Było to jądro starego miasta. Przetrwało wojnę, by zostać zrównane z ziemią dwie dekady po niej.

Nie był to odosobniony przypadek – podobne rzeczy działy się wszędzie, od Brześcia po Witebsk. Był to po prostu proces kolonizacji białoruskich ziem. Jego niezbędnym, bardzo ważnym elementem było zniszczenie kultury materialnej. Każde wspomnienie o byciu Europejczykiem, o byciu narodem europejskim musiało zostać wyeliminowane. Ci ludzie musieli zapomnieć o swojej europejskiej historii, całkowicie zmienić tożsamość.

Ale kultura pozostała. Nie w materialnej postaci, ale w pamięci, w duszy, gdzieś w podświadomości. Czujemy ją, wpływa na nas i nie pozwala zapomnieć o przeszłości.

Nemiga jest tego metaforą. Podziemna rzeka, której litewską nazwę tłumaczy się jako „ta, która nigdy nie śpi". To nasza obudzona pamięć, mamy ją we krwi. To się w nas zachowało i dzięki temu nie zapomnieliśmy o swojej przeszłości, o swojej europejskiej historii. To daje nam szansę i nadzieję na odrodzenie, bo kiedy zapomnimy o naszej historii, ludzie będą zgubieni.

A więc jest Pan mimo wszystko optymistą? W duszy wciąż istnieje coś, co pomoże przezwyciężyć tę hierarchię, o której mówił Pan wcześniej.

Tak, pozostała jeszcze pamięć. To jest to, co nas inspiruje, rozgrzewa i zachęca nowe pokolenie do dalszej walki o wolność i odrodzenie naszego kraju i narodu.

To interesujące; po przeczytaniu Pana książki został mi w pamięci bardziej przygnębiający obraz Nemigi jako miejsca śmierci. Ale rozumiem, że ma to podwójne znaczenie – śmierć i odrodzenie.

eprasa.pl 341d6b84b9

Absolutnie. To właśnie Nemiga pozostaje w naszej pamięci i nie pozwala nam zasnąć, nie pozwala nam zapomnieć.

Dlaczego procesy destrukcji miejskiej miały miejsce na Białorusi w latach siedemdziesiątych XX wieku?

Nie było żadnego specjalnego powodu. Być może Piotr Maszerow, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Białorusi, był zbyt dobrym wykonawcą kolonialnej polityki Moskwy. Zamykał białoruskie szkoły, burzył miasta. Oczywiście przedstawiano to jako piękną ideę: „budujemy nowoczesne socjalistyczne miasto, miasto przyszłości, budujemy nowy Mińsk".

Na miejscu starych dzielnic postawiono nowe, „postępowe", ale absolutnie koszmarne budynki. Wciąż stoją tam jak jakieś betonowe płoty. I co z nimi zrobić? Zburzyć, starać się nie zauważać? Zaprezentowano to jako postępowy ruch. Dążenie ku świetlanej przyszłości.

A więc Mińsk to miasto, które jest ciągle burzone?

Właśnie tak. Mińsk był ciągle niszczony przez wojny i najazdy. Czasami przyjeżdżam do jakiegoś starego europejskiego miasta, na przykład do Sztokholmu. I od razu widzę, że nikt nigdy go nie zbombardował. Warszawa i Mińsk to zupełnie inne przypadki. Oba miasta zostały doszczętnie zbombardowane, całkowicie zniszczone. Ale w Polsce była polityczna wola, by miasto ożywić. W Mińsku było na odwrót. Podjęto decyzję polityczną, by dobić to, co nie zostało zrównane z ziemią.

Pochodzę z Krakowa. Tam idea Miasta Słońca została zrealizowana w Nowej Hucie.

Cóż, przynajmniej nie zbudowano go na miejscu starego miasta.

Wilno. Czemu było ono dla Pana tak bardzo ważne?

Wilno jest chyba nostalgią za tym, czym mógłby być Mińsk. Oba miasta historycznie egzystowały bardzo blisko siebie. Jeśli porównać stare plany i ryciny Mińska i Wilna, to dostrzeżemy duże podobieństwo. Mińsk był oczywiście mniejszy, ale bliski geograficznie i estetycznie stolicy Litwy. Ta bliskość była wyczuwalna także pod względem stylu życia mieszkańców.

W rzeczywistości oba miasta zostały zbudowane przez tych samych architektów. I gdyby nie te zniszczenia, gdyby nie to wymazanie pamięci, usuwanie kultury materialnej, to Mińsk byłby bardzo podobny do Wilna.

Dlatego, kiedy jedziemy do stolicy Litwy, prawdopodobnie tęsknimy za tym, czym mógłby być Mińsk. Oczywiście jest to również nasza pierwsza historyczna stolica. Ale dla mnie jest to przede wszystkim tęsknota za utraconym Mińskiem, za miastem, którego nie ma.

Ale pomimo tragicznej przeszłości więzi między Białorusią a Litwą nadal istnieją.

eprasa.pl 341d6b84b9

Nie ma żadnych wątpliwości. Obecnie mieszkam na dalekich przedmieściach Wilna, w wiosce artystycznej Kaptaruny. Od Wilna dzieli ją jakieś 70 kilometrów. Właściwie to dawna wileńska dzielnica. Ale niestety nie jest teraz łatwo dotrzeć do Wilna. Między nami jest coś, czego historycznie nigdy tu nie było – granica Unii Europejskiej.

Minęło piętnaście lat od wydania Pana książki. Czy nadal się ona Panu podoba?

To jest moja pierwsza książka. Debiut jest zawsze ważny dla pisarza, w nim opowiadasz o sobie, o swoim życiu. Często trudno jest napisać drugą lub trzecią książkę. Człowiek już przemówił, co jeszcze można powiedzieć?

Po *Mieście Słońca* wydałem inne książki, ale tę wciąż lubię, bo w pewnym sensie jest to spowiedź naszego pokolenia, opowieść o naszym dzieciństwie w krainie wielkiej utopii, która próbowała stworzyć idealnego człowieka i zbudować dla niego idealne miasto.

Artur Klinau jest artystą, pisarzem, wydawcą i redaktorem naczelnym magazynu „pARTisan". Od 2013 roku tworzy wioskę artystyczną Kaptaruny – miejsce festiwali, plenerów i rezydencji artystycznych w północnej Białorusi na pograniczu czterech kultur: białoruskiej, litewskiej, polskiej i żydowskiej. Organizator corocznego międzynarodowego festiwalu literackiego Międzymorze Literatury w wiosce artystycznej Kaptaruny. W 2020 roku Wydawnictwo Czarne wznowiło wydaną w 2008 roku książkę Klinaua *Mińsk. Przewodnik po Mieście Słońca*.

eprasa.pl 341d6b84b9

Refleksyjna sztuka Łady Nakonecznej

Anna Łazar

Artystyczna praktyka Łady Nakonecznej pozostaje blisko spraw społecznych, nie jest jednak ich ilustracją. Silna pozycja artystki wynika zarówno z unikatowego charakteru twórczości, jak i konsekwentnych wyborów budujących pole ukraińskiej sztuki współczesnej.

Aktywność Łady Nakonecznej może być rozpatrywana na tle spraw ważnych pokoleniowo, dla których formacyjnym doświadczeniem stały się ukraińskie rewolucje społeczne początku XXI wieku. Całe szczęście, protesty nie zapłodniły artystów dyskursem kombatancko-heroicznym, wzmocniły jednak poczucie sprawczości i potrzebę samodzielnego sproblematyzowania własnej roli i działalności. Dzięki udziałowi w ruchach obywatelskiego oporu u progu wejścia w świat instytucji i dyktowanych przezeń procedur Łada Nakoneczna i jej grupa rówieśnicza nabrali do nich zdrowego dystansu. Poniechali prób zajęcia miejsca w istniejącej strukturze drogą zasług i spełniania proponowanych wymogów, a zamiast tego negocjowali zarówno dla siebie, jak i dla tych instytucji szerszy kontekst, dostrzeżenie współczesności i zdefiniowanie nowych potrzeb wobec niej. Trudno mówić, żeby odnieśli sukces rozumiany jako zmianę instytucjonalną, niemniej, proces jest żywy i ciekawy.

Łada Nakoneczna jest członkinią grupy Rewolucyjna Przestrzeń Eksperymentalna (REP), w której skład wchodzą także Łesia Chomenko, Ksenia Hnyłycka, Mykyta Kadan, Żanna Kadyrowa i Wołodymyr Kuzniecow. Być może kiedyś w encyklopedii sztuki ukraińskiej XXI wieku powstanie hasło „pokolenie Rewolucyjnej Przestrzeni Eksperymentalnej". Mogłoby brzmieć tak: artystki i artyści urodzeni około 1980 roku, którzy w przestrzeń publiczną wkroczyli podczas protestów przeciwko sfałszowanym wyborom prezydenckim na przełomie 2004 i 2005 roku. Ich działalność artystyczna odnosiła się do energii społecznej uwolnionej spod dyktatu spetryfikowanych instytucji, a zarazem nadawała krytyczną kontrę równolegle zabiegom populistycznym. REP w początkowej fazie twórczości korzystał w swoich performatywnych wypowiedziach z estetyki protestów i za jej pomocą formował postulaty dotyczące zawodu i statusu artystów. Używali skrótowych haseł o populistycznym potencjale, megafonów, namiotów i budowali powierzchowne programy na przy-

eprasa.pl 341d6b84b9

szłość. Euforyczność i skrótowość języka rewolucji nie pozostawiła młodych twórczyń i twórców obojętnymi, jednak ich prace budowały do rewolucji krytyczny dystans.

Członkowie i członkinie REP, z wyjątkiem Wołodymyra Kuzniecowa, który ukończył Akademię Sztuki we Lwowie, oraz Żanny Kadyrowej, absolwentki Państwowego Liceum Plastycznego w Kijowie, ukończyli kijowską Akademię Sztuk Pięknych. W 2006 roku zrealizowali performance „Prezentacja oficjalnej kultury Ukrainy", który polegał na czytaniu strony internetowej rodzimej Akademii i pokazie filmu dokumentującego obronę dyplomów. Wszystko wskazywało na to, że nurt życia artystycznego płynie poza Akademią. Charakterystyczne jednak, że artyści podejmowali próby negocjacji z instytucją i nadal to robią. Łada Nakoneczna wstąpiła do Akademii na asystenturę, a w chwili obecnej pracuje tam nad doktoratem poświęconym oświacie artystycznej. Krytyka instytucji nie oznacza próby jej zdyskredytowania, jest głosem za reformą i zmianą. Łada Nakoneczna aktywnie działa w inicjatywach oddolnych – w kuratorskim ugrupowaniu Chudrada, organizacji edukacyjnej Metod Fond i publicystycznej Prostory. Mniejsze organizacje tworzone przez podobnie myślących ludzi są bardziej sprawcze i mobilne, pozwalają na sprawniejsze wcielanie w życie pomysłów, które potem mogą być wypróbowane na większych strukturach.

Wybory Nakonecznej łączę nie tylko z refleksją nad zmianą społeczną, ale też namysłem nad figurami twórczyń oraz twórców awangardowych i socrealistycznych.

Wybory artystki wiążę nie tylko z refleksją nad zmianą społeczną, ale też namysłem nad figurami twórczyń i twórców awangardowych i socrealistycznych. Awangardziści i awangardzistki przez zmianę komunikatu wizualnego chcieli odmienić świadomość mas i doprowadzić te masy do nowych rozwiązań w zakresie organizacji życia; postulat socrealistyczny wskazywał lepszy wariant doświadczanej rzeczywistości z pominięciem rzeczywistych konfliktów, natchnąć miał masy optymizmem. Figura artysty romantycznego, natchnionego i mistycznego wydaje się już nie wnosić żywych argumentów, buduje jednak świadomość historyczną i zrozumienie, że hen w wieku XIX to właśnie opowieść o duchowości miała charakter emancypacyjny. W tym wszystkim dryfują też wzory artysty konstytuujące się w dyskursach promowanych przez instytucje sztuki współczesnej Zachodu – artysta/artystka czujna i dostarczycielka nowego/nieoczekiwanego. Wydaje mi się, że Łada proponuje własny wariant obecności i roli artystki. Rekonstrukcja i zamykanie go w definicji zawsze będzie redukujące, bo wariant ten nabiera nowych cech wraz z każdą kolejną pracą. Chcę jednak zaznaczyć, że łączę go z pojęciami: odpowiedzialność, praca, wyobraźnia, odwaga intelektualna i konsekwencja.

eprasa.pl 341d6b84b9

Jednoczesność

Sztuka Łady Nakonecznej sprawia wrażenie oszczędnej, ale częstokroć powstaje z widocznym nakładem pracy, co pozwala zdać sobie sprawę z włożonego w proces czasu i wysiłku. Jej język wizualny tworzony jest w oparciu o różne media (instalacje, rysunki, performance, rzeźby, freski). Pochodzenie materiałów, sposób wykonania pracy i kontekst miejsca mają znaczenie. Nakoneczna buduje w swoich projektach perspektywę, w której błyska aspekt uniwersalizmu, ujawniający się jednak w określonym społeczeństwie i określonych uwarunkowaniach ekonomicznych oraz w konkretnym ciele z jego historią i doświadczeniem. Pozycja mówiącej pozostaje widoczna i podlega analizie, przy czym artystka unika epatowania emocjami. Jej prace wydarzają się w konkretnej podmiotowej perspektywie, wychodzą z obserwacji rzeczywistości i aktualnej problematyki społecznej i politycznej. Artystka nie próbuje pouczać, jednak w jej działaniach powtarza się potrzeba oraz umiejętność naruszenia spójności populistycznego przekazu, zdolność do sformowania uzasadnionego podejrzenia wobec konsensusu i co szczególnie cenne – udaje jej się również podważyć dominującą opozycję „spokojny, ułożony, demokratyczny Zachód – dziki, nieprzewidywalny, antydemokratyczny Wschód".

Przykładem może być jej mobilna praca *Osobista tarcza*, która powstała w 2011 roku podczas rezydencji w Zurychu. Artystka zainspirowała się niskim płotkiem w centrum miasta. Konwencjonalność tej przegrody, jej osadzenie w umowie społecznej – nie przekraczamy tego płotka, bo tak się umówiliśmy, a nie dlatego, że nie jesteśmy w stanie – doprowadziła do powstania przenośnego wariantu ogrodzenia. Artystka wykonała go z metalu, dorobiła kółka i wyposażyła na krańcach w ostre kolce. Obiekt ten kojarzył się też z policyjnymi tarczami i tłumieniem masowych protestów z czasów pomarańczowej rewolucji. W 2011 roku u władzy był już Wiktor Janukowycz, który pełną parą wasalizował wszystkie urzędy publiczne, czemu towarzyszyła brutalność policji i jej bezkarność. Artystka, połączywszy perspektywę Szwajcarii i Ukrainy, zbudowała obiekt ochrony indywidualnej. Konwencjonalność drewnianego płotka została w humorystyczny sposób wzmocniona trwałym materiałem i kolcami. Łada Nakoneczna nie pominęła też faktu, że znacznie tańsze będzie wykonanie tego obiektu w Ukrainie. Koszty transportu przez ponad dwa tysiące kilometrów nie zmieniły tego faktu.

Negocjacje i praca

Jedna z najbardziej dramatycznych prac Łady Nakonecznej nosi tytuł *Stół negocjacji* i powstała w roku 2014. To prosta instalacja – na drewnianym stole w kręgu

eprasa.pl 341d6b84b9

ustawione są ramki z fotografiami pobitych osób. Artystka nie precyzuje, co stanowiło przyczynę pobicia, ale w kontekście ówczesnej sytuacji nie ma raczej wątpliwości, że były to pobicia obywateli i obywatelek przez przedstawicieli władzy. Znowu abstrakcyjna zasada tym razem reprezentacji i bezpośrednich środków przymusu zmaterializowała się w podbitym oku obywatela i w tym, że jego/jej siniak nie stanie się tematem rozmów na wysokim szczeblu. Komunikat nie zostaje domknięty. Artystka wcale nie proponuje lepszego rozwiązania, na przykład ekonomicznej wyceny siniaków i próby ich rekompensaty, chociaż na dobrą sprawę dałoby się wyliczyć, ile kosztuje uderzenie obywatelki/obywatela, które wszak finansowane zostaje z podatków. Dałoby się też wyliczyć koszty leczenia ciała i zranionej psychiki. I na przykład koszty pracy, która nie zostaje przez pobitego/pobitą wykonana, bo ten/ta musi się leczyć. Myślę tu też o sytuacji w Polsce i działaniach władzy wobec protestujących obywatelek i obywateli. Może dałoby się też przeliczyć, na ile przemoc wobec obywatelek i obywateli wzmacnia pozycję negocjacyjną władzy. Uważam, że *Stół negocjacji* zbudował przestrzeń, która aktualizuje te specyficzne układy i pozornie niezbędne pominięcia. Judith Lewis Herman, psycholożka od wielu lat badająca przemoc i pozycję ofiar, pisze, że świadkowie okrutnych wydarzeń mogą identyfikować się z ofiarami, kiedy ich cierpienie jest spowodowane klęską żywiołową, a kiedy sprawcą jest drugi człowiek, obserwator/obserwatorka zostaje uwikłany w konflikt sprawca–ofiara. Wówczas łatwiej jest mu stanąć po stronie sprawcy wymagającego jedynie zaniechania. Tymczasem ofiara domaga się wzięcia na siebie części jej cierpienia. „Ofiara żąda działania, zaangażowania i pamięci”[1]. Przy *Stole negocjacyjnym* nie ma figury sprawcy, ale siniaki nie są spowodowane katastrofą naturalną. Zakłócenie tradycyjnych pól reprezentacji nie pozwala wygodnie umościć się w wyrobionej opinii.

Sztuka Łady Nakonecznej sprawia wrażenie oszczędnej. Jej język wizualny tworzony jest w oparciu o różne media. Pochodzenie materiałów, sposób wykonania pracy i kontekst miejsca także mają znaczenie.

Nie sposób wskazać też sprawcy rażącej dysproporcji wartości tej samej pracy w zależności od obywatelstwa czy też lokalizacji. Kontynuowana od 2010 roku seria „Pocztówki” to efekt rysowania krajobrazów przez mniej więcej osiem–dziewięć godzin dziennie, a następnie ich wycena zgodnie ze średnią płacą za godzinę w danym kraju. Osiem godzin pracy w Szwajcarii to 315 franków, a na Ukrainie

[1] Judith Lewis Herman, *Trauma and recovery: the aftermath of violence – from domestic abuse to political terror*, New York 1992.

eprasa.pl 341d6b84b9

104 hrywny, czyli mniej niż 5 franków. Dobrobyt jednych społeczeństw ściśle wiąże się z biedą innych. Praca i zasoby są na Wschodzie tańsze. Ową nierówność widzę jako składową dobrobytu i spokoju krajów zachodnich. Przyglądanie się panującemu konsensusowi z podejrzliwością, snop światła rzucony na niemożliwe do odrobienia straty to sposób, w jaki artystka dotyka kluczowych konfliktów i sprzeczności organizujących współczesność.

Perspektywa/sposób patrzenia

Wiele prac Łady Nakonecznej łączy ogląd nurtującej ją w danym momencie sytuacji z możliwościami, które wynikają z warsztatu artystki. I tak w roku 2009 podczas kryzysu instytucjonalnego, który doprowadził do wyprowadzenia, a następnie dalszej marginalizacji Centrum Sztuki Współczesnej działającego przy Narodowym Uniwersytecie Akademia Kijowsko-Mohylańska, pokryła ołówkowym freskiem ściany przestrzeni wystawienniczej Korpusu Staroakademickiego, w których CSW działało w latach 1995–2008. Odręczna interwencja – wynik ciężkiej dwutygodniowej pracy – niwelowała różnicę między wyglądem ściany w kręgu światła i poza nim. Czas, praca, zanikanie odrębności było pożegnaniem cenionej instytucji, która traciła pozycję ze względu na wycofanie finansowania przez Open Society Foundation. Realizowana w latach 2009–2015 instalacja *Trzy punkty widzenia wspólnego pola i trzy możliwości jego kupna* po raz pierwszy przedstawiona została w Pinchuk Art Centrum. Rysunki na ścianach, lustrzane odbicia i wydruki, które pokazywały różne możliwości budowania iluzji i manipulowania obrazem problematyzowały nie tyle bezsporny fakt rabunkowej prywatyzacji państwowych zasobów Ukrainy od chwili jej wyjścia ze składu ZSRR, ile różne sposoby osadzania tego procesu w dyskursie publicznym. Miejsce opuszczone przez George'a Sorosa zajął Wiktor Pinczuk.

Praca z roku 2019 *Historyczne obrazy współczesnych ruin* pokazująca w romantycznej manierze budynki z czasów radzieckich zniszczone w wojnie toczącej się we wschodniej Ukrainie dotykają podobnego problemu, a mianowicie reprezentacji brutalnej rzeczywistości, tym razem teatru działań zbrojnych. Instalacja składająca się z kamieni, które zostały owinięte w ozdobnie zaprojektowane papiery, na których ornamentem są słowa używane do opisywania mężczyzn walczących w Donbasie – bojownik, terrorysta, patriota, neonazista, separatysta, najemnik – jest wariacją na temat różnych narracji wyrastających z wydawałoby się dość oczywistego podłoża, a mianowicie działań Rosji, która destabilizuje europejskie dążenia Ukrainy, wzniecając konflikt na jej granicach, podobnie jak zrobiła to we wszystkich krajach mających aspirację do innej niż dyktowana przez Rosję geopolityki. Spójrzmy

eprasa.pl 341d6b84b9

na Górski Karabach, Osetię, Naddniestrze. Białoruś nie ma nawet granicy z Rosją, co wystarczy, żeby ograniczyć jej możliwości w dziedzinie samodzielnej polityki międzynarodowej.

Słowo o Polsce

Do Ukrainy często jeżdżono budować projekty, w których dzielnie tropiono rudymenty ZSRR, różne archaiczne pozostałości, a także porywające serce protesty społeczne, szczodrze udzielając wskazówek co do budowania społeczeństwa obywatelskiego. Jakie to wszystko zdawało się interesujące i pełne możliwości, otwarte na korekty z perspektywy naszej dojrzałej demokracji! Zwykle miałam niejasne poczucie nieadekwatności wobec orientalizowania kultury i społeczeństwa tego kraju przez turystów szukających czegoś, co ich zadziwi, albo czegoś, co można ulepszyć. Być może dlatego tak mnie cieszyły projekty Łady Nakonecznej realizowane w Polsce, które pokazywały jej zdziwienia Polską. Wobec nas też może być zastosowany podróżniczy, zewnętrzny typ spojrzenia. Jej rezydencja na przełomie 2012 i 2013 roku w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski zaowocowała pomysłem, którego nie udało się zrealizować. Artystka chciała na wejściu do instytucji umieścić napis, dopełniając wiele obiecujące „*Welcome*" frazą „*if you can fit in*", która uwidoczniała i strukturalne, i wewnątrzpolityczne ograniczenia ekspresji artystycznej zaproszonych gości. Podczas realizacji pawilonu Rikrita Tiravaniji w ramach festiwalu Green Jazdów zauważyła, że festyn Zielonego Jazdowa jest tylko dla klasy średniej, a przy stołach do zbiorowej i pozornie demokratycznej rekreacji nie mogą zasiąść robotnicy z Ukrainy, którzy jako tania siła robocza (tańsza niż pracownicy fizyczni z Polski, którzy wyjechali za chlebem) pracowali nad wykończeniem sąsiedzkiego budynku Laboratorium mającego w zamierzeniu gościć eksperymentalne praktyki performatywne. Przyjmując rolę artystki ze Wschodu, wypiła butelkę wódki w performansie *Drinking a bottle of vodka alone in the park surrounding the CCA Ujazdowski Castle, opposite to the pavilion of Rikrit Tiravanija, during summer festival Green Jazdów*.

Rezydencja w Poznaniu ufundowana przez Stowarzyszenie Wielka19 w roku 2020 przyniosła realizacje na temat protestów kobiet. Obserwowała je przecież zaprawiona w akcjach protestu artystka. Jej projekt polegał na propozycji możliwego pomnika Strajku Kobiet. Na pomniku wypisała najczęściej pojawiające się w polskich mediach frazy opisujące protesty kobiet przeciwko decyzji Trybunału Konstytucyjnego o zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego. Równolegle snuła refleksje nad pomnikami Poznańskiego Czerwca 1953 i Bohaterów Ziemi Białostockiej w Białymstoku. Władze samorządowe zdecydowały się na doklejenie skrzydlatych fraz „Bóg,

eprasa.pl 341d6b84b9

Honor, Ojczyzna", żeby sprofilować wydarzenia historyczne, które pierwotnie miały zupełnie inną wymowę, w odpowiedni sposób do aktualnie normatywnego polskiego dyskursu.

***

Sztuka Łady Nakonecznej daleka jest od spektakularności, chwytów mających dostarczyć widzom rozrywki. Nie rozdrabnia się na ornamenty i zabawy. Jej projekty dotyczą sposobów organizowania wizerunku otaczającej nas rzeczywistości, manipulują naszym spojrzeniem i stanowią pogłębioną refleksję nad systemami komunikacji. Artystka nie kopiuje zachodnich rozwiązań ani nie uprawia radzieckiej nostalgii. To sztuka naszych czasów, w których niezbędna jest praca nad zasadą ograniczonego zaufania.

eprasa.pl 341d6b84b9

Drugiego razu nie będzie

Z Natałką Babiną, białoruską pisarką, dziennikarką i działaczką społeczną, rozmawia Marta Jaroszewicz

MARTA JAROSZEWICZ: Zacznę od banalnego pytania, ale myślę, że jest ono uzasadnione. Pani najnowsza powieść *Bodaj Budka* jest brawurowa, wielogatunkowa, gęsta w treści, można powiedzieć, że postmodernistyczna. O czym jest ta książka? Jak Pani przedstawiłaby ją polskiemu czytelnikowi?

NATAŁKA BABINA: Autorce zawsze trudno odpowiedzieć na to pytanie, a przynajmniej ja mam z tym trudności. Wiem z doświadczenia, że w przypadku takich tekstów jak mój, tekstów otwartych, zakładam jeden sens, ale czytelnicy przyjmują je zupełnie inaczej. Książkę *Bodaj Budka* pisałam z jednym prostym przesłaniem: chciałam pokazać, że u nas w Białorusi jest region brzeski[1], gdzie ludzie mówią po ukraińsku. Dlatego, że w moim kraju ludzie nie wierzą lub nie chcą wierzyć, że tak jest. Dlaczego to dla mnie ważne? Wydawałoby się, że obecnie w epoce globalizacji nie należy już tak akcentować kwestii etnicznych. Po co się „grzebać" w temacie narodowym, etnicznym, który przyniósł tyle wojen? Nie mam na to prostej odpowiedzi. Ale książka ta powstała, dlatego że moja własna historia, historia mojego życia, opiera się właśnie na poszukiwaniu korzeni etnicznych.

Wiele lat temu, bodajże w 2014 lub 2015 roku, mówiła Pani, że chodzi Pani po głowie ta książka. Ale *Bodaj Budka* ukazała się dopiero w 2019 roku. Kiedy i w jakich okolicznościach Pani ją napisała? Jak to się stało, że powieść wreszcie się zmaterializowała?

Piszę bardzo wolno. Mam w dorobku zaledwie trzy książki. Nigdy nie zakładam, ile i kiedy napiszę. Poza tym ja nie tworzę racjonalnie, lecz emocjonalnie. Pisanie to dla mnie wystrzał z pistoletu. Myślałam o tej książce wiele lat. Nie sporządzam na początku planu, jak robi to wielu pisarzy. Po prostu rodzą się w mojej głowie zdania. Także ostatecznie powieść skończyłam w 2019 roku, ale przed pandemią, przed wszystkimi wydarzeniami w Białorusi. I tak zaczęła się dalsza dro-

[1] Region brzeski, będący częścią Polesia, ma specyficzną historię. Ludność zachowywała różnorodne tradycje etniczne i językowe pogranicza białorusko-ukraińskiego. Jednocześnie traktowana jako ludność „przednarodowa" w XX wieku podlegała intensywnym agitacjom ze strony elit narodowych. Jak pisze Paweł Abłamski, w trakcie istnienia II RP „na Polesiu zbiegały się interesy wielu z nich: białoruskiego, polskiego, rosyjskiego oraz ukraińskiego.

eprasa.pl 341d6b84b9

ga tej książki. Na początku ukazała się w Białorusi, Ukrainie i Polsce. Co ciekawe, teraz książka żyje własnym życiem. Wielu czytelników uznaje ją za przepowiednię, alegorię tego, co się teraz dzieje w Białorusi. Zawsze mówiłam, że jeśli to była alegoria, to stało się to zupełnie przypadkowo. Cały czas patrzę na wydarzenia w moim kraju z przestrachem, nie pomyślałabym nigdy, że sytuacja może zajść tak daleko. Jedna młoda czytelniczka, która przeczytała moją książkę, napisała na Facebooku, że ta „siła zła", Atygomonowie, to są funkcjonariusze białoruskiego OMON-u.

Jak ta książka odnosi się do wcześniejszej powieści *Miasto ryb*, swego czasu bardzo popularnej w Polsce?

Powieść *Miasto ryb* powstała po wyborach prezydenckich w 2006 roku. Do napisania tej książki skłoniło mnie aresztowanie mojego brata. Zrozumiałam, jak to wszystko jest niesprawiedliwe i grubymi nićmi szyte. I Ałka Babylowa, główna bohaterka obydwu książek, ze wszystkimi swoimi niedostatkami i słabościami, była mi bardzo bliska i postanowiłam ją uczynić także bohaterką drugiej książki. Ale nie jest to kontynuacja poprzedniej powieści. Jest to raczej seria z dwóch powieści.

Dlaczego ta ukraińskość regionu brzeskiego (szerzej Polesia) jest aż tak ważna?

Zawsze mnie w regionie brzeskim zasmucała obojętność wobec korzeni narodowych; faktu, że cywilizcja, która odchodzi, nie stanowi dużej wartości społecznej. Ale nie mogę powiedzieć, że moja powieść zupełnie nie wywołała odzewu społecznego w regionie brzeskim. Otrzymałam brzeską premię dla pisarzy tworzących w języku ukraińskim i jest to dla mnie bardzo ważne. Poza tym moja powieść stała się temat przewodnim artykułów naukowych napisanych przez ukraińskich dialektologów, którzy przeczytali te książki z ołówkiem w ręku. Bo choć powieść jest napisana literackim językiem ukraińskim, to zauważyli wiele unikatowych dialektyzmów.

Dwie poprzednie powieści napisałam po białorusku, ale trzecią już po ukraińsku. Chciałam przedłużyć przedwojenną tradycję ukraińskiej literatury w tym regionie. Ale choć jest to język, którym rozmawiałam w domu, nigdy się go nie uczyłam. W Białorusi nie ma ani jednej szkoły, gdzie ukraiński jest wykładany, chociażby jako język fakultatywny, mimo że około miliona osób (teraz trochę mniej) porozumiewa się dialektami ukraińskiego. Nauczyłam się języka ukraińskiego sama, mało tego – mnie i moim przyjaciołom udało się zorganizować kursy ukraińskiego w Mińsku czy Brześciu. Chcę zwrócić szczególną uwagę na pracę polskiej tłumaczki Anny Korzeniewskiej-Bihun. Jestem zachwycona, jak finezyjnie, jak wielowymiarowo oddała ona warstwę językową książki.

Rozumiem oczywiście Pani podejście i misję życiową. Szanuję Pani

eprasa.pl 341d6b84b9

wytrwałość w promowaniu wyznawanych wartości. Chciałam jednak zapytać, czy i w jakim stopniu uważa Pani, że Białoruś, która ma tak wielkie problemy z utrzymaniem tożsamości białoruskiej, ma możliwość lub komfort większego otwarcia się na kultywowanie tradycji mniejszości narodowych? I drugie, powiązane, pytanie. Czy sądzi Pani, że to naturalne, że na pograniczu nie ma jasnych linii podziału grup etnicznych, że funkcjonuje wiele przecinających się wymiarów tożsamości narodowych czy językowych – i dobrze, bo dzięki temu te grupy mogą pokojowo koegzystować?

Nie jestem absolutnie maniaczką idei narodowej, doceniam wartości globalne i zalety współczesności. Jednak uważam, że dla współczesnej Białorusi życiowo ważne jest utrzymanie i zrozumienie tożsamości polskiej, tatarskiej, litewskiej i przede wszystkim ukraińskiej tożsamości i kultury. Siłą białoruskiej kultury jest ta różnorodność, czerpanie z innych kultur. Należy pamiętać, że białoruska kultura nie może oswoić wszystkich połaci naszego kraju, tak jak nie może tego uczynić kultura rosyjska. Także jeśli nie będzie się sprzyjać rozwojowi kultur mniejszości, to te społeczności zostaną zrusyfikowane. Ponadto, czy tak naprawdę takie pokojowe współistnienie i wzajemne wzbogacanie się są możliwe? Jeśli spojrzymy na polskie Podlasie, to widać wyraźnie, że dla coraz mniejszej grupy osób kultywowanie tradycji ukraińskiej czy białoruskiej stanowi jakąś wartość. Po naszej stronie granicy ukraińskość jest wypierana nie tyle przez białoruską, ile rosyjską tożsamość. Jeśli odmówić sobie wymiaru narodowego, może nie będzie wojen, ale może spotkać nas coś jeszcze gorszego. Dla mnie tożsamość narodowa jest bardzo cenna. Staram się opisać w swojej książce, jak mądrze kultywować tożsamość narodową.

Zastanawiam, czytając tę książkę, dlaczego Pani używa tak wyrazistych środków wyrazu, tak wielu gatunków, jak horror, groteska, fantastyka?

Każdy pisarz ma swój styl. Ja lubię wyrazistą literaturę. Książka powinna mieć ostrą fabułę. Literatura powinna chwytać. Gdzieś czytelnicy zobaczą elementy horroru, gdzieniegdzie się uśmiechną. To jest styl Natałki Babiny. Teraz z kolei w życiu, na jawie, czuję się jak w powieści Stephena Kinga, gdzie obserwujemy okrutną walkę dobra ze złem, i czekam, kto wygra i boję się, kto może wygrać.

Dla mnie bardzo ważnym tematem jest także rola kobiet w społeczeństwach Europy Wschodniej. Podobała mi się w Pani książce ta pewna wewnętrzna sprzeczność. Z jednej strony w społeczeństwach tradycyjnych, które Pani przywołuje, kobiety żyły jednak w układzie patriarchalnym. Z drugiej strony w Pani powieści to główna bohaterka, kobieta, odgrywa rolę globalną, w sumie ratuje świat przed złem.

eprasa.pl 341d6b84b9

Z jednej strony nie mogłam napisać innej książki, bo jestem kobietą. Ale z drugiej strony nie lubię o tym rozprawiać. To dla mnie oczywiste, jestem kobietą, więc jest mi to bliższe. Ale nie dzielę ludzi według płci. Kiedyś białoruska feministka Elena Gapowa, mieszkająca w USA, powiedziała, że *Miasto ryb* to powieść feministyczna. Nie wiem. Jednak kobiety rzeczywiście odgrywają ogromną rolę we współczesnej Białorusi, to im udało się zatrzymać tę falę agresji. Żylibyśmy dzisiaj jeszcze w gorszym kraju, jeśli kobiety nie wyszłyby masowo podczas białoruskiej „rewolucji" lub „ewolucji", jakkolwiek by nazwać wydarzenia z lata 2020 roku. Chcę wspomnieć o mojej sąsiadce Oldze Zołotariew, matce pięciorga dzieci. Została zatrzymana pod zarzutem ekstremizmu. Siedziała w komisji wyborczej, a potem organizowała „ekstremistyczne" wydarzenie: „herbatki" dla sąsiadów. W areszcie bito ją i duszono, ale nie zdecydowała się współpracować ze śledczymi. Proszę o niej wspomnieć. To nie tak miało być, ale w porównaniu z realnymi ludźmi bohaterki mojej książki wydają mi się teraz mniej interesujące.

I na koniec. Jakie ma Pani plany na przyszłość?

Zaczęłam pisać nową powieść. Ale ona będzie zupełnie inna. Półtora roku obecnych wydarzeń mną wstrząsnęło. I choć temat narodowy zawsze był mi bardzo bliski, nowa książka już o tym nie będzie. Do 2020 roku mogłam pisać tylko o swojej małej ojczyźnie, o swoich krajanach, z którymi wyrastałam w dzieciństwie. Myślałam o tym, jak zachować naszą minicywilizację. Ale teraz chcę pojąć także inne aspekty życia.

Te ogromne marsze, które tu przeżyliśmy, były pokojowe i pozytywne. Jednak gdzieś czegoś nie dopilnowaliśmy. Może Białorusini byli zbyt naiwni, uznali, że jeśli pokażą swoją jedność przeciwko reżimowi, to wystarczy, żeby przywrócić sprawiedliwość. Czy protesty się skończyły? Uważam, że przeszły w inną formę, zyskały nowy wymiar. Szczególnie interesuje mnie mentalność funkcjonariuszy reżimu, z którymi ostatnio miałam okazję często się spotykać, oraz rys psychologiczny społeczeństwa białoruskiego. Myślę, że o tym będzie moja nowa książka. Obecnie w Białorusi wykorzystywano wyrafinowany aparat represji – pobicia, znęcanie się. Więźniom nie przekazuje się paczek ani listów. Władze chcą, by ludzie czuli się osamotnieni. Mimo że to okropne doświadczenia, głęboko wierzę, że podniosą poziom świadomości naszego społeczeństwa. To, przez co przeszliśmy, powoduje, że nie damy się po raz drugi poddać czarowi populizmu.

Natałka Babina jest autorką bestsellerowej powieści *Miasto ryb* (Poznań 2010), w 2011 roku nominowanej do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus", oraz *Bodaj Budka* (2019).

eprasa.pl 341d6b84b9

Lwów na ucho

Z Tarasem Nazarukiem, koordynatorem projektu *Interaktywny Lwów*, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: W kwietniu 2020 roku zainicjował Pan stworzenie projektu dotyczącego brzmienia miasta – *Dźwiękowy krajobraz Lwowa*. Był to czas wprowadzenia pierwszych obostrzeń związanych z pandemią koronawirusa, wtedy miasta zamilkły, zmieniła się rzeczywistość, także w sferze audialnej. Skąd więc pomysł, by nagrywać, rejestrować miasto w tych niezwykłych okolicznościach?

TARAS NAZARUK: Można powiedzieć, że projekt stworzenia *soundscape*'u Lwowa jest bezpośrednią reakcją, odpowiedzią na sytuację pandemii. Pracuję w Centrum Historii Miejskiej Europy Środkowo-Wschodniej. To instytucja akademicka koncentrująca się na historii regionu. Zależy nam na tym, by nie zrywać kontaktu z miastem jako organizmem, także w czasie tak wyjątkowym chcieliśmy być częścią dyskusji, która wtedy przetaczała się przez świat, zastanawialiśmy się, jak możemy zareagować na aktualne wydarzenia.

Zainicjowaliśmy wtedy *Archiwum 404*. Tytuł tego projektu, którego pomysłodawczynią jest Natalia Otriszczenko, nawiązuje do błędu w przeglądarkach internetowych, ale to także data jego powstania – 4 kwietnia. Chcieliśmy zarchiwizować i udokumentować doświadczenie kwarantanny, lockdownu, czyli czasu ograniczonej mobilności, pracy i nauki zdalnej, a w konsekwencji bardzo drastycznej zmiany relacji społecznych. Mieszkańcy Lwowa nadsyłali nam zdjęcia, nagrania wideo, literackie refleksje…

Wtedy zrodził się pomysł, by nagrywać brzmienie Lwowa?

W Centrum zwracamy uwagę na temat sensoryczności, zmysłów, ale największą częścią naszej aktywności pozostawała analiza kultury wizualnej. Mieliśmy na pewno mniejsze doświadczenie w badaniach nad dźwiękiem, dlatego też zdecydowaliśmy, że to najlepszy czas, by się tym zagadnieniem zająć. Dźwięk miasta w czasie lockdownu był zupełnie inny od tego, który znaliśmy dotychczas – udokumentowanie brzmienia Lwowa stało się dla nas niezwykle ważne, bo zrozumieliśmy, że to stan wyjątkowy, niespotykany, który przeminie. Pomyśleliśmy, że może badania dadzą nam wyobrażenie o tym, czym może być w ogóle lwowski *soundscape*.

W pracach dotyczących archeologii dźwięku można przeczytać, że to właśnie dźwięk jest narzędziem diagnostycznym.

eprasa.pl 341d6b84b9

Na przykład mechanik po tym, jak brzmi samochód, może stwierdzić, co się zepsuło. W naszym przypadku dźwięk także okazał się narzędziem diagnozy miasta, jego funkcjonowania w tym konkretnym momencie. Dźwiękowa perspektywa była silnie odczuwalna i zależało nam, by ją uwiecznić.

W jaki sposób rejestrowaliście dźwięki?

Robiliśmy to razem z kolegami i koleżankami z Centrum. Przyjęliśmy system dwukrotnego nagrywania na dyktafon danego miejsca (w momencie największej aktywności miasta około południa i najmniejszej, czyli wieczorem lub rano). Każda osoba, która sporządzała nagranie (nie powinno trwać krócej niż pięć minut), opatrywała je krótkim komentarzem obejmującym pracę wszystkich zmysłów, czyli mówiła, co widzi, jakie zapachy czuje, uwzględniała także wymiar taktylny, czyli jaka jest temperatura, siła wiatru itd. Rejestrowaliśmy brzmienie ulic, transportu miejskiego, przystanków autobusowych, parków, skwerów, placówek medycznych i oświatowych, obiektów sakralnych i przedsiębiorstw. To duża różnica w kontekście dostępnych materiałów wizualnych, na jednym zdjęciu można uchwycić panoramę miasta. Staraliśmy się wyłowić szczegóły, które składają się na audialny krajobraz. Zależało nam na tym, żeby te nagrania można było skonfrontować w dłuższej perspektywie. Projekt się jeszcze nie skończył. Udokumentowaliśmy tylko fragment rzeczywistości.

A co najbardziej rzucało się w… uszy?

Cisza. To chyba najbardziej drastyczna zmiana. W mieście po prostu zrobiło się ciszej.

Czyli dokumentowaliście Państwo ciszę.

I tak, i nie. W niektórych miastach działają instytucje, które zajmują się zabrudzeniem hałasem (*noise pollution*). Mierzą decybele, określają normy. W tym kontekście bardzo przydała nam się praca Raymonda Murraya Schafera, który w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku wykształcił pojęcie „pejzaż dźwiękowy". W 1969 roku rozpoczął działania mające na celu ustanowienie World Soundscape Project, który działa do dziś. Początkowym zadaniem grupy badawczej Schafera był opis i analiza relacji człowieka ze środowiskiem dźwiękowym, mające na celu stworzenie bazy, którą można by wykorzystywać w próbach ograniczenia zanieczyszczenia dźwiękowego. Schafer mówi także o ogólnym huku miasta, czyli takim zestawie dźwięków, którego nie zauważamy i nauczyliśmy się go ignorować. Ale każde miasto ma swój niepowtarzalny huk. Kiedy wchodzimy na Wysoki Zamek we Lwowie, słyszymy ten niepodrabialny lwowski szum, na który składa się na przykład transport prywatny lub publiczny. W czasie kwarantanny go zabrało. Miasto zamilkło.

Jak brzmi Lwów pozbawiony swojego charakterystycznego hałasu?

eprasa.pl 341d6b84b9

Nagrywaliśmy wiosną, więc zarejestrowaliśmy śpiew ptaków w parkach. Rozmawialiśmy też z ornitologami, którzy mówili, co ptaki komunikują. Ciekawym momentem jest wyłączenie ze strefy audialnej samochodów, transportu, wtedy na pierwszy plan wyłaniają się na przykład rozmowy mieszkańców, nie turystów, bo wtedy ich tu nie było. Udało nam się na przykład zarejestrować pasące się i gryzące trawę konie w Parku Krajobrazowym Zniesienie.

Wyjątkowym momentem okazała się także sytuacja, w której wspólnota Emaus rozdawała obiady potrzebującym przy Baszcie Prochowej. Nawet w czasie lockdownu nie zawiesili działalności i co czwartek dostarczali jedzenie. W czasie dystansu i największych obostrzeń to okazało się niezwykłym doświadczeniem. Takie zgromadzenie ludzi nie było wtedy codziennym widokiem.

Z kolei nagrywanie pustego dworca kolejowego we Lwowie, bez dźwięku pociągów, ludzi rozmawiających, pospieszających się wzajemnie, ciągnących walizki, komunikatów z megafonów sprawiło, że zacząłem zadawać sobie pytania o brzmienia miasta z przeszłości. Jak dokonywać tej retrospekcji miasta z przeszłości?

Pewnie nie ma zbyt wielu dźwiękowych archiwów i dokumentów, które można porównać z tym, co mamy do dyspozycji dzisiaj.

To prawda, ale z pomocą może przyjść na przykład poezja modernistyczna czy awangardowa. Mistrzostwo osiągał w tym Julian Przyboś albo na przykład Bohdan Ihor Antonycz. To nie jest bezpośrednia dokumentacja, ale może dawać jakiś ogląd brzmienia i reakcji miasta na procesy urbanizacyjne.

Podczas tworzenia jednej z map miasta znaleźliśmy fotografię z Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie z 1894 roku, na której widać cesarza Franciszka Józefa I i księcia Adama Sapiehę przed pawilonem w Parku Stryjskim, w którym został zaprezentowany fonograf Edisona. To jedno z pierwszych urządzeń do zapisu i odtwarzania dźwięku. Podobno fonograf jest poprzednikiem gramofonu, został opatentowany w 1878 roku. Zdobył bardzo dużą popularność w Europie.

Wiele informacji dotyczących dźwięków miasta pochodzi z prasy. Na przykład w międzywojennym czasopiśmie „Chwila" 17 września 1931 roku opublikowano artykuł mówiący o tym, że w stolicach europejskich: Berlinie, Londynie i Paryżu, robi się coraz ciszej. Skoro opublikowano takie wieści we Lwowie, to znaczy, że problem hałasu nie był obcy także lwowianom. Efektem modernizacji okazał się wzmożony szum, wtedy należało się z nim uporać. W tym samym wydaniu „Chwili" można przeczytać, że w Berlinie wprowadzono regulacje dotyczące reklam dźwiękowych. Dziś widzimy podobne zabiegi w sferze na przykład reklam w mieście i w uporządkowaniu problemu chaosu wizualnego. Okazuje się, że dziewięćdziesiąt lat temu problem stanowiła strefa audialna. To podejście do dźwię-

eprasa.pl 341d6b84b9

ków sprzed prawie wieku wpływa na nasze myślenie o nim dzisiaj.

Wróćmy do Lwowa. To miasto jest fenomenem literackim. Nie będę wymieniać wszystkich nazwisk osób, które o Lwowie pisały z większym lub mniejszym sentymentem. Lwów to także fenomen architektoniczny, wizualny. Miasto najeżone symbolami: Opera, Wysoki Zamek, Cmentarz Łyczakowski... A w kontekście prowadzonego przez Pana projektu zastanawiam się, czy istnieje jakiś unikatowy dźwięk Lwowa. Zapytam wprost: jaki dźwięk charakteryzuje Lwów?

To trudne pytanie, bo w centrum moich zainteresowań pozostaje dźwięk jako miejski fenomen, ale jeśli miałbym wskazać dźwięk unikatowy dla Lwowa, to może powiedziałbym o odgłosie dróg pokrytych kostką brukową (po ukraińsku *brukiwką*). Oczywiście kostka brukowa to nie jest symbol wyłącznie Lwowa, ale na pewno generuje ona specyficzny rodzaj brzmienia, a także sprzyja powstawaniu kolejnych dźwięków, bo wpływa na komfort życia mieszkańców, na zabudowę. We Lwowie główne ulice, trajektorie miejskie pokryte są *brukiwką*. To dla jednych dziedzictwo historyczne, dla innych utrapienie, ale pozostawmy ten temat na inną okazję.

Taras Nazaruk jest pracownikiem Centrum Historii Miejskiej Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie od 2016 roku koordynuje projekt *Interaktywny Lwów*. Absolwent projektowania komunikacji i dziennikarstwa. Współautor projektu *Verify*.

eprasa.pl 341d6b84b9

Niechęć do Rosji mamy w DNA

Z profesorem Andrzejem Chwalbą rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: Pretekstem do naszej rozmowy jest książka pod tytułem *Polska–Rosja. Historia obsesji, obsesja historii* autorstwa Pana Profesora i Wojciecha Harpuli. Skąd pomysł na tę publikację?

ANDRZEJ CHWALBA: Inicjatywa wyszła ze strony Wydawnictwa Literackiego. Nasza poprzednia książka *Zwrotnice dziejów. Alternatywne historie Polski* okazała się sukcesem, stąd pomysł na kolejne przedsięwzięcie w formie zapisu rozmowy. Od dawna myślałem o książce na temat Rosji ze względu na swoje zainteresowania, ale także na wagę naszego sąsiedztwa. Tytuł zaproponował redaktor Harpula. Naszym zamysłem było przedstawienie nie tylko polskiej perspektywy, ale także perspektywy rosyjskiej. Książka miała pokazać, jak rosyjska klasa polityczna przez wieki reagowała na impulsy Wielkiego Księstwa Litewskiego, Korony, a później Rzeczpospolitej.

Zanim przejdziemy do tytułowych obsesji, chciałabym powiedzieć, że zaskoczyło mnie odczarowanie mitów narodowych, jakiego Panowie dokonali na kartach omawianej książki. Kilka wątków może zaskoczyć tych, którzy dobrze pamiętają szkolne lekcje historii. Czy to było zamierzone?

Te wątki były poruszane już wcześniej. Na przykład oceny polityki wielkiego księcia Konstantego, Królestwa Kongresowego, Nowosilcowa czy polskich romantyków przygotowujących powstanie listopadowe pojawiły się w podręczniku akademickim *Historia Polski 1795–1918* mojego autorstwa. Uznaliśmy, że dzieje relacji między Polską i Rosją będziemy opowiadać – zgodnie z tym, jak powinni robić to historycy – na podstawie źródeł z obu stron. Celem omawianej książki nie było krytyczne spojrzenie na historię Polski, ale zaprezentowanie tego, jak my to widzimy, a że w kilku kwestiach nie pokrywa się ono z powszechnym oglądem, to już inna sprawa.

Czy jest szansa na to, że kiedyś na poziomie edukacji szkolnej będziemy patrzyli na historię z różnych perspektyw?

Rolą historyka jest także ocena, nie tylko relacjonowanie i przekazywanie rzeczowych informacji na podstawie zna-

eprasa.pl 341d6b84b9

lezionych w archiwach dokumentów. O ocenę możemy się spierać. Odnośnie do oddziaływania wspomnianego podręcznika mogę dać następujący przykład. Do początku XX wieku w rozmaitych opracowaniach historycznych twierdzono, że Królestwo Polskie do 1830 roku było tworem autonomicznym. Pozwoliłem sobie to zakwestionować, dowodząc, że Królestwo było samodzielnym państwem o ograniczonej samodzielności. Mieszkańcy mieli własne paszporty, byli poddanymi polskiego króla, a nie cara rosyjskiego. Autonomia była w Galicji, ale ona była częścią Austrii, a Królestwo Polskie do 1832 roku nie było częścią Rosji. Regularnie przeglądam monografie i artykuły ukazujące się w dwóch ostatnich dekadach. Pojawia się w nich cytat lub bez cytatu podaje się, że Królestwo nie było tworem autonomicznym w ramach Rosji, ale państwem niezawisłym, w którym między innymi łamano konstytucję. Kropla drąży skałę.

Wróćmy jednak do tytułu. Czy Polska i Rosja faktycznie mają na swoim punkcie historyczne obsesje?

W rozmowie z redaktorem Harpulą pokazaliśmy asymetrie polsko-rosyjskich relacji. Polska jest jednym z wielu państw, które sąsiadują z wielką Rosją, rozciągniętą na dwóch kontynentach, zajmującą znaczną część zarówno Azji, jak i Europy. Dla imperialnej polityki rosyjskiej sąsiedztwo Polski bywało okresami kłopotliwe, ale byliśmy jednym z wielu państw, które czasami szkodziło Rosji, a czasami z nią współpracowało. Współpraca w pewnych okresach była możliwa i dla obu stron korzystna. Rosja miała w przeszłości i ma nadal potężnych sąsiadów i rywali. Niemniej zdarzają się tematy, jak choćby układ Ribbentrop–Mołotow czy zbrodnia katyńska, którym polityka rosyjska poświęca więcej uwagi. Podobnie jest w przypadku oceny roku 1944/1945: wyzwolenie czy nowa okupacja. W ocenie tych wydarzeń politycy rosyjscy zazwyczaj różnią się od polskich polityków i historyków. Tematów z dziejów polsko-rosyjskich, które szczególnie przyciągają uwagę Kremla, jest w sumie niewiele. Natomiast dla Polaków dzieje wzajemnych relacji są sprawą numer jeden, poczynając od XVI i XVII wieku. W okresie rozbiorów Rosja zajęła ponad 80 procent terytorium Rzeczpospolitej. Najsilniejsze ośrodki polityczne, gospodarcze, intelektualne dawnego państwa polsko-litewskiego znalazły się pod panowaniem Romanowów. Powstania, od kościuszkowskiego poczynając, były kierowane przeciwko Rosji. Konsekwencją zrywów były represje, które napędzały wyobrażenia o odwiecznym wrogu – Rosji. Dwudziestowieczne doświadczenia, mordowanie jeńców w latach 1919–1920, przebieg wojny polsko-bolszewickiej, zbrodnia katyńska i zniewolenie Polski po 1945 roku – wszystko to sprawiło, że czuliśmy ciężar rosyjskiego, a potem sowieckiego buta. Cały czas wzrok Polski był kierowany na wschód. W ramach przeciwwagi mieliśmy także drugiego przeciwnika, który pojawił

eprasa.pl 341d6b84b9

się pod koniec XIX wieku – Prusy, później Niemcy.

Z Niemcami mamy jednak inne relacje.

Niemcy po 1989 roku podjęły wysiłek pojednania. W jakim stopniu jest on uczciwie prowadzony i efektywny, nad tym można dyskutować. Na pewno nie jest konsekwentny. Mimo wszystko dzięki procesowi pojednania między Niemcami a Polakami relacje się poprawiły. Nie widzimy takich prób po stronie rosyjskiej, wręcz przeciwnie – dokonywane jest zakłamywanie wszystkiego, łącznie ze zbrodnią katyńską, pozostałymi zbrodniami na wschodzie czy wywózkami w latach 1939–1941. Inicjatywy w postaci Polsko-Rosyjskiej Komisji do Spraw Trudnych czy Komisji Podręcznikowych okazały się fiaskiem. Oba te ciała są martwe, formalnie nie zostały zlikwidowane, ale dowodzą, że nie ma woli politycznej po stronie Kremla, żeby doszło do dalszych rozmów i pojednania. Gdyby nastąpiła poprawa relacji z Rosją i pojednanie, to polska opinia o Rosjanach byłaby z pewnością inna. W książce padło zdanie, że niechęć do Rosji wpisana jest w nasze DNA, mamy w tkance genetycznej stereotypowe wyobrażenie Rosjanina i Rosji jako potencjalnego agresora.

W naszej rozmowie pojawił się wątek instrumentalizacji historii. Czy tematy historyczne równie mocno rozpalają Rosjan, jak Polaków? Czy historia jest narzędziem politycznym w obu państwach?

Historia jest dla Rosjan równie ważna, co dla Polaków. Książki wydawane w Rosji, dotyczące rosyjskich dziejów, chwały oręża, carów, czasów stalinowskich czy Rosji współczesnej, sprzedają się znakomicie. Wysokich nakładów polscy autorzy mogą tylko pozazdrościć. Powszechnie Rosjanie postrzegają siebie jako odrębną kulturę i świat, na pewno nie azjatycki ani nie europejski, ale zdecydowanie antyzachodni. W swojej historii Rosja stale podkreślała, co ją wyróżnia od Zachodu, pokazywała wyjątkowość swoich dziejów, ale także najcenniejszy składnik kultury, czyli prawosławie. Państwo rosyjskie od samego początku było budowane jako imperium prawosławne. Tożsamość rosyjska opiera się na prawosławiu i przekonaniu, że katolicyzm był złym wyborem. W polskiej szkole uczy się, że w 1054 roku dokonano schizmy wschodniej, czyli prawosławni odeszli od prawdziwej wiary, są odstępcami. Natomiast w Rosji uczy się o schizmie zachodniej, czyli odejściu katolików, a później także protestantów od prawowitej wiary chrześcijańskiej. Uczy się również o polskiej okupacji Rosji i Kremla moskiewskiego. Stąd też nowe święto przypominające odbicie Moskwy przez rosyjskich powstańców, aczkolwiek, jak wykazują badania, ponad połowa Rosjan niewiele wie na temat wydarzeń z 1612 roku. Są jednak zadowoleni z dodatkowego dnia wolnego od pracy.

eprasa.pl 341d6b84b9

Janusz Jabłoński WL

Historia jest dla Rosjan równie ważna, co dla Polaków. Książki wydawane w Rosji, dotyczące rosyjskich dziejów, chwały oręża, carów, czasów stalinowskich czy Rosji współczesnej, sprzedają się znakomicie.

Na temat instrumentalizacji historii i jej roli w dziejach obu państw i narodów, co miało i ma miejsce, dyskutowano między innymi podczas polsko-rosyjskich kongresów. Debatowano również na temat wiedzy Rosjan o Polsce i jej dziejach. Wiedza studentów Moskwy i Petersburga nie budzi poważniejszych zastrzeżeń, natomiast studenci z odległych od centrali uczelni już niewiele wiedzieli o naszym kraju i naszych wzajemnych stosunkach. Podczas pierwszego kongresu wykładowczyni z Władywostoku przytoczyła badania dotyczące skojarzeń na temat Polski i Polaków, które prowadziła wśród studentów różnych kierunków. Na pytanie o polskich bohaterów znaczna część badanych nie miała żadnych skojarzeń. Ale niektórzy nawet nie słyszeli o Polakach. Byli i tacy, co odpowiadali, że takiego plemienia nie znają. Być może myśleli o zagubionym w dziejach syberyjskim plemieniu.

Kiedy rozpoczęła się rywalizacja polityczna pomiędzy państwem polskim a rosyjskim? Kiedy doszło do pierwszej próby sił?

Relacje z Rusią Kijowską mieliśmy od X wieku, ale odrębne księstwo moskiewskie powstało dopiero w połowie XIII wieku. W drugiej połowie XIV wieku dzięki podbojom księstwo moskiewskie, dodajmy lenno mongolskie, zaczęło graniczyć z Wielkim Księstwem Litewskim. Między Moskwą a Litwą doszło do walk o trwałym charakterze. Wielki książę litewski Olgierd trzykrotnie wyprawiał się na Moskwę, ale nie osiągnął sukcesu. Litwa za Witolda zamierzała kontynuować budowę wielkiego państwa skupiającego wszystkich Rusinów. Witold za zgodą Jagiełły zawarł sojusz z Mongołami przeciwko książętom moskiewskim i ich zwolennikom. Ale jego plany poległy w walce z Mongołami, którzy byli zwierzchnikami Rusi. Jednocześnie Moskwa chciała skupiać wszystkie ziemie ruskie pod swoim sztandarem. Czyli zarówno Moskwa, jak i Wilno chciały zjednoczenia Rusi. W XV wieku wojenną konfrontację Moskwy i Litwy wygrała ta pierwsza. Znakomite zwycięstwo wojsk litewskich i zaciężnych polskich pod Orszą w 1514 roku nie za bardzo zmieniło układ sił. Natomiast bezpośredni kontakt z Moskwą Korona Polska uzyskała dopiero w 1569 roku. Po unii lubelskiej Korona w ramach Rzeczpospolitej stała się wrogiem Rosji, aczkolwiek wojny z Moskwą prowadził już Zygmunt August jako władca Polski i Litwy i jako pan Inflant, które mu się wówczas poddały. Stało się tak na skutek inkorporacji do Korony ziem Ukrainy, które dotychczas należały do Litwy. To było genialne posunięcie króla Zygmunta Augusta, świadomego, że na dłuższą metę Wielkie Księstwo Litewskie nie wytrzyma naporu silniejszej Moskwy. Wspólne państwo polsko-litewskie miało powstrzymać rozpędzoną Moskwę. I zaczęło się… Korona Polska chętnie przyjęła ziemie jej darowane, ale tym samym została wplątana w konflikty: z Kozakami na południowym wschodzie, a z Moskwą na wschodzie. Od tego momentu Rzecz-

eprasa.pl 341d6b84b9

pospolita zaczęła rywalizować z Moskwą na wielkiej przestrzeni wschodu aż do rozbiorów.

Podsumowując, w XVII wieku doszło do konfrontacji i rywalizacji o wpływy w Europie Środkowo-Wschodniej między Rosją a Rzeczpospolitą, którą ostatecznie przegraliśmy w XVIII wieku.

Rzeczpospolita była wycieńczona konfliktami wewnętrznymi, konfederacjami, wojnami obozów magnackich z królem. Po potopie szwedzkim i powstaniach kozackich nie była w stanie na dłuższą metę dać odporu Moskwie. Utrata Kijowa była symboliczna dla porażki państwa polsko-litewskiego. Potem jeszcze miał miejsce traktat Grzymułtowskiego, będący ostatnim układem, w którym obie strony negocjowały jak równy z równym. Później było już tylko gorzej.

Wówczas pojawiła się też idea unii polsko-litewsko-moskiewskiej, epizod mało znany z historii stosunków polsko-rosyjskich. Może Pan wyjaśnić, na czym polegał ten koncept?

Unia polsko-litewsko-moskiewska pojawiła się z czasie dymitriad. W polskiej historii jest tematem prawie nieznanym. Ten okres kojarzy nam się z dwoma Dymitrami, Marychną Mniszkówną, dwukrotnym zajęciem Kremla, interwencją króla Zygmunta III, odbiciem Smoleńska i „hołdem ruskim", który nigdy nie miał miejsca, a stał się częścią polskiego mitu narodowego. Natomiast idea wspólnego państwa w polskiej historii nie zagościła. Spróbujmy o tym opowiedzieć. Po śmierci Iwana IV Groźnego nastała Wielka Smuta. Rosja weszła w najgorszy i najtrudniejszy okres dziejów. Wszyscy walczyli ze wszystkimi. Wtedy narodził się pomysł unii. Jego autorami byli dwaj wybitni mężowie stanu: Stanisław Żółkiewski, polityczny uczeń Jana Zamoyskiego, oraz Lew Sapieha. Obaj wierzyli w możliwość zawarcia unii Rzeczpospolitej z Moskwą. W projekcie pojawiła się oczywiście kluczowa kwestia wyznania. Uznano, że prawosławie w Rosji i katolicyzm w Koronie i na Litwie nie będą kwestionowane jako wewnętrzne sprawy. Państwa miałyby wspólnego władcę i organy władzy, podobnie jak w przypadku unii polsko-litewskiej. Przewidywano możliwość zakupu ziemi przez Polaków w Rosji, a Rosjan w Polsce. Pomysł nie spotkał się z akceptacją bojarów rosyjskich, gdyż reprezentował polski punkt widzenia, nieuwzględniający specyfiki myślenia mieszkańców Moskwy, którzy panicznie bali się o losy zarówno własne, jak i prawosławia. Bojarzy nie chcieli, aby doszło do narzucenia prawosławiu unii brzeskiej. A nie ma Rosjan i Rosji bez prawosławia. Bojarzy szczególnie obawiali się ekspansywnej polityki jezuitów i Zygmunta III, gorliwego katolika. Czyli unia nie była możliwa do zrealizowania, ale jest cennym przykładem pomysłu rozwiązania konfliktu polsko-litewsko-moskiewskiego. Dlatego też szesnastoletni Władysław, syn Zygmunta, nie mógł zostać zaakceptowany przez ogół rosyjskiej klasy politycz-

eprasa.pl 341d6b84b9

nej, gdyż jego ojciec nigdy nie zgodziłby się na przyjęcie przez niego prawosławia.

Wróćmy jeszcze do jednego ze składników będących podstawą państwa rosyjskiego, czyli do programu zbierania ziem ruskich. Po lekturze książki mam wrażenie, że to kolejna z rosyjskich obsesji – ciągnąca się od wieków i trwająca do dzisiaj.

Niespodziewanie w XIII i XIV wieku Moskwa, dzięki położeniu i zręcznej polityce miejscowych książąt, stała się znaczącym ośrodkiem politycznym. Iwan Kalita i Dymitr Doński to postaci, z którymi kojarzy się mit jednoczenia ziem ruskich. Uzyskanie przez Moskwę prawa ściągania w imieniu chanów Złotej Ordy danin na terenie Rusi uczyniło ją potężną. Za pomocą tego instrumentu wymuszano podległość na bojarach i pozostałych księstwach, stopniowo jednocząc ziemie ruskie. W 1480 roku Iwan Srogi ostatecznie podziękował Mongołom za opiekę, ogłaszając suwerenność Moskwy. Zabierając ziemie ruskie, Moskwie udało się podporządkować dwie silne republiki miejskie: Psków i Nowogród. Północne granice Nowogrodu sięgały Archangielska, czyli dostępu do morza, co bardzo wzmocniło Moskwę. Małżeństwo Iwana Srogiego z Zoe Paleolog, bratanicą Konstantego XI, ostatniego cesarza bizantyjskiego, uczyniło z Rosji spadkobierczynię tradycji Bizancjum. W Rosji pojawiło się wielu greckich mnichów, podniosła się kultura piśmiennicza, rozwinęła architektura, przejęto cesarską symbolikę imperialną – dwugłowego orła. Niebawem pojawił się mnich Filoteusz, który w słynnych listach mówił o Moskwie jako trzecim Rzymie. W związku z tym Moskwa zyskała prawo do panowania nad prawosławnymi tam, gdzie żyli w Europie. Później przez ideologię trzeciego Rzymu rozumiano prawo do dominacji w Europie i na świecie. Kiedy w 1914 roku wybuchła Wielka Wojna, Galicja Wschodnia, ostatni kęs ziem ruskich, na kilkanaście miesięcy znalazła się pod panowaniem Rosji. Wizyta cara Mikołaja II i arcybiskupa Eulogiusza we Lwowie miała przekonać Ukraińców do ponownego przyjęcia prawosławia, a Polaków do akceptacji nowej władzy. Car ogłosił, że zrealizowano cel ostateczny przodków – Rosja była wielka, bo konsekwentnie wykonywała testament sprzed kilku stuleci. Ale w 1918 roku powstały na krótko niepodległe państwa, uważane w Rosji za ruskie – Biała Ruś i Mała Ruś, w istocie Ukraina. Zdaniem Rosjan Białoruś i Ukraina były częścią wielkiego rosyjskiego oceanu. Zdanie Ukraińców i Białorusinów było odmienne. Zasadniczy wpływ miała na to kilkuwiekowa obecność Ukraińców i Białorusinów w Rzeczpospolitej, która spowodowała przenikanie się kultur, języka, tradycji polskich i łacińskich. Powstanie po 1989 roku niepodległej Białorusi i Ukrainy było znakiem, że historia powraca prawie do punktu wyjścia. Przez wieki Rosja zbierała ziemie ruskie, a tu nagle je utraciła. Pamiętając o tym, łatwiej zrozumiemy politykę Putina, który dalej zbiera ziemie ruskie, gdyż

eprasa.pl 341d6b84b9

nie tylko według niego nie ma Ukraińców i Białorusinów, są tylko Rusini, czyli Rosjanie.

Kolejną kwestią wpisującą się w specyfikę Rosji jest dziedzictwo mongolskie. W jaki sposób odcisnęło się ono na Rosji?

Wpływy dziedzictwa mongolskiego są wyraźne również w cechach antropologicznych wielu Rosjan. Małżeństwa mieszane i kolonizacja mongolska powodowały wzajemne przenikanie się fizyczne i biologiczne kultur. Spowodowało to, że kultura rusińska, także ta na poziomie ludowym, jest bardzo silnie nasycona tradycjami mongolskimi. Słowa związane z opresją, przemocą i gwałtem pojawiły się w języku rosyjskim za pośrednictwem mongolskiego kręgu kulturowego. Moskiewscy książęta, uważający się za hospodarów, samodzierżców, weszli, w przenośni, w buty chanów mongolskich. Uznali, że ich sposób zarządzania państwem i poddanymi oraz prowadzenie polityki podboju wymaga kontynuacji w państwie moskiewskim. Politykę ekspansywną chanów, a później Moskwy ułatwiał stepowy charakter ziem na wschodzie, niska gęstość zaludnienia, rozległość obszarów. Mongołowie nie potrafili żyć inaczej, byli nomadami prowadzącymi życie na koniach, a wyprawy wojenne były dla nich tak naturalne, jak przemieszczanie się w poszukiwaniu pożywienia. Moskwa od nich przejęła politykę nieustającej ekspansji, podobnie jak i mongolski sposób ściągania podatków. Rosjanie przejęli też umiejętność liczenia poddanych, czyli spisy ludności, co z kolei Mongołowie zawdzięczali Chińczykom. Podsumowując: dziedzictwo mongolskie, bizantyjskie oraz prawosławie to trzy fundamenty Rosji i mentalności jej mieszkańców.

Nie zawsze jednak Rosja była Polsce wroga. Przejdźmy do XIX wieku. Mimo ostrzeżeń Karamzina, że Polakom nie wolno ufać, car Aleksander I miał pomysł na Polskę. W książce pojawia się zdanie, że po kongresie wiedeńskim przez krótki czas Rosja nie była naszą obsesją, tylko naszą nadzieją. O co chodziło?

Po wojnach napoleońskich Księstwo Warszawskie nie zostało potraktowane jako obszar podbity. Choć Polacy brali udział w wyprawie moskiewskiej Napoleona, to nie tylko nie spadły na nich surowe represje zwycięskiego Aleksandra I, a jeszcze otrzymali Królestwo Polskie, sprawne państwo, o dalej idącej niezawisłości niż w przypadku Księstwa Warszawskiego, z własną konstytucją i armią. Część rosyjskiej klasy politycznej była tym oburzona, uważając, że Aleksander I źle postępuje. I dlatego król-car, wjeżdżając w pięknym mundurze generała wojsk polskich do Królestwa, został entuzjastycznie przyjęty. Pieśń *Boże, coś Polskę* jest hymnem na cześć wielkiego króla polskiego i cara rosyjskiego. Aleksander I budził zachwyt. Na jego cześć organizowano wielkie widowiska. Klasa polityczna Królestwa Polskiego zachwycała się no-

eprasa.pl 341d6b84b9

wymi możliwościami. W Galicji panowała sytuacja beznadziejna – germanizacja i bieda. W Prusach było niewiele lepiej, chociaż rozpoczynał się proces uwłaszczeniowy. Natomiast kultura polska miała doskonałe warunki rozwoju w Królestwie i na ziemiach zabranych. Najlepszym polskim uniwersytetem tamtego okresu był uniwersytet w Wilnie, gdzie kształciło się wielu Rosjan, ucząc się języka polskiego, który był językiem wykładowym. Wilno było również stolicą polskiego romantyzmu. Proces filomatów i filaretów na pewno popsuł nastroje, ale w polskiej mitologii jest wyolbrzymiany i demonizowany. Do 1830 roku polska klasa polityczna budowała kapitał zaufania w relacji z Rosją, Królestwo było krajem kwitnącym, z własnym Bankiem Polskim, rozwijającym się przemysłem, znakomitymi drogami, giełdą warszawską, Teatrem Wielkim w Warszawie. Wszystko to było możliwe dzięki temu, że władza w Królestwie należała do Polaków. Mimo przykładów łamania konstytucji, mimo zmiennych humorów choleryka wielkiego księcia Konstantego był to dobry okres w relacjach polsko-rosyjskich.

Jak to się dzieje, że na piedestały wynosimy kolejne czyny zbrojne, co jest zrozumiałe, ale zapominamy o innych osiągnięciach naszej państwowości, nie doceniamy „spokojniejszych" okresów, kiedy mogła rozwijać się nasza kultura i przedsiębiorczość?

Jest to nasza specyfika, że od porażki Rzeczpospolitej z Rosją w 1792 roku piszemy historię zgodnie z zasadą *gloria victis*, chwała zwyciężonym. Politycy budujący pomyślność gospodarczą i kulturową Polski i Polaków nie cieszyli się szczególnym poważaniem. Honory oddawano tym, co walczyli, nawet bez szans zwycięstwa, a zwłaszcza tym, którzy zginęli. Dlatego po 1831 roku oddawano cześć powstańcom i nienawidzono tych, co ich pokonali, czyli Rosji. Po klęsce powstania listopadowego należało bronić idei powstańczej. Trudno było wycofać się z podjętych działań i podważać rację wybuchu powstania. Wielka Emigracja tworzyła wyobrażenie carów rosyjskich jako tyranów, co zresztą w znacznej mierze było prawdziwym obrazem. Polska antyrosyjska propaganda po powstaniu listopadowym była dla Petersburga bardzo bolesna. W wielu zachodnich tytułach prasowych pojawiały się teksty, sponsorowane przez Czartoryskiego, pokazujące Rosję z jak najgorszej strony. Chodziło o przygotowanie Zachodu do konfrontacji z Rosją, dzięki czemu mogła się odrodzić kwestia polska. Wówczas na emigracji przypomniano sobie, że był senator Nowosilcow, który obok księcia Konstantego niszczył niezawisłość Królestwa Polskiego. Nie wspomina się o tym, że Nowosilcow był krótko w Warszawie i to on zabiegał o względy Polaków. Zaraz potem wyjechał na Litwę i tam faktycznie zrobił wiele złego. Natomiast wielki książę Konstanty był szalony, po ojcu i dziadku, ale w pewnych sytuacjach zachowywał się w sposób zgodny z polską racją stanu, na przykład nie pozwalając wyma-

eprasa.pl 341d6b84b9

szerować wojsku Królestwa Polskiego na wojnę z Turcją w 1828 roku u boku Rosji, a później z Belgią w 1830 roku. Wątek ten pojawia się w *Kordianie* Słowackiego, kiedy car zarzuca Konstantemu, że jest polonofilem, ba, Polakiem. Oczywiście to za dużo powiedziane, ale Konstanty nie interweniował podczas wybuchu powstania listopadowego, co krytykowali rosyjscy generałowie i politycy. Do 1830 roku uczynił wiele złego, był przyczyną niejednej oficerskiej śmierci. Spoliczkowany przez niego oficer nie miał wyboru, nie mógł wyzwać naczelnego wodza na pojedynek, więc odbierał sobie życie – tak ratował honor. To było zachowanie w konwencji tamtego czasu, ale robiło Konstantemu „złą prasę".

Józef Piłsudski miał pomysł stworzenia strefy buforowej, niepodległych państw na wschodzie oddzielających Polskę od Rosji. Dlaczego idea ta nie mogła zostać zrealizowana?

Intencje były piękne i szlachetne. Pomysł nie został zrealizowany, gdyż nie było to możliwe. Po pierwsze, do tanga trzeba dwojga. Pomysł bliższego związku z państwem litewskim, białoruskim czy łotewskim, czyli potraktowanie ich jako buforu, który chroni Polskę przed imperialną Rosją, był niemożliwy. Dla Litwinów Polak był znacznie gorszym wrogiem niż bolszewik. Łotysze również bali się polskich resentymentów kresowych. Białorusini mieli jeszcze słabe elity narodowe, więc nie kwalifikowali się do roli poważnych partnerów politycznych. Ukraińcy byli podzieleni. Ci z zachodu byli przeciwni jakiemukolwiek porozumieniu z Polakami. Semen Petlura szukał zbliżenia, gdyż nie miał innego wyboru, bo przegrywał z białymi i z czerwonymi, stając się w końcu królem bez ziem. Nawiązał porozumienie z Piłsudskim. Ale liczni polscy politycy, zwłaszcza endecy i prawicowi ludowcy, nie chcieli powstania Ukrainy, gdyż uważali, że to skonfliktuje Polskę z Rosją. Piłsudski był za słaby, żeby pobić bolszewików i postawić im swoje warunki. Poza tym jego koncepcja miała licznych przeciwników w Polsce, a sam Petlura nie miał poparcia na Ukrainie. Wieś ukraińska nie ufała Petlurze i sojuszowi z Polakami, a Armia Czerwona była zbyt mocna. To, co nie udało się Piłsudskiemu, udało się Leninowi. Pomysł Piłsudskiego był zbliżony do idei państw buforowych Lenina, nazywanych republikami w ramach wspólnego państwa. Dlatego tworzył republiki sowieckie, takie, jak ukraińska, białoruska, później republiki kaukaskie. Rywalizację na wschodzie, kto – Polska czy Rosja bolszewików – będzie realizować swoją wizję, wygrał Lenin.

Ciekawym wątkiem publikacji była kwestia złej opinii o Polakach walczących z bolszewikami. Po bitwie warszawskiej w zachodniej prasie pojawiały się niechętne Polsce artykuły. Niejeden czytelnik był zaskoczony, że Polakom nie kibicowano w tej wojnie, uważając ją za awanturnictwo. Pojawia się także teza, że dla bolszewi-

eprasa.pl 341d6b84b9

ków przegrana w 1920 roku była tak wielką ujmą, że konsekwencją była późniejsza operacja polska, a nawet zbrodnia katyńska. Jak Europa Zachodnia postrzegała polsko-rosyjskie walki i jakie były konsekwencje przegranej przez bolszewików wojny?

Alianci zachodni nie byli formalnymi sojusznikami Polski. Ani Francja, ani Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie podpisały z nami sojuszu politycznego czy wojskowego. Ich dobrą wolą były udzielane kredyty, sprzedaż umundurowania, broni i amunicji. W kwestii granic ich stanowisko było jednoznaczne, zgodnie z tym, co wyrażał akt mocarstw sprzymierzonych z 8 grudnia 1919 roku, a później linia Curzona. Polsko-rosyjska granica miała przebiegać wzdłuż Bugu na zachód od rzeki Niemen, czyli tak jak przebiega współczesna granica między Polską a Białorusią i Ukrainą. Natomiast polityka faktów dokonanych prowadzona przez Piłsudskiego musiała siłą rzeczy zmienić perspektywę aliantów, dlatego oceniali tę politykę negatywnie. Liczne manifestacje, inspirowane przez lewicę i komunistów (wtedy zaczynają się dzieje komunizmu), dowodziły, że na Zachodzie nie mamy przyjaciół, a jedynie wrogów. Zwolenników miała Rosja i idea bolszewicka stworzenia idealnego państwa dla biednych i pogardzanych. Piękna wizja, która uwiodła miliony ludzi w świecie. To było przed Gułagiem, represjami stalinowskimi, przed okropnymi doświadczeniami lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Świat nie wiedział, jaka będzie Rosja: widział ją z perspektywy lat 1918–1920 jako obiecujący eksperyment, który należy wesprzeć. Daliśmy sobie narzucić narrację, że jesteśmy agresorami, dlatego między innymi mieliśmy fatalną prasę. Co do polityki represyjnej i mordu katyńskiego – trudno przesądzić z braku dowodów. Tylko możemy domniemywać. Stalin i Beria postępowali w ten sposób także wobec wszystkich potencjalnych przeciwników, mordowali tysiące ludzi, wprowadzali drastyczne przepisy doprowadzające do głodu na Ukrainie i na Kubaniu. Nie mieli oporów: mordy polityczne były częścią „imperium zła".

Czy polska narracja o tym, że II wojna światowa rozpoczęła się w Polsce, że Polska miała dwóch okupantów, o sowieckiej okupacji po wojnie, jest równie mocno słyszana w świecie, jak rosyjska opowieść o wyzwalaniu narodów?

Kwestionowanie przez Polskę wyzwoleńczej roli Armii Czerwonej jest najmocniejszym z możliwych uderzeń. Przez kilkadziesiąt lat propaganda sowiecka, potem rosyjska, opowiadała, że Rosjanie szli na zachód, wyzwalając narody i przynosząc im wolność. Dowodem miały być liczne pomniki wdzięczności na cmentarzach w Polsce i innych krajach powstające z inicjatywy Moskwy. Podobnie sprawa wygląda w przypadku rosyjskiego kwestionowania układu Ribbentrop–Mołotow – zdaniem narracji rosyjskiej za II wojnę światową odpowiadają wyłącznie hitlerowskie Niemcy, które miały so-

eprasa.pl 341d6b84b9

juszników, na przykład Polaków, chcących iść razem na Moskwę. Opowieść o wojnie wyzwoleńczej była sączona przez długie lata bez naszego udziału. Polska historiografia długo nie miała możliwości zabierania głosu w tej kwestii, udział naszych historyków w kontaktach międzynarodowych był skromny. Dopiero po 1989 roku zaczęliśmy mówić własnym głosem, szukając sojuszników, przekonując, że nasza opowieść jest zgodna z dokumentacją historyczną. Stopniowo argumenty podnoszone przez Kreml były kwestionowane. Mamy w Europie Środkowej narody, które przytaczają podobne argumenty historyczne. Litwini, Estończycy, Łotysze uważają pakt Ribbentrop–Mołotow za koniec własnej niepodległości. Obecnie, jak się wydaje, rosyjska opowieść o wyzwalaniu ma dużo słabsze przenikanie, a na pewno jest mniej efektywna, od niemieckiej opowieści o nazistach, którzy utworzyli Rzeszę i uczynili wielką krzywdę narodowi niemieckiemu. Niemiecka polityka historyczna jest skuteczniejsza od rosyjskiej, bo Niemcy są częścią wolnego, demokratycznego świata. Rosja jest traktowana jako kraj imperialny, posługujący się kłamstwem, którego politycy fałszują dzieje i oszukują. Opinia o Putinie, o autokratycznej polityce rosyjskiej, łamaniu zasad demokracji powoduje, że również opinia światowa nie chce wierzyć opowieści rosyjskiej. Gdyby Rosja się zdemokratyzowała, zakopała topór wojenny z Polakami i innymi nacjami, mocno uderzyła się w piersi – co jest oczywiście nierealne – wtedy być może niektóre przynajmniej składniki jej narracji historycznej brzmiałyby bardziej przekonująco.

Prof. Andrzej Chwalba jest historykiem, profesorem nauk humanistycznych, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalizującym się w historii XIX wieku, historii relacji polsko-rosyjskich, historii najnowszej Polski i Krakowa. Autor wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych, między innymi: *Polska–Rosja. Historia obsesji, obsesja historii* wraz z W. Harpulą (2021); *Zwrotnice dziejów. Alternatywne historie Polski* wraz z W. Harpulą (2019); *Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914–1918* (2018); *Ostatni salon PRL* (2015; wyróżnienie w konkursie Historyczna Książka Roku im. Oskara Haleckiego).

eprasa.pl 341d6b84b9

Łada Niva, czyli jak zostałem biedaeasyriderem

Filip Jarmakowski

O jeździe szutrowymi drogami, mijaniu rzadko odwiedzanych kapliczek, wjeżdżaniu na wzgórza, przejeżdżaniu pod starymi drzewami, pokonywaniu niezbyt wielkich rzek i strumieni, zatrzymywaniu się w każdym momencie i wreszcie ruszaniu w głośnym szmerze ośmiozaworowego, czterocylindrowego silnika Łady Nivy.

– Dzień dobry, chcę kupić Ładę Nivę.

– Średnio pan trafił.

– Ale przecież tu stoją – wskazuję na cztery samochody, których dizajn nie zmienił się od czterdziestu lat.

– A, te! Te już dawno sprzedane. Następna dostawa, jeśli pan zamówi, to może za pół roku.

Trochę smutny zostawiłem w krakowskim salonie Łady swój numer telefonu, na wypadek gdyby ktoś się rozmyślił.

Nie zadzwonili. Ale ja zadzwoniłem dwa tygodnie później.

– A wie pan, coś nie wyszło tym leśnikom z przetargiem i zdaje się, że wolny będzie jeden samochód.

– A czy kolor jakiś inny też jest, na przykład niebieski, bordo albo biały. Widziałem na stronie producenta.

– Może pan zamówić, ale przyjdzie za pół roku, rok, jeśli w ogóle dostarczą.

Czuję, że łatwiej zamówić Rolls-Royce'a. Nie ma lekko. Okazuje się, że większość ład kupowali ludzie z kręgu myśliwsko-leśniczo-wędkarskiego o dość, powiedzmy, konserwatywnym guście, jeśli chodzi o estetykę.

***

Kiedy miałem sześć lat i byłem pucołowatym blondynem, często w gumiakach na nogach brodziłem w błocie. Było to we wsi, w której spędzałem każde wakacje. Raz, gdy patykiem rozdzielałem w kałuży kijanki z odnóżami od tych bez odnóży, obok mnie zatrzymał się samochód marki Łada Niva, o czym wtedy nie wiedziałem.

eprasa.pl 341d6b84b9

Rozpoznawanie marek samochodów i czytanie niespecjalnie mnie wtedy zajmowały. W końcu wakacje nie są po to, żeby literować jakąś tam „Alę-ma-kota" albo śledzić trendy motoryzacyjne krajów demokracji ludowej. Pamiętam jednak wyraźnie, że ten samochód doskonale komponował się z otoczeniem – z butwiejącą chałupą, w której piwnicy kiełkowały zapomniane ziemniaki, a kawałki desek, siano, słoma i kamienie mieszały się z grudami mokrej ziemi i zwierzęcymi odchodami. Wóz niby drabiniasty, ale na kołach od malucha; zielone łąki z pasącymi się krowami na tle średnio majestatycznych – bo niezbyt wysokich – gór. Wymarzony *entourage* do plakatu reklamującego Nivę – samochód kierownika kołchozu.

Jeżdżenie po Polsce (i nie tylko) można sobie urozmaicić, obierając ścieżki tematyczne – ja starałem się znaleźć zerwane przez granice połączenia, opuszczone posiadłości, relikty dawnej świetności czy zapomniane obiekty poprzemysłowe.

Wyglądała jak „maluch" na sterydach – była wspaniała, zielona, z błyszczącymi mikrokołpakami, chromowanymi klamkami i z symbolami władzy na drzwiach: znakiem nadleśnictwa, jak się później dowiedziałem. Samochód robił wrażenie twardziela, zwłaszcza że zza kierownicy próbował wysiąść, potykając się o dubeltówkę, czerwonolicy, otyły i ciut zamroczony alkoholem leśniczy w mundurze. Od strony pasażera, nie potykając się o sutannę, choć także niezdarnie, wysiadał równie otyły proboszcz o podobnie czerwonej twarzy. U tego drugiego to na pewno kwestia nadciśnienia. Obraz z tego dnia wrył mi się w pamięć i od tego czasu Łada Niva stanowiła ucieleśnienie moich motoryzacyjnych potrzeb oraz niespełnionych marzeń. A o innym wymiarze wspólnych przejażdżek namiestników władzy i Kościoła miałem dowiedzieć się, będąc ciut starszym.

***

Później długo nie działo się nic – w moich żyłach płynęła zwykła słowiańska krew, a nie chrzczona benzyna. Archetypiczny wóz czasami przemykał po ulicach różnych miast, przyglądałem mu się z zachwytem i rozdziawioną gębą, zwłaszcza gdy odwiedzałem kraje byłego Związku Radzieckiego. W Armenii, pamiętam, złapałem na stopa białą Ładę Nivę. Jej stan techniczno-blacharski pozostawiał wiele do życzenia, ale jechała dzielnie przez rzeki i wąwozy, kamieniste drogi i szerokie polany pośród majestatycznych gór Małego Kaukazu. Kierowca kazał mi narzucić na siebie coś w rodzaju fartucha z namalowanymi pasami bezpieczeństwa – policja patrząca z odległości przez lornetkę będzie myślała, że faktycznie mam zapięte pasy. Zapytałem, dlaczego po prostu nie zapiąć pasów, które, o dziwo, w samo-

eprasa.pl 341d6b84b9

Archiwum prywatne

Kiedy miałem sześć lat i byłem pucołowatym blondynem, często w gumiakach na nogach brodziłem w błocie. Było to we wsi, w której spędzałem każde wakacje. Raz, gdy patykiem rozdzielałem w kałuży kijanki z odnóżami od tych bez odnóży, obok mnie zatrzymał się samochód marki Łada Niva.

chodzie znajdowały się we właściwym miejscu, czego nie można było powiedzieć o fragmencie podłogi.

– Tutaj nikt nie zapina pasów – skwitował głosem Clinta Eastwooda śniadolicy mężczyzna, ćmiąc papierosa i obracając muzułmański różaniec (tasbih) w drugiej dłoni.

Zapamiętałem też pierwszy rytuał odprawiany przy eksploatacji Nivy. Na stacji benzynowej przysypiałem na siedzeniu pasażera, ale nagle obudziło mnie bujanie. Samochodem gibał właściciel, opierając rękę o krawędź dachu, usiłował wlać jak najwięcej paliwa do niezbyt fortunnie skonstruowanego baku, którego bez tej magicznej procedury nie da się zatankować pod kurek.

***

Również w Armenii, po drodze do Górskiego Karabachu, zatrzymałem na stopa tym razem szarą Nivę z Panem Pułkownikiem i jego szoferem. Nie haltował nas żaden patrol, a granica, dość umowna, okazała się krótkim postojem w celu wymienienia żarcików o Azerach oraz pochwaleniem się osobliwą zdobyczą turystyczną

eprasa.pl 341d6b84b9

na tylnym siedzeniu. Ta przejażdżka miała dla mnie zgubne konsekwencje – na granicy powinienem wbić do paszportu jakieś pieczątki, a w związku z tym, że Pan Pułkownik nie musiał się tam zatrzymywać, przepadło. Później musiałem się gęsto tłumaczyć w Stepanakercie – stolicy Górskiego Karabachu – skąd ja się tam w ogóle wziąłem. Ale przejażdżka Nivą z Panem Pułkownikiem rekompensowała wszystko.

***

W końcu – po latach jeżdżenia rowerem, pożyczonymi samochodami i dwudziestopięcioletnim mercedesem – nadszedł czas chwały i bogactwa podstarzałego hipstera. W 2019 roku spełniłem chłopięce marzenia i kupiłem Ładę Nivę. Z salonu!

***

Karoseria Nivy nie zmieniła się zbytnio od lat siedemdziesiątych. Nie ma w niej nic nowatorskiego. Można powiedzieć, że to samochód ekologiczny, bo większość części produkowanych jest na miejscu. Nie ma więc mowy o pozostawianiu dużego śladu węglowego przez sprowadzanie ich z drugiego końca świata. Silnik, przynajmniej Łady sprzedawanej na rynek europejski, spełnia normę Euro 6, ale za to samochód nie ma poduszek powietrznych – ładziarze w razie wypadku umierają jak prawdziwi mężczyźni – a niektóre biegi wchodzą jak nóż w masło, z tym, że zamrożone. Jakiś postęp jednak w stosunku do poprzednich roczników się dokonał – okna w mojej Nivie otwierane są elektrycznie, nie na korbkę. Może kiedyś zrobię *downgrade* – tuning wsteczny do korbki, żeby zminimalizować możliwość zepsucia zbędnego elementu elektrycznego. Łada ma być prosta, po co komplikować coś, co działa wystarczająco dobrze. Samochód jest wytrzymały i akceptowalnie szybki, a szyby zamontowane prawie pionowo jak w akwarium pozwalają obserwować, co dzieje się dookoła. Co prawda, dzięki takiemu ustawieniu szyb aerodynamika samochodu przypomina aerodynamikę kościoła Mariackiego, ale czego nie robi się dla lepszej widoczności. Racja, Niva jest trochę głośniejsza od innych samochodów, zwłaszcza na autostradach, i mogłaby ciut mniej palić, ale kiedy zjeżdżam z trasy, zostaję królem bocznych dróg – Łada zmienia się w mały traktorek, harleya bezdroży, osiołka błotnego Sancho Pansy.

***

Podczas jednego z wyjazdów spędziłem w Ładzie prawie trzy tygodnie. Oczywiście musiałem dokonać pewnych modyfikacji – wykręciłem tylne siedzenie, żeby

eprasa.pl 341d6b84b9

spać w środku we względnie cywilizowanych warunkach. Cały mój podróżniczy dobytek mieścił się w dwóch torbach z Ikei. Miałem wszystko, co było mi potrzebne do spania nad rzeką, w lesie, w polu, na parkingu czy pod czyimś domem, ewentualnie na zapleczu sklepu. Wstawałem rano, kląłem siarczyście w stronę wschodzącego słońca, wkładałem spodnie (o ile w nich nie spałem), drapałem się po kroczu i byłem gotowy do dalszych wojaży. Czasami poranki rozpoczynały się mniej, a czasami bardziej malowniczo, jak na przykład w Parku Narodowym Prypeć-Stohid.

Dzikie ptaki i zwierzęta chrumkające po nocy w pobliskim lesie nie dają spać. Leżę w hamaku, budzę się pośród powłóczystych mgieł ciągnących się nad rozlewiskiem rzeki Prypeć i łąkami. Jest przed piątą rano, dochodzą mnie pierwsze odgłosy przyrody:

– Gdzie się z tym pontonem wpierdalacie?!

– A co, nie można?!

– Nie, pierwszy tu byłem, moje miejsce!

– Pierwszy to ty nawet nie byłeś w miocie swojej matki, chuju!

– Jak tam zaraz podpłynę, to wam mordy obiję!

Ale pan nie podpłynął. Łódka była zbyt wąska i chybotliwa, a on, wstając, mocno zaburzyłby jej środek ciężkości swoim napompowanym przez życie i niezdrową dietę brzuchem. Wędkarska wojna trwała jeszcze chwilę, po czym zginęła pośród brzęczenia odpalonego – po około czterdziestu próbach – silnika pontoniarzy.

Opuściłem to wspaniałe miejsce i jechałem dalej, mijając kolejne wsie, rozlewiska rzek, bagna, wolno pasące się na piaszczystych łąkach krowy. W okolicy miejscowości Dubrowica zacząłem zwracać uwagę na dziwnie porozkopywane lasy i na samochody z pompami. Dowiedziałem się, o co chodzi, w pierwszym sklepie, do którego wszedłem, gdzie od progu, widząc moją nietutejszą facjatę, pani ekspedientka zapytała:

– Po bursztyn?

– Nie, nie po bursztyn – odpowiedziałem odrobinę zdziwiony i kupiłem lody.

Niva, jakkolwiek anachroniczna by była, daje poczucie wolności w stopniu odrobinę większym niż zwykły samochód i zapewnia trochę więcej bezpieczeństwa niż terenowy motocykl.

Od momentu upadku ZSRR nielegalnie wydobywa się tam bursztyn. Na ukraińskim Polesiu są sporej wielkości złoża tego surowca – Ukraina była liderem wydobycia i eksportu. Ale legalnie wydobywa się go około czterech ton, a nielegalną eksploatację, w którą zaangażowane są tysiące ludzi nadzorowanych przez tak zwane bandy, szacuje się na około 150–200 ton, niektórzy mówią o 300 tonach. Straty liczone się w milionach dolarów, do tego trzeba jeszcze doliczyć koszty zniszczenia przyrody. W prasie można było swego czasu przeczytać

eprasa.pl 341d6b84b9

Filip Jarmakowski

Niva dzielnie znosiła trudy podróżowania z kierowcą o zbyt wybujałym ego i niezbyt sprecyzowanych marszrutach. Zazwyczaj miałem zaplanowany co najwyżej ogólny kierunek. Ciekawe są granice, czasami kreślone w poprzek dróg, przerywające komunikację. Ślady połączeń są widoczne na mapach, dobrze widać je na Google Maps, gdzie nieużywane, przecięte w pół drogi zamieniają się w zarośla i lasy o zbyt regularnym i geometrycznym kształcie.

o strzelaninach, wojnach między kopaczami a policją, wraz ze zdjęciami przewróconych samochodów.

***

Niva dzielnie znosiła trudy podróżowania z kierowcą o zbyt wybujałym ego i niezbyt sprecyzowanych marszrutach. Zazwyczaj miałem zaplanowany co najwyżej ogólny kierunek – w tym przypadku było to ukraińskie Polesie z założeniem, że trzymam się jak najbliżej granicy z Białorusią. Granice są ciekawe, czasami kreślone w poprzek dróg, przerywające komunikację. Ślady połączeń są widoczne na mapach, dobrze widać je na Google Maps, gdzie nieużywane, przecięte w pół drogi zamieniają się w zarośla i lasy o zbyt regularnym i geometrycznym kształcie.

Gdziekolwiek się pojawiłem, unikałem płacenia mandatów – w końcu przemieszczałem się samochodem „lokalnym", a nie czymś ostentacyjnie wołającym „hej, przyjechałem sobie tu do was pozwiedzać dziki Wschód moim nowoczesnym, europejskim wehikułem". Chociaż zdradzały mnie czasami polskie blachy. Wjeżdżając do Wielkich Jezior – miejscowości, w której pod olbrzymim dębem 18 września

eprasa.pl 341d6b84b9

1939 roku Witkacy podciął sobie żyły – nie musiałem kończyć pytania „Gdzie…?", bo od razu usłyszałem odpowiedź „Drzewo? A tam, o!". Nie powiedziałbym, że miejscowość ta żyje z polskich turystów i Witkacego, ale zdecydowanie ludzie wiedzą, że był to ktoś znany i tutaj zginął. W lokalnej knajpie sączyłem piwo, kiedy zagadały do mnie dwie panie po pięćdziesiątce. Piły wódeczkę i wznosiły toasty na cześć jednej z nich, która miała akurat urodziny i okazała się bibliotekarką w tutejszej szkole. Druga pani była dyrektorką tej szkoły. Oczywiście zaprosiły mnie do stolika, kontynuowaliśmy wznoszenie toastów, a kiedy wszyscy wszystkim postawili już kolejki, życzyli sobie sukcesów, szczęścia, zdrowia i pokoju na świecie i *drużby narodow*, zostałem zaproszony do szkoły. Pustej, bo były jeszcze wakacje. Szkoła jak szkoła, z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, zapach linoleum i pasty do podłóg, smętne paprotki i tablice z ogłoszeniami. A za jednymi z drzwi na korytarzu – izba pamięci Witkacego, z księgą pamiątkową, plakatami, wycinkami z gazet. Naiwnie spytałem, czy tutaj uczą o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, na co panie powiedziały, że nie za bardzo, ale wszyscy o nim wiedzą. Dzień zakończył się noclegiem nad pobliskim jeziorem, z pięciolitrową bańką ze zsiadłym mlekiem, którą dostałem od pań. Chciałem tylko małą buteleczkę na rano, ale słowiańska gościnność *ot duszy* podlana alkoholem zdecydowała się na ilości hurtowe.

***

Podróżowanie po Polesiu jest pewnym wyzwaniem, bo można uszkodzić siebie i samochód. Niektóre trasy oznaczone na mapie i mające numery to drogi piaskowo-błotne. Na jednej z takich szos musiałem zawrócić i nadrobić prawie 100 kilometrów – bałem się, że nie przejadę, a wtedy utknąłbym pośród bagien, gdzie do najbliższego traktora mogącego mnie stamtąd wyciągnąć, musiałbym przejść mniej więcej 10 kilometrów w jedną lub w drugą stronę. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy i mając większe doświadczenie z Nivą, okazuje się, że bałem się całkowicie niepotrzebnie. To naprawdę dzielny samochód.

Na Polesiu jest też sporo dróg, które lokalsi określają jako „polskie". Są utwardzone kamieniami w latach międzywojennych albo mają nawierzchnię z tak zwanej trylinki – sześcioboków, które opatentował przedwojenny inżynier Władysław Tryliński. Taką nawierzchnię z betonowych płyt sześciokątnych można zobaczyć jeszcze gdzieniegdzie na parkingach także w Polsce. Przy czym jeżdżenie po trylince nie jest najbardziej komfortowe, bo zazwyczaj po kilkudziesięciu latach poszczególne płyty nie są idealnie spasowane z pozostałymi.

W końcu, po prawie dwóch tygodniach na ukraińskim Polesiu i w jego okolicach postanowiłem się umyć, więc ruszyłem do przyjaciół w Kijowie, a kilka dni później

eprasa.pl 341d6b84b9

byłem już nad Morzem Czarnym, zwiedziwszy po drodze zamienioną w muzeum wyrzutnię rakiet balistycznych z czasów ZSRR. Lokalne nadmorskie Zakopane oblepione kolorowymi reklamami, z muzyką grającą z każdej strony nazywa się Zatoka. Przepięknie, z tym że nie dla mnie. Stwierdziłem, że pora oddalić się w kierunku Mołdawii. Zatoka była zresztą jedynym miejscem, w którym dostałem mandat – za własną głupotę. Zaparkowałem na noc na plaży, a o tym, że nie wolno tego robić, przypomnieli mi w środku nocy panowie policjanci, przeładowując broń. Podejrzewam, że bardziej dla postrachu, ale jednak. Zapłaciłem, trudno, co zrobić.

***

Wracając przez Mołdawię i zachodnią Ukrainę, byłem już pewny, że takie podróżowanie zdecydowanie ma sens. Może nie za szybko i nie zawsze w pełnym komforcie, ale napęd na cztery koła i kompaktowe wymiary Nivy pozwalają na dojechanie w więcej miejsc, niż sobie wyobrażałem. Zdałem sobie z tego sprawę, leżąc w Ładzie na łące nad doliną w okolicy Starego Orcheju w Mołdawii i patrząc na rzekę Reut meandrującą poniżej. Albo śpiąc na plaży nad rzeką w Zaleszczykach i spoglądając na miejsce, w którym rzekomo w 1939 roku mieli salwować się ucieczką do Rumunii Ignacy Mościcki i Edward Rydz-Śmigły. O ile wiem, oni akurat uciekali przez położone 100 kilometrów dalej Kuty.

***

Jeżdżenie po Polsce z równie ogólnie określonym planem podróży jest łatwiejsze. Czego by nie mówić o naszej słowiańskości, pięćdziesięciu latach komuny, dwóch wojnach i 123 latach rozbiorów, ostatnich kilkanaście lat w Unii Europejskiej miało zbawienny wpływ na nasze drogi. Odległości, które często na Ukrainie pokonywałem w godzinę – nie wspominając już o miejscach, których bez Nivy w ogóle bym nie pokonał – u nas jestem w stanie przejechać w pół godziny albo i szybciej. Ścianę wschodnią, którą przejechałem od Bieszczad po trójstyk granic Litwy, Rosji i Polski, można przemierzyć dość sprawnie nawet zwykłym samochodem, chociaż Niva daje większe możliwości „rozszerzenia" zwiedzania. Trzeba jednak zwracać uwagę na znaki graniczne i generalnie przepisy regulujące poruszanie się w strefie przygranicznej. Mnie straż graniczna spisywała przynajmniej raz dziennie – absolutnie nie dokonywałem jakichś wykroczeń czy czegoś niezgodnego z prawem, po prostu strażnicy mają taki obowiązek. A są wszędzie, znajdowali mnie w najgłębszych borach-lasach, gdzie włóczyłem się poza drogami – zawsze skądś wychodzili strażnicy (co ciekawe, w porównaniu z terenami przy granicy ukraińsko-białoru-

eprasa.pl 341d6b84b9

skiej, gdzie nie skontrolowano mnie ani razu, a wręcz mnie ignorowano – spałem raz nad rzeką graniczną w poleskiej miejscowości Poznań i panowie pogranicznicy przegonili lokalnych wędkarzy, a widząc mnie, machnęli ręką i poszli dalej). Nasi strażnicy wytłumaczyli mi, że na granicy Unii Europejskiej dysponują sprzętem tak porozmieszczanym, że faktycznie są w stanie skutecznie kontrolować granicę w dzień i w nocy.

Normalnie procedura wygląda tak, że chcąc zwiedzać tereny przy samej granicy, należałoby każdorazowo zgłaszać chęć takiej wizyty w odpowiedniej placówce straży. A ja nie wiedziałem, gdzie danego dnia akurat będę. Straż graniczna często interesuje się lokalną kulturą, zna miejscowe ciekawostki. Oczywiście pierwszym tematem rozmów zawsze była Niva – sporo strażników patrzyło na nią z rozrzewnieniem, mówiąc, że takie właśnie samochody są im potrzebne. Swoją drogą, rozrzut sprzętowy, jakim dysponują, jest dość spory. Od nowoczesnych pickupów, przez land rovery, po fiaty panda z napędem na cztery koła (choć to za mały samochód jak na często sporych rozmiarów strażników z ich osprzętem). Są miejsca przy granicy, które mimo że znajdują się w dość dużym oddaleniu od cywilizacji, przyciągają turystów – na trójstyku granic Litwy, Białorusi i Polski straż graniczna ma chyba stały dyżur i jak ktoś sobie chce zrobić zdjęcie, to rysują patykiem na piasku linię, której nie wolno przekraczać.

***

Jeżdżenie po Polsce (i nie tylko) można sobie urozmaicić, obierając ścieżki tematyczne – ja starałem się znaleźć zerwane przez granice połączenia, opuszczone posiadłości, relikty dawnej świetności czy zapomniane obiekty poprzemysłowe. Pomysłów można mieć wiele. Czasami podróżowałem „śladami gąsienicy" – w domyśle czołgowej – czyli odwiedzałem pola bitewne i miejsca martyrologii. Zresztą akurat na ścianie wschodniej różnorodnych miejsc do zwiedzania nie brakuje, a Nivą można jechać przez pola w poszukiwaniu nieczynnej linii kolejowej albo wiatraka paltraka w Minkowcach na Podlasiu, po drodze zatrzymując się na biwak w środku niczego z widokiem na nicość otaczającą ten środek. Cisza, spokój i masaż oczu to obecnie dość poszukiwane dobra.

Niva, jakkolwiek anachroniczna by była, daje poczucie wolności w stopniu odrobinę większym niż zwykły samochód i zapewnia trochę więcej bezpieczeństwa niż terenowy motocykl. Kiedy jedziesz szutrowymi drogami, mijasz rzadko odwiedzane kapliczki, wjeżdżasz na wzgórza, przejeżdżasz pod starymi drzewami, pokonujesz niezbyt wielkie rzeki i strumienie i w każdym momencie możesz się zatrzymać w ciszy, żeby za chwilę ruszyć w głośnym szmerze ośmiozaworowego, czterocylin-

eprasa.pl 341d6b84b9

drowego silnika na wtrysku i wjechać do metropolii bez poczucia, że okrutnie trujesz płuca innych – to jest dość miłe uczucie. Mogę więc śmiało zarymować:

Jeżdżąc Ładą Nivą
Nie jesteś osobą parszywą
Choć jeżdżenie PKP
Nie jest takie całkiem złe
Ale stojąc w polu Nivą
Pod prapolską wierzbą krzywą,
Na kocyku jedząc bułki,
Popijając win z beczułki
Albo czaju z samowara,
(Te! Od samowara wara!)
Czujesz się jak jakiś król!
Nie jak w Warsie jedząc żur.

Filip Jarmakowski jest właścicielem Łady Nivy. Zrzędliwy urzędnik, natchniony poeta, ubogi harmonicznie saksofonista, niespełniony basista, miłośnik prostoty oraz ruskich pierogów.

eprasa.pl 341d6b84b9

Stawką nie są wybory

Z Petrą Hůlovą, czeską pisarką i aktywistką,
rozmawiają Łukasz Grzesiczak i Urszula Pieczek

NOWA EUROPA WSCHODNIA: Na Słowacji funkcję prezydenta pełni Zuzana Čaputová, przed laty premierką była Iveta Radičová. W Polsce po 1989 roku trzy kobiety – Beata Szydło, Ewa Kopacz i Hanna Suchocka – objęły stanowisko premiera. Dlaczego, Twoim zdaniem, Czechy nie miały nigdy premierki i co to mówi o czeskiej polityce i samej sytuacji kobiet w Czechach?

PETRA HŮLOVA: Spójrzmy na to z innej strony. Może określenie „rząd" powinniśmy zastąpić słowem „administracja" i odkleić się mentalnie od czegoś, czego nikt z nas tak naprawdę nie chce? Ze swoich podatków chcemy przecież opłacać nie kogoś, kto rządzi naszym życiem, ale administruje naszym krajem, i to bez względu na to, czy są to kobiety, czy mężczyźni.

Samo słowo „administracja" jest rodzaju żeńskiego. Może zapytamy zatem inaczej: czy nasza część Europy jest w ogóle gotowa na to, by na czele rządu stały kobiety, dla których istotne są problemy społeczne, co za tym idzie feministyczne? Podobnie jak to ma miejsce w Finlandii czy Nowej Zelandii?

To pytanie retoryczne. Brak gotowości manifestuje się właśnie tym, że na czele „administracji" brak takich kobiet.

Na początku października Czechy czekają wybory do Poslanecké sněmovny, czyli odpowiednika polskiego sejmu. Szanse na to, by po wyborach na czele władzy stanęła kobieta, są nikłe, niektóre sondaże wyborcze prognozowały, że rząd stworzy dzisiejszy szef opozycyjnej Partii Piratów Ivan Bartoš. To przesądzone, że dotychczasowy premier Andrej Babiš będzie musiał oddać władzę? Jak Czesi oceniają jego czteroletnie rządy?

Biorąc pod uwagę, że w momencie kiedy rozmawiamy, ugrupowanie ANO [Akce nespokojených občanů – Akcja Niezadowolonych Obywateli – przyp. red.], na czele którego stoi Babiš, ma około 26 procent poparcia i tym samym wygrałoby wybory, najwyraźniej wielu czeskich obywateli jego działania ocenia pozytywnie.

To, czy Andrej Babiš odda władzę, nie jest więc pewne i to nie tylko dlatego, że prezydent Miloš Zeman, sojusznik Babiša, dał wszystkim do zrozumienia, że po październikowych wyborach mianuje na

eprasa.pl 341d6b84b9

premiera szefa najsilniejszej partii, a nie koalicji – co wzbudziło poruszenie, ponieważ w ostatnim czasie powstały dwie koalicje, obydwie wyłącznie po to, by pokonać Babiša w wyborach. Obecnie każda z nich – koalicja Piraci i STAN [Starostové a nezávislí – Burmistrzowie i Niezależni – przyp. red.] oraz SPOLU [Razem – Demokracja Obywatelska – przyp. red.] – ma poparcie około 20 procent i absolutnie nie jest pewne, czy pomysł z koalicjami wystarczy, by pokonać ANO.

Zresztą prezydent Miloš Zeman logicznie argumentował, że koalicje powinny powstawać po wyborach, a nie przed nimi. Zwolennicy Babiša bili prezydentowi brawo, przeciwnicy atakowali go, że to, co robi, pozostaje celowym działaniem na rzecz Babiša. Można powiedzieć, że w takim samym stopniu celowym działaniem są koalicje antybabiszowskie.

Inną partią są Piraci, którzy działają od 2007 roku również na polskiej scenie politycznej, ale bez większych sukcesów. Dlaczego w Czechach im się udało? Czym zdołali przekonać do siebie czeskich wyborców?

Piraci w Czechach zdobyli pozycję i popularność jako ogromni zwolennicy cyfryzacji. Przyciągnęli tym młodych liberalnych wyborców, zmęczonych niezrozumiałymi dla nich światopoglądowymi starciami innych partii. Dziś próbują się prezentować jako młoda, progresywna, proeuropejska partia. Są modniejszym wariantem drugiej antybabiszowskiej koalicji SPOLU, z którym łączy ich jednak wiele wspólnych poglądów. Będą się cieszyć popularnością do czasu, aż uda im się u znaczącej części elektoratu utrzymać przekonanie, że są właściwą pokoleniową partią dla młodych. To przede wszystkim kwestia dobrej strategii PR.

Jakie znaczenie dla Republiki Czeskiej mają te wybory? Naprawdę ceną będzie demokracja i europejskie wartości? Nadal istnieje w Czechach konflikt między praską kawiarnią a hospodą? Jeśli tak, to skąd on się bierze?

Podział na wielkomiejską praską kawiarnię i prowincjonalną hospodę upadł wskutek epidemii koronawirusa. Zastąpił go nowy podział na większość, która „przestrzega antycovidowych obostrzeń", i mniejszość, która jest wobec nich na różnych poziomach krytyczna i nie tyle kwestionuje ich skuteczność, ile zwraca uwagę, jak stopniowo ograbiają nas z wolności i przecierają szlaki nowemu totalitaryzmowi. Niestety udało się wrzucić tych obywateli do jednego worka z prawicowymi ekstremistami i zdyskredytować w mediach. Ich poglądy w mediach głównego nurtu nazywane są pseudopoglądami – przestało więc obowiązywać prawo do posiadania innego zdania niż jedynie słuszne.

Partia Tomia Okamury, walcząca o referendum w sprawie wystąpienia Czech z Unii Europejskiej, ma poparcie blisko 10 procent wyborców. Czy Twoim zdaniem jest pewne, że po wy-

eprasa.pl 341d6b84b9

borach pozostanie na marginesie czeskiej polityki?

Nie, zupełnie nie jestem tego pewna. Ale uważam, że to dość prawdopodobne.

Faktem jest jednak, że Czesi są bardzo eurosceptyczni. Według badań to najbardziej eurosceptyczny kraj Unii Europejskiej. Dlaczego?

Być może po części dlatego, że Czesi są po prostu sceptyczni z natury. Kiedy tylko pojawi się jakaś wielka idea, można się założyć, że Czesi jakby dla zasady będą ją bojkotować, ośmieszać, umniejszać. To, że w naszym kraju jest tak mały odsetek osób wierzących, również z tego wynika. Oraz że najsłynniejszym dziełem literackim, dla wielu osób esencją czeskości oraz najważniejszym towarem eksportowym naszej kultury są *Przygody dobrego wojaka Szwejka* Jaroslava Haška. Mój kraj nie pozwoli, by rozwinęło się tu cokolwiek wielkiego, o znaczeniu metafizycznym. Za to po mistrzowsku krzywi się z pozycji outsidera, wszystko przetrzymuje i potrafi przetrwać na przekór silniejszym.

Wróćmy jednak do tego, co powiedziałaś przed chwilą. Mianowicie, że trzeba zająć się ważnymi sprawami. Nie ekscytują Cię najbliższe wybory parlamentarne?

Nie angażuję się już emocjonalnie w przedwyborcze spekulacje. Cała ta histeria wokół wyborów w ostatnich dekadach, wmawianie nam wciąż na nowo, że nie chodzi o zwykłe głosowanie, ale o „wybory o wszystko", to polityczny PR, na który po tych wszystkich latach powinniśmy być już odporni. Podobnie jak na przedwyborczą polaryzację „my" kontra „oni", która zazwyczaj – przynajmniej w Czechach – zupełnie nie odpowiada temu, co się dzieje po wyborach. Wygląda to tak samo rozpaczliwie już od trzydziestu lat. Po każdych wyborach parlamentarnych przychodzi kac, który powoli przeradza się w podsycaną przez PR mobilizację przed kolejnym głosowaniem, rzekomo mającym „wszystko rozwiązać". To desperackie uczepianie się wyborów uważam po prostu za śmieszne.

Co ostatnio najmocniej wpłynęło na sytuację kobiet i mniejszości w Czechach?

Bez wątpienia pandemia COVID-19. To ona najsilniej uderzyła w kobiety. Musiały pogodzić pracę zawodową i obowiązki domowe, opiekę nad dziećmi, często pozostawały bez wsparcia partnerów, którzy znacznie intensywniej skupiali się wyłącznie na pracy. Nagle widać, jak mocno działają stereotypy i przyzwyczajenia. Kto zajmuje się dziećmi, kiedy brakuje odciążenia w postaci nauczania szkolnego, stołówki szkolnej, zajęć pozalekcyjnych…

Powiesz więcej o Święcie Pracy Niewidocznej?

Miałam niewielki udział w organizacji przedsięwzięcia, które zwracało uwagę na niewidoczną pracę kobiet. Odbyło się przy okazji obchodów 1 Maja w Pra-

eprasa.pl 341d6b84b9

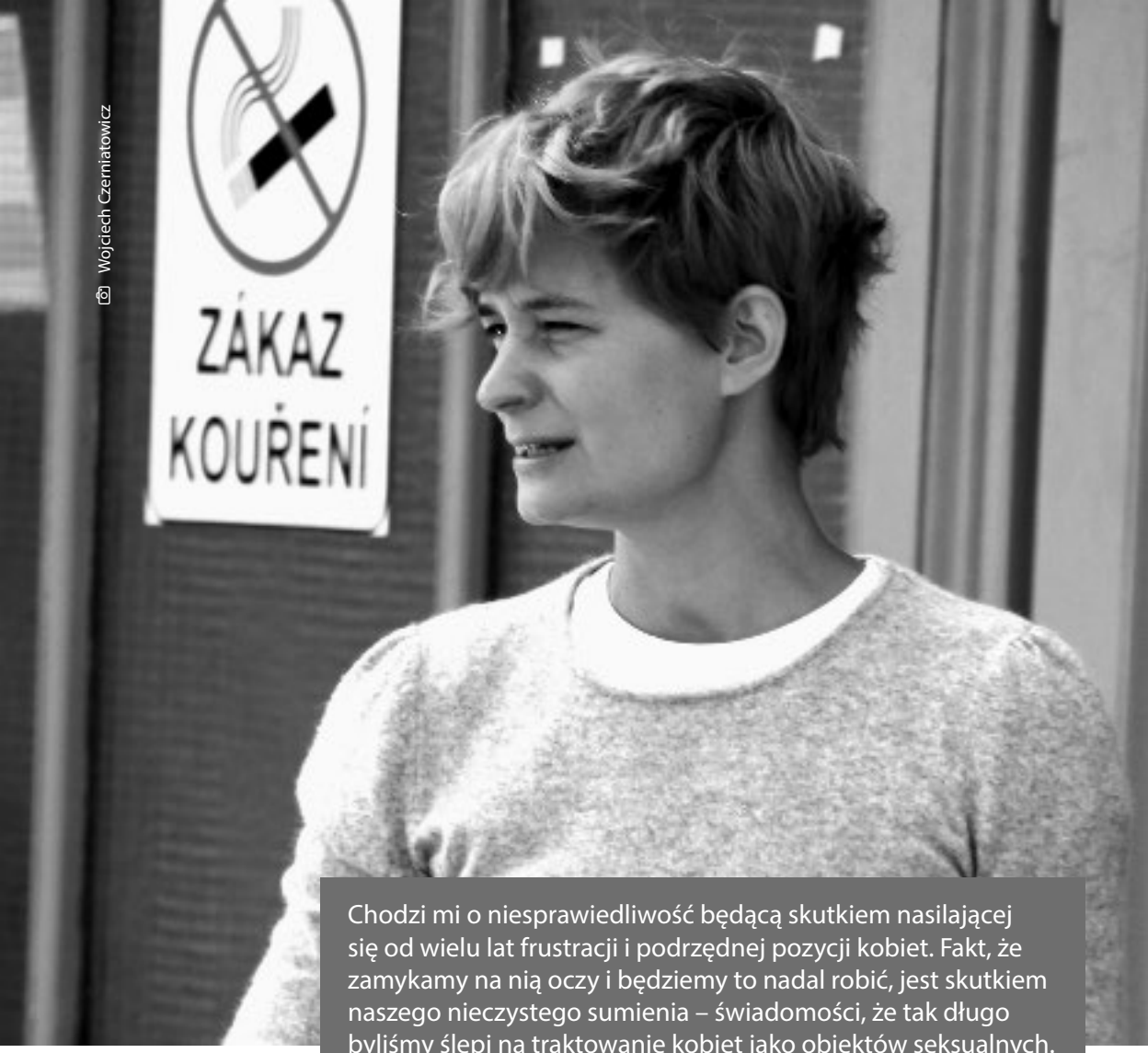

Wojciech Czerniatowicz

Chodzi mi o niesprawiedliwość będącą skutkiem nasilającej się od wielu lat frustracji i podrzędnej pozycji kobiet. Fakt, że zamykamy na nią oczy i będziemy to nadal robić, jest skutkiem naszego nieczystego sumienia – świadomości, że tak długo byliśmy ślepi na traktowanie kobiet jako obiektów seksualnych.

dze. W ramach święta odbył się happening z wykorzystaniem sznurka, na którym zamiast prania wisiały hasła typu „Już nie mogę", „Nie chcę, żebyś mi tylko »pomagał«" itd. To jest temat, który na politycznej scenie praktycznie nie istnieje, podobnie jak inne podstawowe kwestie, przede wszystkim zmiany klimatyczne. Przez lata byłam wyborczynią, a przez pewien czas nawet aktywną członkinią Partii Zielonych. Jeśli już coś mnie uwiera na czeskiej scenie politycznej, to nie jest to sukces czy porażka Piratów w wyborach, a fakt, że w czasach wielkich zmian klimatycznych nie istnieją one dla polityków jako temat.

Państwo czeskie zdecydowało ostatnio, że Czeszki nie muszą już dodawać do swoich nazwisk końcówki „-ová". Dlaczego dla kobiet w Czechach ta decyzja jest ważna?

eprasa.pl 341d6b84b9

Końcówka „-ová" wskazuje na to, że kobieta jest własnością swojego męża. Na co dzień o tym nie myślimy, ale to znaczenie kryje się w tych trzech literach i boli, gdy to sobie człowiek uświadomi. Ale czemu nie mielibyśmy pójść jeszcze o krok dalej? Ja na przykład dużo bardziej szanuję swoją matkę niż ojca i drażni mnie, że nazywam się po nim tylko dlatego, że taki był i jest społeczny zwyczaj. Moja wyemancypowana matka po ślubie zachowała panieńskie nazwisko, ale mnie dała nazwisko ojca. Ja zresztą podobnie, po ślubie pozostałam przy swoim nazwisku, ale tak samo jak moja matka z przyzwyczajenia dałam swoim dzieciom nazwiska ich ojców. Dziś już bym postąpiła inaczej.

Czy to tylko kwestia końcówek? Jak inaczej Czeszki walczą o swoje prawa?

Ogólnie rzecz biorąc, walczą wszędzie tam, gdzie znajdują się w pozycji słabszych. Więc z niewielkimi wyjątkami – wszędzie. Równocześnie jednak przybywa mężczyzn w trudnym położeniu, których życie można zniszczyć w jednej chwili oskarżeniem o molestowanie seksualne, nawet jeśli jest ono fałszywe. Dostrzegam tu niezwykle szybko rosnącą przestrzeń dla niesprawiedliwości, której ofiarami są i będą mężczyźni.

Co masz na myśli?

Chodzi mi o niesprawiedliwość będącą skutkiem nasilającej się od wielu lat frustracji i podrzędnej pozycji kobiet. Fakt, że zamykamy na nią oczy i będziemy to nadal robić, jest skutkiem naszego nieczystego sumienia – świadomości, że tak długo byliśmy ślepi na traktowanie kobiet jako obiektów seksualnych.

Wszystko to, co się dziś dzieje, porównałabym do „dzikich wysiedleni" Niemców z czeskiego pogranicza po II wojnie światowej. Okrucieństwa, do których wówczas doszło, były rezultatem skumulowanej nienawiści do Niemców za to, czego dopuścili się na naszych ziemiach w czasie wojny. Chodziło o jakąś zbiorową karę – podobnie jak dziś w sferze gender.

Petra Hůlova jest prozaiczką. Uważana za jedną z najwybitniejszych czeskich autorek. Tłumaczona na wiele języków (między innymi angielski, niemiecki, włoski, francuski, szwedzki, węgierski). Laureatka najważniejszych czeskich nagród literackich: Magnesia Litera, Nagroda Josefa Škvoreckiego, Nagroda Jiřiego Ortena, Książka Roku – nagroda dziennika „Lidové Noviny". W Polsce ukazały się dotąd: *Czas Czerwonych Gór* (2007), *Stacja Tajga* (2011), *Plastikowe M3, czyli czeska pornografia* (2013), *Macocha* (2017) oraz jedna z najbardziej kontrowersyjnych powieści Hůlovej pt. *Krótka historia Ruchu* (2021).

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Podcasty
Nowej Europy
Wschodniej

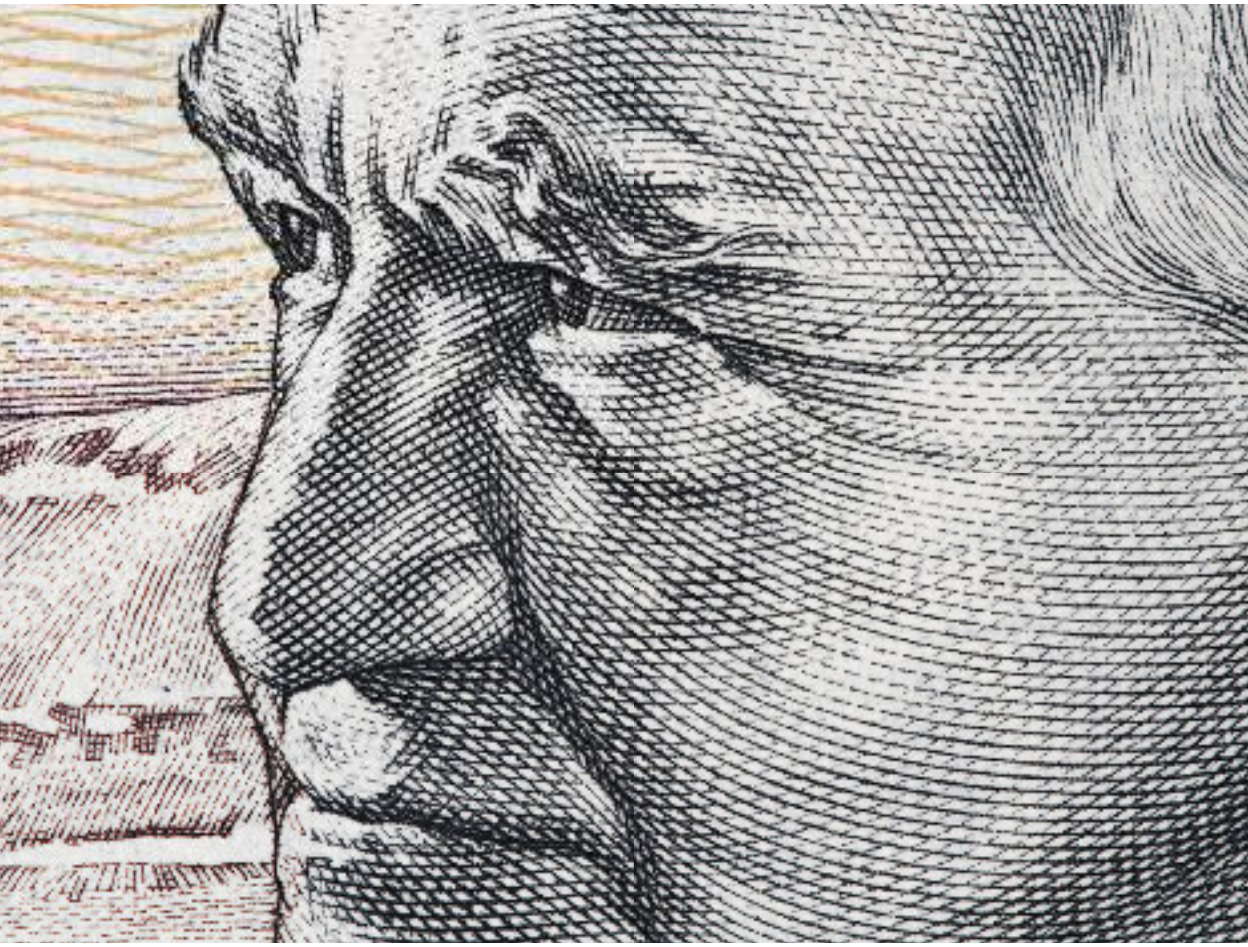

Dawid Ben-Gurion

WROTA DO IZRAELA ZNAJDUJĄ SIĘ W POLSCE

W cyklu podcastów opowiemy o twórcach idei syjonistycznej pochodzących z ziem polskich. O ludziach, których marzenia o państwie żydowskim tworzyły podstawy, na których zbudowano Izrael. O ile dużo mówi się o późniejszym życiu ludzi takich jak Dawid Ben-Gurion czy Menachem Begin, to ich związki z Polską są często zapominane. Dlatego historie ojców współczesnego Izraela opowiemy po polsku, hebrajsku i angielsku.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Zadanie publiczne finansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w konkursie „Dyplomacja publiczna 2021"

STITCHER

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Yishai Sarid

Potwór pamięci

Nie musieliśmy was tu przywozić. Mogliśmy was przecież zabrać do Paryża, byście podziwiali te przepiękne ulice, albo do Włoch, gdzie jest najlepsze jedzenie na świecie, albo do Londynu, żeby iść do teatru, albo zobaczyć piramidy w Egipcie. A może na słodycze do Maroka, na mecz piłki nożnej w Barcelonie albo do Aten posłuchać ulicznych pieśniarzy śpiewających o złamanym sercu. Ale przywieźliśmy was właśnie tutaj, na miejsce mordu. Cel ten został najpewniej osiągnięty: zrozumieliście, że wszystko to kwestia siły, siły i jeszcze raz siły.

fragment książki

KEW
Nowa Europa Wschodnia
NewEastEurope
eprasa.pl 341d6b6409

REKLAMA

Lidia Czukowska | *Zapiski o ANNIE ACHMATOWEJ* w TRZECH TOMACH

Książki dostępne
w najlepszych
polskich księgarniach
i w sklepie
internetowym
www.kew.org.pl

20 LAT
Kolegium
Europy
Wschodniej

CENTRUM
POLSKO-ROSYJSKIEGO
DIALOGU I POROZUMIENIA

*W niezwykłych zapiskach
z rozmów dwóch wspaniałych kobiet,
chorych, biednych i nieszczęśliwych,
czuć smak i zapach życia codziennego
w kleszczach stalinowskiego terroru;
czuć niszczące działanie codziennej
trucizny, z którą zmagają się te kobiety,
myśląc o uwięzionych najbliższych.*

Adam Michnik

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

C-KEW

STANISŁAWÓW 20/XX

miasto i architektura (1918—1939)

ŻANNA KOMAR

REKLAMA

SPRAWDŹ NA:
PRZEGLADPOLITYCZNY.PL

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Najpiękniejszy polski magazyn intelektualny

W prenumeracie:

darmowa dostawa

dostęp do e-wydań

najlepsza literatura w prezencie

PLAKATY z kultową okładką miesięcznika „Znak”

Zamów na
miesiecznik.znak.com.pl/prenumerata/

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Od lipca w księgarniach

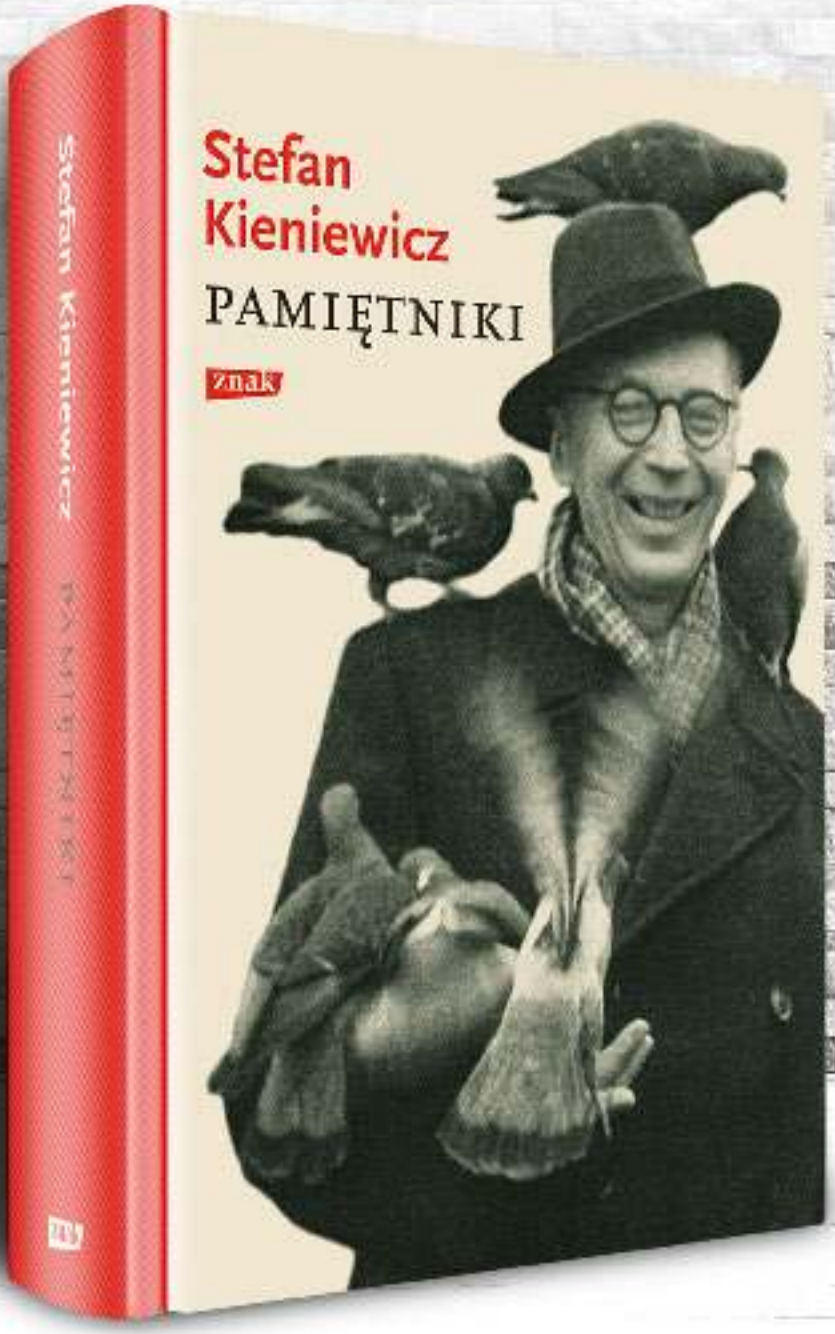

znak

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

Wrocław miasto spotkań
SPOTKAJMY SIĘ WE
WRO
WROCŁAWIU
visitWroclaw.eu
Oficjalny serwis turystyczny

epresa.pl 3[illegible]1d6[illegible]34b9

Recenzje

Na skraju historii

Tadeusz Andrzej Olszański, *Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2020

Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne to teka szkiców poświęconych ukraińskiej historii najnowszej. Ich autorem jest Tadeusz Andrzej Olszański – publicysta i politolog, przez blisko ćwierć wieku analityk Ośrodka Studiów Wschodnich ds. Ukrainy.

Eseje Olszańskiego są treściwe i erudycyjne, a gatunkowo książka kojarzy się z takimi pozycjami jak *Nowa Ukraina. Nowe interpretacje* Jarosława Hrycaka (Wrocław 2009). Autor za cel stawia sobie na ogół w mniejszym stopniu rozprawy nad archiwami i szczególarstwo, a w większym wyciągnięcie z wydarzeń i procesów istoty rzeczy. To podejście cieszy czytelników zaznajomionych z tematyką, z kolei osoby mniej z nią obeznane być może będą musiały sięgnąć po dodatkowe źródła.

Materiały składające się na tom to w większości zmodyfikowane wersje tekstów już opublikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego" (rozpiętość czasowa jest tu spora, niektóre pochodzą nawet sprzed kilkunastu lat), przydarzyły się także notatki, które autor poczynił na swój użytek przed jednym z wywiadów (momentami książka staje się lapidariami). Olszański skrupulatnie opatruje poszczególne teksty uwagami o czasie ich powstania, mimo to część informacji straciła na aktualności, a powracanie do dawniejszych artykułów wymusza na czytelnikach i czytelniczkach uważność. Czasem dostajemy najpierw tekst sprzed lat, a tuż po nim współczesny komentarz do danego problemu.

Olszański pochyla się między innymi nad fenomenem tworzenia się nowoczesnego narodu ukraińskiego – jego mitologii, wizji samego siebie. Autora przede wszystkim interesuje nie historia jako taka, a raczej pamięć o niej oraz to, jak wpływa ona na tożsamość Ukraińców. W tych zaś sferach w ostatnich latach, a zwłaszcza po 2013 roku, sporo się zmieniło. Na przykład tekst o pamięci o komunizmie pochodzi z 2006 roku (dla wprawnego oka to zresztą ciekawy zapis chwili, gdy nad Dnieprem można było znaleźć jeszcze pomniki Bohaterskich Czekistów czy Stanisława Kosiora). Zdecydowana większość myśli nie stra-

eprasa.pl 341d6b84b9

ciła jednak na aktualności i dobrze, że wybrzmiewają, na przykład: „Dezorientację pamięci pogłębia to, że komunizm na Ukrainie (i nie tylko tam) nie został obalony. Nawet nie upadł. On się przekształcił, zreformował do niepoznania, przestał być komunizmem – bez naruszenia ciągłości instytucjonalnej i personalnej". W tym kontekście ciekawe są też między innymi uwagi, że głosy mówiące, iż łatwiej byłoby zbudować *samostijną* bez zrusyfikowanego Donbasu czy Krymu, nie pojawiły się po aneksji Krymu i rozpoczęciu wojny rosyjsko-ukraińskiej – były słyszalne już pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku.

Spektrum zainteresowań Olszańskiego jest duże. W książce znajdziemy eseje na takie tematy jak sytuacja wyznaniowa, historia ukraińskiego hymnu czy flagi, Hołodomor, rewolucja godności. Są one okraszone wieloma błyskotliwymi myślami. Na przykład w kontekście Wielkiego Głodu stawia odważne tezy, pisząc również o współodpowiedzialności części Ukraińców: „Aparat sowieckiej Ukrainy składał się w ogromnej części z miejscowych, zwłaszcza na niższych szczeblach. To oni prowadzili kolektywizację, a potem realizowali działania, prowadzące do Hołodomoru (…) nie oni je nakazali, to prawda. Ale realizowali je skutecznie i gorliwie. To jeden ze »szkieletów z ukraińskiej szafy« (…)".

Docenić należy fakt, że Olszański nie jest dogmatyczny, nie osuwa się ani w żadne „filie", ani w żadne „fobie", potrafi być krytyczny tak wobec strony polskiej, jak i ukraińskiej. Jednocześnie jego horyzont intelektualny wykracza poza Ukrainę, od czasu do czasu osadza on ukraińskie wydarzenia w szerszym kontekście. I tak na przykład pisząc o Hołodomorze, dodaje: „zaś o głodzie w Kazachstanie nie wiemy prawie nic, choć wiele wskazuje na to, że w tym czasie wymarła połowa Kazachów".

To książka pouczająca, porządkująca wiadomości, a jej centralną częścią pozostaje ostatni z rozdziałów – stustronicowy esej *Ukrainy problemy z tożsamością (i problem polityki historycznej)*. Spuścizna analityczna i publicystyczna Olszańskiego jest spora, stąd zapewne pojawiła się pokusa sięgnięcia po jej część – szkoda jednak, że autor nie zdecydował się na napisanie książki od nowa. Wówczas ta bardzo wartościowa pozycja jeszcze bardziej zyskałaby na spójności i przejrzystości.

Zbigniew Rokita

Debiut spełniony

Tatiana Țîbuleac, *Lato, gdy mama miała zielone oczy*, tłum. Dominik Małecki, Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław 2021

Powieść Tatiany Țîbuleac *Lato, gdy mama miała zielone oczy* jest wyjątkowa. Na ten fakt składają się przynajmniej dwie rzeczy. Po pierwsze, książka rumuńskiej autorki stanowi pod każdym względem

eprasa.pl 341d6b84b9

literaturę najwyższej próby. Po drugie, została udostępniona polskiemu czytelnikowi przez Dominika Małeckiego we wspaniały sposób. Te dwa czynniki pojawiają się jednocześnie na polskim rynku wydawniczym stosunkowo rzadko.

Fabuła wydanej przez wrocławskie wydawnictwo Książkowe Klimaty powieści wydaje się nieskomplikowana. Jej główny bohater Aleksy pisze po latach wspomnienie wakacji – czasu, kiedy jako czternastolatek miał wyjechać z kolegami do Amsterdamu i uprawiać „seks z tamtejszymi kobietami" i jarać „wszystko, co popadnie", a zdecydował się na podróż z matką do francuskiej wsi. Tam okazuje się, że matka umiera: „Mam raka, Aleksy, jest zły i wściekły – oznajmiła i dzień w tej samej sekundzie zaczął tężeć". I tak wspomnienie tytułowego lata staje się zapisem zmiany, jaka zachodzi w głównym bohaterze: od dominującej całą narrację złości i niezgody wymierzonych w stronę matki, która podejmowała w życiu niedorzeczne decyzje i doświadczała wyłącznie „niemiłości", po synowskie zrozumienie, czułość czy nawet zachwyt, jak w kończącej książkę pisanej odręcznie litanii: „Oczy mamy były oknami szmaragdowej łodzi podwodnej/ Oczy mamy były muszelkami wyrosłymi na drzewach/ Oczy mamy były bliznami na twarzy lata/ Oczy mamy były pąkami w oczekiwaniu". W istocie Aleksy nie opisuje wyłącznie wakacji spędzonych z matką – te stają się punktem wyjścia do wspomnienia wielu innych wydarzeń: śmierci siostry, wypadku samochodowego, w którym stracił nogi, przede wszystkim doświadczenia choroby psychicznej, która, jak przyznaje, najpierw go zmęczyła, pokryła „wszelką możliwą zgnilizną", by następnie „uczynić […] bogatym i pożądanym" malarzem.

Tatiana Țîbuleac ustanawia chorobę psychiczną jako siłę napędzającą – tak pod względem fabularnym, jak i językowym – narrację. Aleksy, jak sam przyznaje, podejmuje się napisania książki w ramach terapii, na sugestię psychiatry, który „stwierdził, że jeśli odtworzę to lato chronologicznie, uda mi się wrócić do malowania". Bohater, starając się więc ujarzmić swoją historię (pozostawiając w pewnym momencie kwestię chronologii psychiatrze lub jakiemuś „krytykowi psychopacie"), pragnie jednocześnie poradzić sobie z samym sobą. Przez literaturę wrócić do malarstwa, przez chorobę matki do własnej choroby, przez rozproszone wspomnienia do tamtego francuskiego lata (jak przyzna pod koniec książki: „Próbowałem zrozumieć, dlaczego wszystko wydarzyło się właśnie tak, jak się wydarzyło. Zastanawiałem się, czy to lato, które spędziłem z mamą, stanowiło część jakiegoś większego planu, a jeśli tak – to czyjego?").

Taki mechanizm – kierowany pragnieniem ukazania historii, a jednocześnie zrozumienia siebie – przekłada się na język książki, gdzie fragmenty przedstawiające na sposób płynny kolejne wydarzenia przeplatają się z passusami *stricte* poetyckimi, a skupionymi na pojedynczej chwili, wspomnieniu czy skojarzeniu.

eprasa.pl 341d6b84b9

Najbardziej przerażający, a jednocześnie w sposób fascynujący oddany jest – także na poziomie graficznego zapisu – „epizod", podczas którego Aleksy roztrzaskuje sobie rękę o próg: „Chodź ze mną, powiedziała mama, a jej słowa zawisły w powietrzu jak kropelki oleju w szklance z wodą – unosiły się i popychały nawzajem w przestrzeni pokoju o drżących brzegach, rozpadały się i mnożyły, formułując znowu i znowu, bez końca, to krótkie zdanie: *mnąchodźzezechodźmnąchodźmnązemzezechodźmnąchodźmnChązemnąchodźmązemzeechodźmnąchodźną Chodźzezechodźmnązechodźmnąchodźmzechodźmnąchodźnązemzezehodźmnązechodźmnąchodźmzechodźmnąchodźmezezechodźmnązechodź* (…)".

Prozę Tatiany Țîbuleac łączy z polskimi tekstami poświęconymi relacji z matką, jak również relacjonującymi jej śmierć – *Matka odchodzi* Tadeusza Różewicza, *Kontener* Marka Bieńczyka czy *Bezmatek* Miry Marcinów – wyłącznie temat utraty rodzica, a różni fikcjonalność. Fikcjonalność tej prozy nie sprawia jednak, że jest to tekst mniej przejmujący czy przekonywający. Podczas lektury niejednokrotnie zapomina się, że książkę Aleksego tworzy tak naprawdę Tatiana Țîbuleac – autorka wcielona w tworzone przez siebie postaci, tak jak w tym fragmencie: „Z pewnością znajdą się tacy, co stwierdzą, że jestem zboczony, że mężczyzna nie może bez odrazy patrzeć na sutki swojej mamy – i pewnie będą mieć rację. Po tym wszystkim jednak, co w tamtych tygodniach dla niej zrobiłem, jej sutki wzbudzały we mnie mniej więcej tyle emocji co jej pięty".

Na osobną uwagę zasługuje przekład powieści przygotowany przez Dominika Małeckiego. Tłumaczenie znakomicie oddające w języku polskim melodię zdań, zmysłowość tej prozy, jej poetyckość i humor – „Tata sądził, że Pluton to imię psa, a »wolontariat« oznacza ściąganie majtek na ulicy" – tak istotny dla przełamania intensywnego tempa tekstu i powagi tematu. Przede wszystkim należy podkreślić wyczucie autora przekładu na pełniącą tak ważną funkcję w powieści Țîbuleac obrazowość, dobrze widoczną w tych fragmentach: „Pachniała jak świeżo naostrzone ołówki", „Żałowałem, że nie urodziłem się kilofem albo promieniem, albo termitem", „Zaczęliśmy wszyscy biegać wokół kościoła – blondyni spasieni jak gąsiory – bełkocząc coś po polsku i mamląc cukierki" czy – mój ulubiony – „Byłem jak wysypisko śmieci bez ogrodzenia".

Țîbuleac i jej debiutanckiej powieści *Lato, gdy mama miała zielone oczy* zarzucić można jedno – naiwną, momentami pretensjonalną konstrukcję postaci Aleksego, to jest genialnego malarza, osoby z niepełnosprawnością, uzależnionej od narkotyków, wariata („Moira, to wariat, wariat, rozumiesz? Po to pracowałem całe życie, żeby wydać cię za wariata?"). Rumuńska pisarka nie tylko kopiuje stereotypowy i zmitologizowany obraz artysty-szaleńca, ale także ukazuje chorobę, uzależnienie czy dysfunkcję jako coś zgoła niezwykłego. Takie ujęcie tworzone jest – z wyjątkiem może kilku

eprasa.pl 341d6b84b9

fragmentów poświęconych „hienom" na rynku sztuki czy refleksji dotyczącej bycia „bogatym i ułomnym" – całkowicie bezkrytycznie, może dlatego że w pełni tłumaczy intensywność i dramatyczność prozy rumuńskiej autorki. Pojawia się jednak pytanie: czy sama choroba matki i jej śmierć nie są wystarczająco intensywnymi, dramatycznymi, zmieniającymi percepcję rzeczywistości doświadczeniami?

Książka Tatiany Țîbuleac stanowi jednak rzadki przykład prozy spełnionej: operującej językiem klarownym, a jednocześnie głęboko zanurzonym w poezji, podejmującej bez popadania w pompatyczność czy moralizatorstwo tematy śmierci i choroby, wreszcie wywołującej w czytelniku śmiech, smutek, złość i podziw. Emocje, które są udziałem głównego bohatera powieści, przede wszystkim jednak potwierdzają – a jest to powieść debiutancka! – literacki kunszt rumuńskiej prozaiczki.

Maciej Topolski

Ratunek przed niedostatkiem

Wasyl Stus, *Wesoły cmentarz. Wiersze wybrane z lat 1959–1971*, tłum. Marcin Gaczkowski, Wrocław–Wojnowice 2020

Od wydania zbioru wierszy *Wesoły cmentarz* Wasyla Stusa w polskim przekładzie Marcina Gaczkowskiego (bardzo dobrym, należy dodać) do momentu, kiedy piszę te słowa, mija prawie rok. Kiedy dziś myślę o publikacji *Wesołego cmentarza* w polskim polu literackim, na usta ciśnie mi się tylko jedno słowo: „przegapiona". To książka „przegapiona" przez krytykę, przez kapituły nagród translatorskich (Stus powiedziałby „speców od literatury"), przez czytelników i czytelniczki. Kolejny raz wypadałoby napisać, że dzieła jednego z najwybitniejszych poetów ukraińskich swojego pokolenia – tym razem pokolenia sześćdziesiątników (ukr. *szistdesiatnyky)* – które po latach zostały przełożone na język polski (w końcu z należytą starannością) i w dodatku pieczołowicie wydane (to między innymi zasługa ilustracji Jakuba Kamińskiego), nie zostały dostrzeżone. O powodach tego stanu rzeczy pisać nie chcę, wszak zainteresowanie poezją to hobby nielicznych, podobnie jak zainteresowanie Ukrainą, jej kulturą, polityką, codziennością. Inna sprawa to ekonomiczne uwarunkowania wydawców i rynku książki.

Chcę jednak zwrócić uwagę na *Wesoły cmentarz* z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to kolejna książka, która zapełnia lukę w polskich przekładach literatury ukraińskiej. W tym przypadku tomem wierszy uznawanym za przełomowy, autora postrzeganego jako postać kultowa. Po drugie, wiersze składające się na wybór *Wesoły cmentarz*, które powstawały w latach 1959–1971, dziś nabierają aktualności w tematach krytyki reżimu, kapitalistycznej chciwości, ograniczania swobód obywatelskich itd. Oczywiście moż-

eprasa.pl 341d6b84b9

na na te wiersze patrzeć z perspektywy literaturoznawczej (odniesienia do obrazów *danse macabre*, inspiracje między innymi twórczością André Bretona, wpływy neoromantyczne i ekspresjonistyczne), jednak ciekawsze pozostaje pytanie o gest politycznego sprzeciwu, niezgody na ból i nierówność.

Żeby lepiej zrozumieć, co mam na myśli, należy napisać kilka słów o samym autorze (o jego twórczości pisze szerzej Marcin Gaczkowski w przedmowie do polskiego wydania). Ukraińcy i Ukrainki uważają Wasyla Stusa (1938–1985) za postać wybitną. Wsławił się nie tylko jako poeta, tłumacz, ale przede wszystkim jako obrońca praw człowieka i niezależności Ukrainy. Od 1965 roku, kiedy po premierze filmu *Cienie zapomnianych przodków* w reżyserii Sergieja Paradżanowa, na podstawie opowiadania Michajły Kociubińskiego pod tym samym tytułem, zainicjował protest przeciwko serii aresztowań działaczy ukraińskiej inteligencji, znajdował się na celowniku KGB. Został usunięty ze studiów doktoranckich, jego książki nie mogły zostać opublikowane po „weryfikacji" cenzury. W 1970 roku Stusem wstrząsnęła śmierć Ałły Horskiej, awangardowej artystki, jednej z przedstawicielek kijowskich dysydentów, prywatnie przyjaciółki poety (szerzej o Horskiej na łamach „Nowej Europy Wschodniej" nr 1–2/2021 pisała Lizawieta German). W 1972 roku został po raz pierwszy aresztowany za prowadzenie antypaństwowej agitacji, odbywał karę w autonomicznej republice Mordowii i obwodzie magdańskim. Ciężka praca wpłynęła na jego stan zdrowia. W 1979 roku odzyskał wolność na dziewięć miesięcy i wrócił do Kijowa, po czym znów został aresztowany w ramach czystki przed igrzyskami olimpijskimi w Moskwie. Trafił do obozu Perm-36, gdzie zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach podczas głodówki w nocy z 3 na 4 września 1985 roku. Szczątki Stusa wróciły na Ukrainę dopiero w 1989 roku, w momencie rozpoczynających się przemian ustrojowych.

Autor *Wesołego cmentarza* pozostawił po sobie olbrzymi dorobek literacki, między innymi *Palimpsesty* wydane po śmieci poety w 1986 roku w Nowym Jorku. Utwory składające się na ten tom powstawały w czasie pobytu na zesłaniu – część z nich była szyfrowana w listach do żony, wielu wierszy współwięźniowie uczyli się na pamięć. W 1975 roku wystosował list *Oskarżam*, w którym sprzeciwiał się nagonce na ukraińską inteligencję i niezależność.

Wiersze Stusa często przybierają formę migawek, krótkich, zamkniętych obrazów, które – jak w przypadku poematu *Żwir* – układają się w mozaikową opowieść o bólu, milczeniu, ciele i sprawiedliwości. „Zostałem rozkradziony/ po same żebra./ Aż dziw bierze,/ że zostały mi wargi" – pisze Stus, by za moment dodać „Niemi to bogacze. A jeśli do tego/ jeszcze ślepi,/ to już w ogóle – krezusi". W wierszu *Symbol wiary* z kolei poeta pisze: „Co w dzieciństwie było wiarą w dobro,/ stało się dziś słonym bólem: nie ma/ dobra. Nie ma go na świecie. Dobro/ to sen, śmierć, nie-

eprasa.pl 341d6b84b9

świadomość", zwracając uwagę na bierność czy dewaluację wartości. Wiersze Stusa można czytać także jako zapis życia więziennego czy przestrogę przed eskalującą przemocą: „Każdy kat/ lubi czerwone wino,/ rozgrzane do 36°" (z poematu *Żwir*) lub jak w utworze bez tytułu z 4 stycznia 1971 roku: „Ludziom/ skazanym na śmierć/ wydano strzelby/ (wykonując ich ostatnią wolę)./ A oni zaczęli strzelać/ do innych skazanych na śmierć,/ żeby pogodzić się/ ze swoją". Nie brakuje w tym tomie także przemyśleń dotyczących samej sztuki (także poetyckiej): „– O tak, sztuka to zawsze nadmiar –/ odpowiadałem, całując jej kolana./ – A jednak tylko nadmiar/ ratuje nas przed niedostatkiem" (wiersz bez tytułu z kwietnia 1968 roku).

Dziś, w momencie niemal transparentnej dla polityki międzynarodowej wojny na wschodzie Ukrainy, a także w czasie nasilonych represji wobec Białorusinów i Białorusinek, pytania o prawa człowieka, która wybrzmiewają w tomie takiego poety jak Wasyl Stus, powinny nabierać na sile. Pozostają jednak niezauważone, przemilczane. Chciałoby się posłuchać Stusa, który mówi: „Gwiazdom służy czerń", jednak wciąż przeraża historia, która tak często lubi się powtarzać.

Urszula Pieczek

Wbrew czarnej legendzie

Marek Kornat, Mariusz Wołos, *Józef Beck. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się obszerna biografia Józefa Becka autorstwa dwóch znanych historyków: Marka Kornata i Mariusza Wołosa. Jak dotąd to najbardziej wyczerpujące opracowanie dotyczące życia ostatniego ministra spraw zagranicznych II Rzeczpospolitej, który przeszedł do historii za sprawą pamiętnego przemówienia z 5 maja 1939 roku, w którym odrzucił ultimatum Adolfa Hitlera wobec Polski. Wtedy padło najczęściej cytowane zdanie dyplomaty „My w Polsce nie znamy pokoju za wszelką cenę". Beck został surowo osądzony przez historiografię, doczekał się wielu krytycznych ocen, głównie przez pryzmat wydarzeń z lat 1938–1939. Minister i jego czarna legenda stał się bohaterem historii alternatywnych, zyskał nawet przydomek grabarza Rzeczpospolitej.

Autorzy postawili sobie za cel przygotowanie biografii *sine ira et studio* (bez gniewu i upodobania), a więc w kontrze do powszechnego postrzegania kontrowersyjnej postaci Józefa Becka. Na kartach liczącej blisko tysiąc stron publikacji historycy starali się ukazać całokształt postaci, nie tylko wycinek biografii znany z podręczników szkolnych. Książka skła-

eprasa.pl 341d6b84b9

da się z dziesięciu rozdziałów ułożonych chronologicznie, przez co zachowana jest dynamika zdarzeń, mających jednak charakter kontekstowy. Akcent położony został na działalność dyplomatyczną Becka, zwłaszcza okres pracy na stanowisku wiceszefa i szefa resortu spraw zagranicznych w latach 1930–1939. Co zostało wielokrotnie podkreślone, Beck jako polityk nigdy nie przestał czuć się żołnierzem, podobnie jak jego mentor Józef Piłsudski.

Z uwagi na skromny i rozproszony materiał źródłowy niewiele wiadomo o młodości ministra, ścieżce edukacji, służbie wojskowej i drodze do najwyższych stanowisk państwowych. Trudno odpowiedzieć, jakim człowiekiem był Beck, zwłaszcza że jego postać przez lata była demonizowana przez oponentów. Mimo to autorom udało się pokazać także te mniej znane epizody życia Becka, wkraczając także w strefę prywatną polityka.

Podziw budzi skala przeprowadzonej kwerendy. Wołos i Kornat ruszyli za Beckiem do archiwów w kilkunastu krajach świata. Dzięki temu autorzy wykazali się w książce szerokim spojrzeniem na Becka i jego epokę. Nie zabrakło obszernego omówienia dotychczasowych badań nad biografią ministra, ale także historii dyplomacji, stosunków międzynarodowych czy walki o niepodległość. Czytelnik nie pozostaje z faktami biograficznymi sam. Autorzy zadbali o dogłębne omówienie wydarzeń, na których tle toczyło się życie Becka i które wpłynęły na jego działalność polityczną. Beck stał na czele resortu spraw zagranicznych przez siedem burzliwych i „szybkich" lat historii stosunków międzynarodowych. Po załamaniu ładu wersalskiego dokonał się przewrót dyplomatyczny w Europie. Poznanie epoki umożliwia lepsze zrozumienie motywacji i decyzji Becka.

Kim był Józef Beck? Po pierwsze, żołnierzem, potem politykiem, w obu przypadkach wiernym ideom Piłsudskiego. Był jednym z najbliższych współpracowników marszałka, zrobił karierę wojskową, później rozpoczął działalność dyplomatyczną poprzez realizację misji specjalnych jako wysłannik Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa w wielu krajach europejskich. Po zamachu majowym i przejęciu władzy przez Piłsudskiego dostał się do najwyższych funkcji w państwie. Jak piszą Kornat i Wołos, Piłsudski przygotował Becka do odpowiedzialnych zadań dyplomatycznych w charakterze swojego zastępcy. Jako szef gabinetu Ministerstwa Spraw Wojskowych obserwował politykę wewnętrzną i zagraniczną. Beck nie krył oddania wobec Piłsudskiego, co marszałek doceniał, obdarzając go zaufaniem i od 1932 roku czyniąc głównym wykonawcą swojej polityki zagranicznej.

Na biografii Becka cieniem kładzie się postać Piłsudskiego, co widać także w konstrukcji książki, podzielonej na dwa zasadnicze okresy życia ministra – przed śmiercią marszałka i po niej. Od 1935 roku Beck samodzielnie stał za sterem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prowadząc do 1937 roku politykę rów-

eprasa.pl 341d6b84b9

nowagi między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą w czasie względnej stabilizacji na arenie międzynarodowej. Sytuacja zmieniła się w 1938 roku, co zostało opisane w rozdziale siódmym. Polityka zagraniczna przybrała kurs ustępstw mocarstw zachodnich wobec III Rzeszy. Najobszerniejszy rozdział pod tytułem *Annus Terribilis* dotyczy polityki Becka prowadzonej w miesiącach poprzedzających wybuch II wojny światowej oraz podczas kampanii obronnej do momentu przekroczenia granic z Rumunią. Narracji nie przerywa śmierć polityka. Zamyka ją uroczysty pochówek Józefa Becka, przewiezionego z Rumunii do Polski w maju 1991 roku.

Oceniając działalność Becka, Kornat i Wołos wypunktowali najważniejsze umiejętności, jakimi powinna się wykazać osoba piastująca funkcję ministra spraw zagranicznych: sztuka podejmowania decyzji (często wbrew opinii własnego narodu), kwalifikacje w roli negocjatora, umiejętność analizy sytuacji międzynarodowej, zdolność do przekonującego prezentowania własnemu społeczeństwu zasad prowadzonej polityki. Jak oceniają autorzy, Beckowi nie brakowało odwagi i umiejętności w decyzyjności, o czym świadczy odrzucenie żądań Hitlera na rzecz zachowania sojuszu z Francją i przyjęcia brytyjskich gwarancji. Najtrudniejszą do oceny okazała się umiejętność analizy sytuacji międzynarodowej, niejednokrotnie Beck wykazywał się przenikliwością w wypowiedziach, ale równie często jego przekonania na temat ówczesnej polityki europejskiej okazywały się złudne. Minister był ideowym wykonawcą myśli Piłsudskiego, w polityce zagranicznej stawiał sobie za cel udowodnienie, że bez przyzwolenia Polski nie da się rozwiązać żadnego z większych problemów bezpieczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej. Sytuacja w Europie była dynamiczna, a położenie Polski – pomiędzy dwoma agresywnymi sąsiadami – nie dawało wielkiego pola manewru. Autorzy podkreślają, że nie istniała alternatywa dla zasadniczej linii, jaką było oscylowanie między Niemcami a Rosją Sowiecką. Kornat i Wołos piszą, że ich ocena Becka jako ministra spraw zagranicznych nie może być negatywna, ponieważ analizując zgromadzone źródła, nie dostrzegają większych błędów w postępowaniu bohatera biografii. Jak zaznaczają, tylko wtedy historyk ma prawo do krytyki danej postaci, o której pisze, kiedy potrafi wskazać możliwość jej postępowania według alternatywnej opcji.

Jednym z najciekawszych rozdziałów jest ten traktujący o ostatnich latach życia Becka w Rumunii, czyli o „pułapce rumuńskiej". Dla niewtajemniczonych zdumiewające może okazać się to, że jedna z najważniejszych osób w międzywojennej Polsce umarła internowana w uwłaczających warunkach, bez dostępu do opieki medycznej, pilnowana przez żołnierzy innego państwa. Niektóre źródła opisują zaszokowanie Becka decyzją o opuszczeniu walczących wojsk przez naczelnego wodza marszałka Edwar-

eprasa.pl 341d6b84b9

da Rydza-Śmigłego. Po przekroczeniu granic, 17 września 1939 roku, polskie władze przyjęto z należnymi honorami, ale wkrótce sytuacja diametralnie uległa zmianie. Pod groźbą wojny Niemcy zażądali od Rumunów zatrzymania Polaków. Minister spraw zagranicznych spędził w Rumunii pięć lat. W tym czasie podyktował swoje wspomnienia, znane jako *Final Report*. Przebywał pod stałym nadzorem, bez możliwości przemieszczania się. Polityk nabawił się choroby płuc, która ostatecznie doprowadziła do jego śmierci. Miał niespełna pięćdziesiąt lat, zmarł w izbie bez prądu i wody, w wiosce pod Bukaresztem 5 czerwca 1944 roku. Wszystkie próby wydostania Becka z Rumunii okazały się nieskuteczne.

Biografia Józefa Becka to efekt heroicznej pracy dwóch wysokiej klasy specjalistów. To także pierwsza akademicka biografia dyplomaty z rozbudowanym aparatem naukowym, bogatą i różnorodną bazą źródłową. Cennym uzupełnieniem są fotografie archiwalne, jak dotąd szeroko nie rozpowszechnione. Pomimo naukowego charakteru i obszerności lektura została napisana przystępnym i żywym językiem. Beck był człowiekiem swoich czasów, wpisanym w ówczesny etos wartości. Autorzy w odniesieniu do jego wypowiedzi, odwołujących się do honoru, wyjaśniają, że mowa o honorze nie była potokiem frazesów ani nie miała nic wspólnego ze szlacheckim jego rozumieniem, określała wizję racji stanu. Polityka zagraniczna państwa była dla Becka sztuką kompromisu, ale istnieją także imponderabilia, wartości bezcenne i niezbywalne. Polską w 1939 roku nie rządzili samobójcy, jak głoszą zwolennicy historii alternatywnej. Kornat i Wołos udowadniają, że obok tej postaci nie można przejść obojętnie i nie powinno się sprowadzać Becka jedynie do wydarzeń poprzedzających wybuch II wojny światowej.

Sonia Knapczyk

Niemcy pokonani

Harald Jähner, *Czas wilka. Powojenne losy Niemców*, tłum. Arkadiusz Żychliński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021

Jeśli macie Państwo dużo zawodowych zobowiązań i rzeczy do zrobienia „od zaraz", nie zabierajcie się do lektury książki *Czas wilka. Powojenne losy Niemców* autorstwa Haralda Jähnera. Od jej lektury bowiem trudno się oderwać. Tak stało się ze mną.

Ale po kolei. Czym jest *Czas wilka*? To reportaż historyczny stworzony na bazie zgromadzonych przez autora relacji, wspomnień, wycinków prasowych, analizy szlagierów i przede wszystkim skrupulatnej kwerendy w archiwach. Gigantyczna, wieloletnia praca, godna wielkiego podziwu. Książka napisana jest żywym, barwnym językiem. Nie ma nic wspólnego z hermetycznym przekazem, którym

eprasa.pl 341d6b84b9

często posługują się historycy, przez co zniechęcają nas do lektury.

Czasem wilka Jähner wpisuje się w nurt książek opowiadających historie przemilczane i trudne. No bo jak widzieć w Niemcach ofiary wojny? Żołnierzy niemieckich (w kontekście II wojny światowej) uważamy (słusznie) za oprawców. Często poza marginesem dyskusji pozostawiamy powojenny los narodu niemieckiego, a ten podobny był do losów narodów zamieszkujących Europę Wschodnią. Złożyły się na niego: sieroctwo, bezdomność, wygnanie, utrata całego majątku, migracje, gwałt etc. Jähner przedstawia zamieniony w ruiny Berlin, do którego wkroczyła Armia Czerwona i którego bezdomni mieszkańcy (przed wojną zamożni reprezentanci inteligencji) wędrują po mieście w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Dyrygent, dziennikarka, lekarz i aktor spotykają w centrum miasta białego osła. Jähner przyznaje, że „był to widok surrealistyczny". Głodni, ciągną zwierzę za uszy na podwórze. Nie muszą nic mówić. Wiadomo: chcą je zabić i zjeść. Nie wiedzą tylko, jak zadać śmierć, nigdy tego nie robili, o pomoc proszą żołnierza Armii Czerwonej, ten mierzy z broni i strzela. Wtem pojawiają się zastępy ludzi. Wychodzą zewsząd: uliczek, piwnic, zrujnowanych kamienic. Rozszarpują zwierzę na kawałki. Ktoś wyrywa język – sztuka prawdziwego mięsa. Książka pokazuje Niemców, o jakich nie zwykliśmy czytać: bezdomnych, brudnych, głodnych. Nie tylko pokonanych, ale też po ludzku cierpiących.

Jak w wielu miastach Europy Wschodniej, tak i w Niemczech zmieniają się proporcje w liczbie kobiet i mężczyzn. Kobiet (przede wszystkim w dużych miastach) jest więcej, cóż mają więc począć, biorą na siebie obowiązki wypełniane przed wojną przez mężczyzn. Na ulice zasypanych gruzem metropolii wychodzą *Trümmerfrau*, czyli „kobiety ruin".

„W Berlinie jednak najcięższe prace były rzeczywiście sprawą kobiet. W szczytowym momencie prac porządkowych harowało tutaj dwadzieścia sześć tysięcy kobiet i tylko dziewięć tysięcy mężczyzn".

Nieuświadomiona jest także skala zniszczeń niemieckich miast. Całkowite odgruzowanie Drezna, które przeżyło naloty dywanowe, ogłoszono dopiero w 1977 roku. Autor mistrzowsko rekonstruuje pierwszą dekadę powojennych dziejów Niemiec. Nie tylko odbudowują się miasta, a tułacze szukają schronienia. W procesie „wychodzenia z wojny" ważne są przede wszystkim ludzkie emocje. Niektórzy chcą odblokować traumę, inni wręcz przeciwnie, wybierają milczenie. Autor zastanawia się także nad moralną kondycją Niemców, którzy przeżyli wojnę. Między innymi w tym kontekście cytuje utwór Wolfganga Borcherta walczącego w Wehrmachcie na froncie wschodnim. W *Pokoleniu bez pożegnania* Borchert pisze: „Jesteśmy pokoleniem bez więzi i bez głębi. Naszą głębią jest bezgrunt. Jesteśmy pokoleniem bez szczęścia, bez ojczyzny i bez pożegnania. Nasze słońce jest wąskie, nasza miłość okrutna, nasza młodość bez młodości".

eprasa.pl 341d6b84b9

Niemcy zbudowali w końcu swoje państwo od nowa. Przesiedleńcy znajdują nowe domy. Dzieci idą do szkół. Najpierw króluje czarny rynek i kartki, później kształtuje się powojenna gospodarka i rodzi się powojenny konsumpcjonizm. Odradza się życie artystyczne i kulturalne. Tylko fakt Zagłady jest powszechnie wypierany.

Jähner pisze: „Można piętnować szwankującą prawdomówność powojennego społeczeństwa niemieckiego, nie sposób jednak nie docenić skuteczności wyparcia, z którego nadzwyczaj skorzystali potomni. Cudem znacznie większym niż tak zwany Cud gospodarczy była w obydwu państwach niemieckich generalna akceptacja modelu społeczeństwa oczyszczonego z narodowego socjalizmu – mimo tak powszechnej odmowy zmierzenia się z przeszłością i mimo masowego powrotu starych nazistowskich elit na dawne stanowiska".

O tym, jak kolejne powojenne pokolenia będą sobie radzić z nazistowskim dziedzictwem, jakie pytania zadadzą swoim dziadkom/rodzicom i jakich będą domagać się dla nich kar, Jähner pisze krótko. Bo to bardzo ważny temat, ale już na inną opowieść.

Małgorzata Nocuń

Co najmniej sto lat

Mniejszości narodowe, etniczne i językowe III Rzeczypospolitej. Informator 2020, red. Beata Machul-Telus, Lech M. Nijakowski, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2020

Na początku 2021 roku w księgarniach pojawił się (wydany w roku 2020) pierwszy od momentu wejścia Polski do Unii Europejskiej informator sejmowy o mniejszościach narodowych, etnicznych i językowych autorstwa dr Beaty Machul-Telus, wieloletniej sekretarz Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP, oraz dra hab. Lecha M. Nijakowskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i od 2001 roku stałego doradcy Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP. Zainteresowałam się publikacją ze względu na wcześniejszą lekturę książki *Krwawy cień genocydu. Interdyscyplinarne studia nad ludobójstwem* (2011) ze wstępem Philipa Zimbardo, zredagowaną przez oboje autorów oraz Urszulę Markowską-Manistę. W tamtej publikacji nie tylko nakreślono problematykę ludobójczą w globalnej perspektywie psychologicznej, społecznej, historycznej i prawnej, ale zajęto się także zagadnieniami edukacyjnymi. Dodatkowym kontekstem dla informatora pozostaje fakt, iż od 1 kwietnia do 30 września 2021 roku trwa w Polsce Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań, który

eprasa.pl 341d6b84b9

skłania sporo osób do zaakcentowania tożsamości zarówno mniejszościowych, takich jak bojkowska, jak i większościowych, na przykład europejska.

Informator z założenia jest publikacją neutralną, dającą pogląd na stan spraw wynikający z danych oficjalnych, między innymi ze spisu ludności sprzed dekady, kiedy to 94,8 procent ludności deklarowało jednorodną polską tożsamość narodową. Książka zawiera opis wszystkich rozpoznanych przez państwo mniejszości narodowych, etnicznych i językowych, dane o ich liczebności, historii, oświacie i głównych organizacjach społecznych. Ukazuje też syntezę międzynarodowych przepisów ochrony prawnej mniejszości oraz krótką charakterystykę państwowych instytucji mających w swym spektrum działania z mniejszościami i wobec nich kwestię dostępu ich przedstawicielek i przedstawicieli do życia politycznego, mediów i edukacji. W publikacji o czytelnej strukturze informacyjnej nie ma miejsca na polemiki, problematyka trapiąca mniejszości w ostatnich latach, jak na przykład narastająca i podsycana przez media i instytucje publiczne ksenofobia (punktem odniesienia mogłyby być tu na przykład zrealizowane przez Związek Ukraińców w Polsce dzięki grantowi Fundacji Batorego na przeciwdziałanie dyskryminacji dwa raporty pod redakcją Piotra Tymy *Mniejszość ukraińska i migranci z Ukrainy w Polsce. Analiza dyskursu. Raport* z lat 2018 i 2019 lub tekst Jakuba Szymczaka z OKO.press *IPN wybiela „Burego"*. Opinia, że nie jest winny ludobójstwa, bo „mógł puścić z dymem więcej białoruskich wiosek" z 12 marca 2019 roku) siłą rzeczy nie mogła się tu znaleźć. Zadaniem informatora nie jest bowiem analiza radykalizacji społecznej w Polsce w ostatniej dekadzie i jej konsekwencji dla mniejszości. Chociaż nie wydaje mi się, żeby strukturę książki zaburzył rozdział poświęcony na przykład interwencjom na rzecz praw mniejszości podejmowanych przez specjalistyczne instytucje publiczne w Polsce.

Publikacja prezentuje dane ilościowe, które już za kilka miesięcy będzie można porównać z wynikami aktualnego spisu powszechnego, a tymczasem warto dowiedzieć się, że według państwowych statystyk do mniejszości narodowych uznawanych w Polsce należą mniejszości białoruska, która w roku 2011 liczyła 43 878 osób, czeska – 2831, litewska – 7376, niemiecka – 144 236, ormiańska – 1683, rosyjska – 8796, słowacka – 2739 ukraińska – 38 795 i żydowska – 7353. Do mniejszości etnicznych, których punktem odniesienia nie jest państwo narodowe, wliczane są karaimska z 314 osobami, łemkowska licząca 9640 osób, romska – 16 723, i tatarska z 1828 osobami. Jedyną mniejszością językową są Kaszubki i Kaszubi, których jest 232 547 (wśród nich polską tożsamość deklarowało 215 784 osób). O uznanie za mniejszość czynią starania Ślązacy, Grecy i Wilamowianie.

Podstawowe międzynarodowe uregulowania prawne w kwestii mniejszości wiążą się z refleksją powojenną, która za kontekst miała zbrodnie wojen świato-

eprasa.pl 341d6b84b9

wych, szczególnie zaś Holokaust. Warto też pamiętać, że punktem wyjścia dla uchwalonej w 1948 roku *Powszechnej deklaracji praw człowieka* przez nowo powstałą Organizację Narodów Zjednoczonych pozostawała *Deklaracja praw człowieka i obywatela* z 1789 roku, kiedy to Polska znajdowała się właśnie między pierwszym a drugim zaborem. Co ciekawe, dalsze dwudziestowieczne regulacje, a były to konwencje ONZ z lat sześćdziesiątych XX wieku – praw człowieka, likwidacji dyskryminacji rasowej, praw dziecka, zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty, w tle miały procesy dekolonizacji. Poruszyło mnie zdanie: „W dokumentach tych, zgodnie z długą tradycją pisano o prawach jednostek, a nie grup". Wyjątek stanowił artykuł 27 *Międzynarodowego pakietu praw obywatelskich i politycznych* z 1966 roku uniemożliwiający przymusową asymilację, który miał gwarantować prawo do kultury, religii, języka, co siłą rzeczy odnosi się do zbiorowości. Kolejna *Deklaracja praw mniejszości* to rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ z roku 1992, w której pojawiają się gwarancje stowarzyszeń i udziału w życiu politycznym. Nie sposób streścić rozdziałów referujących zawartość ustaw, proszę zatem wybaczyć wybiórczość treści przywoływanych dokumentów, chcę jednak dodać, iż Unia Europejska w roku 2000 przyjęła zasadę równego traktowania bez względu na pochodzenie i zdefiniowała dyskryminację bezpośrednią i pośrednią, a Polska przyjęła te przepisy w *Ustawie z 3 grudnia 2010 roku o wdrożeniu niektórych przepisów Unii Europejskiej w zakresie równego traktowania* [Dz.U. z 2010 roku, nr 254, poz. 1700 – przyp. red.] ze względu na płeć, rasę, pochodzenie etniczne, religię, wyznanie, światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną oraz organy właściwie w tym zakresie. Istotna jest też przyjęta przez nasz kraj w 1998 roku konwencja ramowa o ochronie mniejszości narodowych oraz *Europejska karta języków regionalnych lub mniejszościowych* z 2009 roku, a także traktaty dwustronne. Prawa mniejszości gwarantuje Konstytucja Rzeczpospolitej Polskiej z 1997 roku w artykule 32 – wszyscy są równi wobec prawa i nikt nie może być dyskryminowany, a w Kodeksie Wyborczym komitety mniejszości w celu rejestracji nie muszą uzyskiwać minimum 5 procent w skali kraju. *Ustawa z 6 stycznia 2005 roku o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym* [Dz.U. z 2005 roku, nr 17, poz. 141 – przyp. red.], której uchwalanie rozpoczęło się już w 1989 roku, jest zgodna z prawodawstwem międzynarodowym. Warunków uznania za mniejszość narodową w Polsce jest kilka, należą do nich bycie grupą obywateli i obywatelek polskich o świadomości własnej historycznej wspólnoty narodowej, ukierunkowaną na jej wyrażenie i ochronę, której przodkowie zamieszkiwali obecne terytorium Rzeczpospolitej Polskiej od co najmniej stu lat. Gorąco polecam lekturę.

Anna Łazar

eprasa.pl 341d6b84b9

Grupa od A do Z

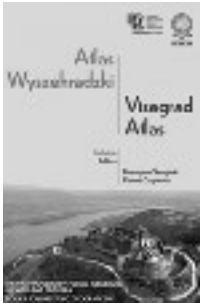

Przemysław Śleszyński, Konrad Czapiewski (red.), *Atlas Wyszehradzki*, Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka – Polskie Towarzystwo Geograficzne, Warszawa 2021

Nie najtańsza, pełna map i wykresów, ponad trzystustronicowa książka formatu A4 – oto dwujęzyczna (polsko-angielska) publikacja zrealizowana przez Polskie Towarzystwo Geograficzne, a sfinansowana przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. *Atlas Wyszehradzki*, bo o nim mowa, należy do licznej grupy książek poświęconych Wyszehradowi, które ukazują się w tym roku z okazji trzydziestej rocznicy powstania Grupy Wyszehradzkiej, skupiającej dziś Polskę, Czechy, Słowację i Węgry.

Grupa Wyszehradzka (co przypominają redaktorzy publikacji) ma status nieformalny, a jedyną zinstytucjonalizowaną formą jej współpracy jest Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki z siedzibą w Bratysławie, który wspiera przede wszystkim działalność kulturalną czy edukacyjną. Zdaje się, że po wejściu państw Grupy Wyszehradzkiej do Unii Europejskiej i NATO, Czworokąt Wyszehradzki, jak często grupa jest nazywana, stracił na znaczeniu i przez kolejne lata był formułą, z którą niewielu wiązało polityczne plany. Pojawiały się nawet pomysły jej rozwiązania. Zdaje się, że znaczenie Wyszehradu w polskiej polityce zagranicznej wzrosło wraz z dojściem do władzy Prawa i Sprawiedliwości. Grupa Wyszehradzka w oczach krytyków PiS stała się antyunijnym związkiem państw wymierzonych w Brukselę czy Berlin. Zwolennicy rządu widzą w niej naturalny sojusz regionalny, który walczy o interesy tej części Europy.

Tej dyskusji (co oczywiste) w *Atlasie Wyszehradzkim* nie znajdziemy. Podobnie jak wspomnień na temat powstania Grupy Wyszehradzkiej czy omówienia dyskusji na temat koncepcji Europy Środkowej, których polityczną konsekwencją było powołanie 15 lutego 1991 roku Trójkąta Wyszehradzkiego (Czworokąt pojawił się w 1993 roku wraz z rozpadem Czechosłowacji). Czterdziestu pięciu autorów przygotowało pięćdziesiąt syntetycznych rozdziałów „dotyczących różnorodnych podstaw i wyzwań rozwojowych tego obszaru geograficznego". Omawiają między innymi położenie i krainy geograficzne, wybrane uwarunkowania historyczne, administrację terytorialną, problemy społeczne i gospodarcze, infrastrukturę, demografię i osadnictwo, zdrowie (także w czasie pandemii COVID-19), by skończyć choćby na religijności, sporcie, turystyce czy aktywności pielgrzymkowej, a nawet kryptowalutach.

Choć te wyliczenia mogą brzmieć nudno i być zniechęcające, autorom udało się po raz pierwszy (o ile mi wiadomo) w tak pełnym zakresie zebrać informacje

eprasa.pl 341d6b84b9

na temat Polski, Czech, Słowacji i Węgier. Książka nie jest tylko źródłem wiedzy na temat siły Grupy Wyszehradzkiej i wyzwań, jakie przed nią stoją, może także posłużyć do porównania potencjałów podobnych przecież sobie krajów, które w ostatnich dziesięcioleciach przeszły zbliżoną ścieżkę historyczną i których mieszkańcy często odnoszą się do siebie.

Arcyciekawe są zestawienia na temat ruchu turystycznego w ramach państw Grupy Wyszehradzkiej, według których Polska wydaje się mało atrakcyjnym regionem dla turystów z Węgier, Czech czy Słowacji. W podobny sposób odbiegamy od pozostałych państw regionu pod względem równomiernego rozmieszczenia sieci kolejowej czy wysokości nakładów w ujęciu procentowym PKB na opiekę zdrowia.

Łukasz Grzesiczak

eprasa.pl 341d6b84b9

REKLAMA

25-26 XI 2021
Wrocław/Wojnowice

POLSKA
POLITYKA
WSCHODNIA
2021

Najważniejsza konferencja
o polskiej polityce wschodniej

Otwartość na Wschód, dyskusje, nowe spojrzenia

Organizator:
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

KONFERENCJA BĘDZIE RÓWNIEŻ TRANSMITOWANA PRZEZ INTERNET

Wrocław miasto spotkań

Konferencja została dofinansowana przez MIASTO WROCŁAW

KEW Kolegium Europy Wschodniej

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 341d6b84b9

W numerze między innymi:

Kiedy jedziesz szutrowymi drogami, mijasz rzadko odwiedzane kapliczki, wjeżdżasz na wzgórza, przejeżdżasz pod starymi drzewami, pokonujesz niezbyt wielkie rzeki i strumienie i w każdym momencie możesz się zatrzymać w ciszy, żeby za chwilę ruszyć w głośnym szmerze ośmiozaworowego, czterocylindrowego silnika na wtrysku i wjechać do metropolii bez poczucia, że okrutnie trujesz płuca innych – to jest dość miłe uczucie – **Filip Jarmakowski** jedzie Ładą Nivą przez Wschód.

Czym jest dziś Partnerstwo Wschodnie? Wielką iluzją? Straconą szansą? O nadziejach i porażkach unijnego projektu piszą: **Tadeusz Iwański, Beata Piskorska i Tomasz Stępniewski**.

Bezprecedensowy sukces sił proeuropejskich, które w ciągu ostatnich kilku miesięcy zdołały w Mołdawii wygrać zarówno wybory prezydenckie, jak i parlamentarne, nie jest wyłącznie wynikiem ewolucji poglądów politycznych lokalnego elektoratu, ale także świadectwem dużo bardziej trwałej przemiany mentalnej mołdawskiego społeczeństwa – **Kamil Całus** opisuje Mołdawię zwracającą się ku Zachodowi i stawiającą na kobiety w polityce.

20 LAT
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl 341d6b84b9